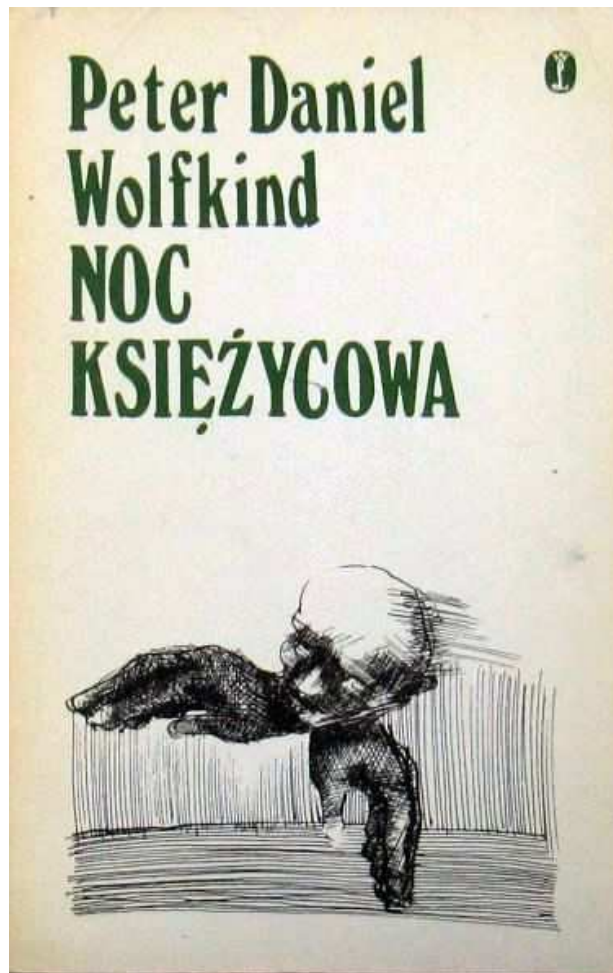


PETER DANIEL WOLFKIND

NOC KSIĘŻYCOWA

PRZEKŁAD: HENRYK VOGLER



WYDAWNICTWO LITERACKIE KRAKÓW 1977

Odwiedziny u Aldy

Ta sobota karnawałowa skończyła się wcześniej. Była dopiero dziesiąta wieczór i leżałem już w łóżku. Nie mogłem zasnąć. W małym pokoju wiejskiego domku, który Alda Blauberg miała dla mnie zawsze w pogotowiu, robiło się raz jasno, raz ciemno. Burza pędziła liczne małe chmurki w kierunku księżycy. Pokój był mi dobrze znajomy. Nawet w ciemności rozpoznawałem wszystkie przedmioty. Naprzeciwko mnie wysoka toaleta w dawnym niemieckim stylu, z lustrem, stojąca przed wąskimi, wytapetowanymi drzwiami. Po lewej stronie mego łóżka komoda, na której znajdował się portret oficera w malowniczym mundurze, jednego z byłych kochanków Aldy, księcia czy też barona. Straciwszy przy końcu pierwszej wojny światowej swoje dobra na Morawach, sprzedał on całą biżuterię żony. Za uzyskaną sumę wybudował dla Aldy Blauberg (jak mi o tym sama wielokrotnie opowiadała) ten dom. Podobno wkrótce po wojnie zastrzelił swoją żonę, a potem popełnił samobójstwo. Kiedy księżyc oświetlał jasno pokój, widziałem ciemną plamę na żółto połyskującej ramce jego fotografii. Obok niej leżały kunsztownie cyzelowane pieczątki, przyciski do listów z różanego kwarcu, bursztynu i ołowiowego szkła, srebrny ołówek do wykręcania, tabakierka oraz inne bezużyteczne przedmioty. Bezsensowne podarunki, którymi ongiś obsypywano Aldę jako uwielbianą śpiewaczkę. Ścianę nad komodą pokrywały wieńce laurowe, afisze, listy, wśród nich list byłej najjaśniejszej pani Zyty, ostatniej cesarzowej Austrii. A nad moim łóżkiem wisiał oprawiony w masywne drewniane ramy dyplom szlachecki Aldy Blauberg. W szufladach szerokiej komody — obok niezliczonych zdjęć przedstawiających Aldę jako Toscę, Aidę, Sieglindę oraz bohaterkę jeszcze wielu innych sopranowych partii — leżało wiele pękatych tomów, w których pani domu zbierała krytyki prasowe, jakie ukazywały się o niej w Wiedniu, Mediolanie, Paryżu i Nowym Jorku. Szczególnie jej Tosca wzbudzała zawsze podziw. Właśnie po galowym przedstawieniu *Toski* sześćdziesięcioletnia i wciąż jeszcze hucznie oklaskiwana Alda pożegnała się ze sceną. Od 25 lat, odsunięta od świata, żyła w swoim wiejskim domu.

Kroki w sieni i rzenie konia nie pozwalały mi zasnąć. Od czasu do czasu słyszałem daleką muzykę. Urywała się ona nagle. Myśli moje wciąż były zajęte niezwykłymi przeżyciami tego dnia.

Podróż do Aldy przebiegała tym razem niezwykajnie. Im wyżej się wznosiłem, tym stawało się cieplej. Musiałem wyłączyć ogrzewanie wozu. Koła pojazdu zapadały się w śnieg rozmiękły na skutek odwilżowej zawiei. Wydawało się, jak gdyby wąska droga chciała mi przeszkodzić w dotarciu do domu Aldy. Tam, gdzie wysokie świerki i modrzewie stanowiły ochronę przed wiatrem i słońcem, droga była zlodowaciała. Tylne koła samochodu wpadały w poślizg. Musiałem wysiadać i zakładać na nie łańcuchy. Gdy po drugiej stronie doliny ujrzałem rozbłyskujące okna odległych gospodarstw, nie potrafiłem się zorientować, czy odbija się w nich zachodzące lutowe słońce, czy też zapalono już tam światła. Przypomniałem sobie moje przecucia: że obecny pobyt u Aldy będzie przebiegał inaczej niż zwykle. Rzeczywiście brak było wszystkiego, z czym zdołałem się już oswoić w czasie poprzednich wizyt. Przed domem bednarza nie płonął ogień. Zwykle zbijał on przy nim beczki. Kiedy przejeżdżałem tamtędy, zawsze przyjaźnie mnie pozdrawiał. Tym razem ujrzałem tylko na topniejącym śniegu czarne, wypalone ognisko. Nie spotkałem również Józsi Heidinger. Była to upośledzona umysłowo córka chłopca, którego zagroda leżała po drodze. Bez względu na pogodę dziewczynka stała oparta o splekaną, zwróconą w stronę ulicy północną ścianę domu i śpiewała przy dźwiękach tranzystorowego odbiornika radiowego, który zawsze nosiła z sobą. Czasami zatrzymywałem się przy niej i pytałem, co ładnego śpiewa. Wtedy szczyrzyła zęby w uśmiechu i powtarzała tylko: „Blauberg, Blauberg!” Alda Blauberg śmiała się zawsze, kiedy

opowiadałem jej o Józi. Wyprzedziłem moim wozem kilku chłopów. Szli spiesznie poprzez zwały śniegu. Pomyślałem, że są w drodze do jakiejś gospody. Była to wszak zapustna sobota.

Krokwie dachu trzeszczały wskutek burzy. Znowu usłyszałem rzenie konia. Przypomniałem sobie furmankę, którą napotkałem. Zobaczyłem ją nagle na zakręcie przed sobą. Nie mogłem jej wyprzedzić, droga była zbyt wąska, musiałem zwolnić. Wreszcie mój wóz utknął w głębokim śniegu. Woźnica nie zauważył mnie. Trzeba było wysiąść i biec za furmanką. Wołałem głośno. W końcu woźnica odwrócił się. Miał na sobie płaszcz z zielonego lodenu i nauszniki. Był to bednarz. Do wozu zaprzężony był jego kary koń. Na wozie leżała długa czarna skrzynia. Skinał mi przyjaźnie głową: „Czy także do pani Blauberg?” — zapytał. Potem zatrzymał konia. Z wysiłkiem dopchaliśmy mój samochód do jego furmanki i przyczepiliśmy go do niej. W ten sposób pozwoliłem się jakiś czas holować czekając, aż droga się poszerzy. Kiedy to nastąpiło, wyjechałem do przodu. „Zobaczymy się!” — zawołał za mną bednarz.

Znów usłyszałem rzenie. „Może to ów kary bednarza” — pomyślałem. Tymczasem mógł już łatwo przebyć złą drogę.

Moja jazda do wiejskiej posiadłości Aldy Blauberg trwała bardzo długo. Miejsce, które Alda kazała zawsze uprzątnąć dla mojego wozu, było zajęte. Stał tam mały samochód. Ja z moim wpadłem tuż obok domu w zaspę. Mam nadzieję, że ciepły wiatr stopi w nocy śnieg.

Znów usłyszałem głośną muzykę.

Słyszałem ją także, kiedy późnym popołudniem przestąpiłem próg domu. Dobiegała z tranzystora Józi. Okoliczni chłopci zebrawi się w sieni. Lekarz wyszedł mi naprzeciw. Do niego właśnie należał samochód stojący na moim miejscu. „Dobrze że pan się zjawił — powiedział. — Zdaje się, że zbliża się koniec naszej wielkiej śpiewaczki”. Żona bednarza i jakiś mężczyzna, którego nie znałem, próbowali podsłuchiwać moją rozmowę z lekarzem. Cofnęliśmy się do łazienki. Szeroka wanna z białymi kafelkami i złotymi ozdobami była do połowy pełna. Po wodzie pływały róże, gerbery, irysy, chryzantemy, bez. Zapytałem lekarza, dlaczego w wannie pływają kwiaty. „Na wszelki wypadek — odpowiedział lekarz. — Z jej sercem jest od kilku dni źle. A teraz jeszcze ten wiatr. Obawiam się, że to stanie się dzisiejszej nocy.” Kiedy wyszliśmy z łazienki, Józia płakała. Ojciec odebrał jej radio. Potem oddano jej aparat z powrotem. Ale gromadzący się dokoła chłopci wyłączały je z niechętnym pomrukiem, jak tylko słyszeli muzykę. Od czasu do czasu dochodziły mnie powstrzymywane siłą protesty Józi.

Przypomniałem sobie Aldę. Przenikliwe, przeszywające spojrzenie, które mnie uderzyło, kiedy wszedłem do jej pokoju. Tak nie patrzy umierająca. Spodziewałem się, że ujrzę osobę spokojnie drzemiącą, lecz Alda była całkowicie rozbudzona. Siedziała w łóżku wyprostowana, wsparta na wielu poduszkach. „Mój kochany — odezwała się do mnie władcym głosem — dobrze, że przyszedłeś.” Zapytałem o stan jej zdrowia. „Ach, wiesz — usłyszałem jej głos i poczułem na sobie bystre spojrzenie — ten wiatr sprawia mi zawsze kłopot. Ale za parę dni wszystko przejdzie.” Obok jej łóżka stało krzesło, na którym wisiała wojskowa marynarka. Był to mundur z czasów monarchii. Bogato haftowany złotem. „Drogi stary przyjaciel przebywa z wizytą u mnie” — powiedziała Aida, gdy zauważyła, że spoglądam wciąż na osobliwą część garderoby przy jej łóżu. Chętnie poznałbym owego gościa. Alda oświadczyła mi, że on bardzo źle widzi i udał się już na spoczynek. Powinienem mieć cierpliwość do jutra.

Koń przed domem zarżał. Niespokojnie szarpał dyszłem wozu, zgrzytały łańcuchy. Przymknąłem powieki. Za każdym razem gdy przymykałem oczy, widziałem przenikliwy wzrok Aldy. Był on u niej czymś niezwykłym. Poza tym wyglądała już bardzo źle. Kiedy księżyc rozświetlał mój pokój, wydawało mi się, że z wysokiego lustra toalety w starym niemieckim stylu spogląda na mnie Alda. Wstałem z łóżka i zakryłem lustro swoim szlafrokiem. Fotografii arystokraty w mundurze włożyłem w górną szufladę komody. Ostro zabrzmiało kilka taktów muzyki, a potem rozległy się skargi Józi gwałtownie uciszanej przez czekających

na śmierć Aldy sąsiadów.

Położyłem się z powrotem. Na próżno usiłowałem zasnąć. W końcu postanowiłem wyjść na powietrze.

Kiedy zszedłem po schodach do sieni, znajdowali się w niej wszyscy sąsiedzi. Odmalowali szeptem różaniec. Ujrzałem, że zjawił się także bednarz. Kiedy zauważył mnie, ukłonił się nieznacznie. Pozostali nie zmienili postawy. Józia siedziała cicho na trzcinowym krześle obok drzwi wejściowych, trzymając na kolanach swoje radio. Przechodząc obok niej przytknąłem kilkakrotnie wskazujący palec do warg, dając jej w ten sposób do zrozumienia, że powinna zachowywać się spokojnie. Przytaknęła energicznie skinieniem głowy.

Wyszedłem z domu w burzliwą, wietrzną noc. Koń bednarza był niespokojny. Pogładziłem w przejściu jego szyję. Parskał i grzebał kopytem ziemię. Przekopał już głęboko cały mokry śnieg. Miejsce postoju okazało się puste. Lekarz odjechał. Zastanawiałem się, czy powinienem spróbować postawić swój wóz na zwykłe miejsce. Ale śnieg przy drodze był jeszcze głęboki. Zboczyłem z wąskiej ulicy na pełną drogę prowadzącą w kierunku doliny. Tu i ówdzie trzeszczała gałąź w konarach drzew. Księżyc przedzierał się szybko poprzez liczne małe chmury. Jego światło odbijało się srebrzyście w strumieniu, który przecinał mi kilkakrotnie drogę. Pod wąskimi kładkami widniały jeszcze resztki kry. Noc była bardzo jasna. W dużej odległości ujrzałem jakąś postać. Czyżby to któryś z chłopów wędrował podczas owej zapustnej nocy?

Chód tego człowieka wydawał mi się dziwny. Może był pijany? Zataczał się z jednej strony drogi na drugą, pochylał nieustannie i zdawał się szukać czegoś w suchej trawie przy pomocy połyskującej, lekko zakrzywionej laski. Grzebał to na prawym brzegu drogi, to na lewym. Potem znowu się pochylał, jakby pragnął bardzo dokładnie obejrzeć wydobyte laską źdźbło trawy. Czasami także zdawał się podnosić coś z ziemi i jak krótkowidz przysuwać sobie zupełnie blisko do oczu. Szedł naprzód bardzo wolno. Zbliżyłem się do tej obcej postaci, tak że mogłem ją dokładnie obejrzeć. Był to szczupły mężczyzna. Z daleka można było określić jego sylwetkę jako wytworną. Tylko ubranie wywoływało zdumiewające wrażenie. Na głowie miał coś w rodzaju kapelusza. A może była to czapka? Nie mogłem tego z całą pewnością stwierdzić, gdyż właśnie długa chmura przesłoniła księżyc. Zawahałem się. Czy powinienem podejść bliżej do obcego? Zauważyłby mnie wtedy i przerwałby swoje czynności. Miał na sobie niebieskie spodnie. Odniosłem wrażenie, że widać na nich było ciemne pasy, od bioder aż do ziemi. Czy były to spodnie smokingowe? Nie, to nie był smoking. Materiał był na to zbyt jasny. Mężczyzna nie nosił także marynarki, tylko pulower przylegający ciasno do jego szczupłego korpusu. Nieustannie grzebał lśniąco laską w ziemi, pochylał się, coś podnosił, znowu przybliżał do oczu i znowu posuwał się parę kroków naprzód lub też kierował w inną stronę drogi, wykonując wciąż te same ruchy. Zbliżał się coraz bardziej. Ukryłem się za świerkiem. Księżyc wysunął się spoza chmury i przeglądał się w strumieniu. Laska w dłoni obcego rozbłysnęła teraz jasno. A ponieważ mężczyzna zbliżył się już do mnie na bardzo małą odległość, mogłem zobaczyć, że nie jest to laska, lecz szabla. Także nakrycie głowy mężczyzny połyskiwało. Nieznajomy nosił hełm. A spodnie z lampasem nie były spodniami smokingowymi, tylko od munduru wojskowego. Teraz również ujrzałem jego twarz, widziałem ją już kiedyś. Zacząłem się zastanawiać. Musiałem zachowywać ostrożność, aby nieznajomy mnie nie dostrzegł. Kiedy przykucnął tuż obok mnie, opuściłem swoje miejsce i ukryłem się za pobliskimi krzakami. Obcy usłyszał mnie. Przestraszony, rozglądając się dokoła. Widziałem jego połyskujący hełm, wąską twarz, smukłą sylwetkę. I nagle zrozumiałem, skąd znam tę postać. Stojący naprzeciwko mnie mężczyzna był sobowtórem nieszczęsnego oficera arystokraty, który wybudował wiejską posiadłość Aldy Blauberg i którego fotografię usunąłem właśnie z komody mego pokoju. Również hełm był taki sam jak ów na zdjęciu. To mnie zaniepokoiło. Od Aldy wiedziałem przecież, że ów hrabia, baron czy książę popełnił samobójstwo już wiele lat temu. Może to jakiś pijany chłop wracał do domu z zabawy kostiu-

mowej. Co prawda było nie do pomyślenia, aby ktoś taki miał sobie wybrać akurat kostium i maskę dawnego kochanka Aldy. A gdzie była jego marynarka? Czy to nie ona właśnie wisiała obok łóżka Aldy? Przypomniałem sobie, że Alda, na której zgon całe sąsiedztwo oczekiwało teraz w sieni domu, opowiadała mi, że przebywa u niej ktoś z wizytą. Po jakimś czasie obcy zaczął znowu dłużyć w ziemi szablą. czego szukał? Stałem bez ruchu za krzakiem. Zastanawiałem się. Lękałem się zetknięcia z owym nieznajomym. Czy powinienem pozwolić mu przejść naprzód? Wykorzystałem potężny podmuch wichru, opuściłem swoją kryjówkę i pobiegłem o kilka drzew dalej. Człowiek w mundurze nie zauważył mnie. Byłem zmęczony. Chciałem już znaleźć się w domu. Opośdał droga skręcała. Uniknąwszy zetknięcia się z nieznajomym, powróciłem do domu Aldy.

W sieni paliło się światło. Otworłem drzwi wejściowe. Chłopi stali wciąż jeszcze razem i modlili się. Nagle przestali. Dały się słyszeć kroki. Czyżby to był gość Aldy schodzący w dół po skrzypiących schodach? Józia otworzyła szeroko usta. Ukazała się Alda. Oстрыm spojrzeniem obrzuciła po kolei każdego z gromady zaskoczonych żałobników.

— O co chodzi?— jej głos brzmiał pewnie i energicznie jak zawsze.

Milczeliśmy. Wreszcie bednarz zebrał się na odwagę i powiedział:

— Wielmożna pani, słyszeliśmy, że pani źle się czuje. Dlatego chcieliśmy panią odwiedzić.

— Jak widzicie, czuję się bardzo dobrze. Dziś jest sobota zapustna. Nie powinno się jej spędzać w domu starej kobiety. Wracajcie spokojnie do domów.

Podniósł się wielogłosowy szmer. Każdy z obecnych chłopów przed wyjściem oddawał ukłon i pomrukiwał niezbyt zrozumiałe życzenia zdrowia. Alda stała nieporuszona na ostatnim stopniu schodów i obserwowała, jak dom pustoszeje. Chętnie wycofałbym się do swojego pokoju, ale bałem się przejść obok Aldy. Lękałem się jej bliskości, dlatego czekałem, aż zejdzie do sieni. Chciałem wynieść się tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. Usłyszałem jej głośny śmiech.

— Piotrze! — zawołała. Stała w łazience przed wanną do połowy pełną wody, w której pływały kwiaty. — Spójrz, oni chcieli mnie już pochować.

— Tak, lekarz obawiał się najgorszego — powiedziałem.

— Najgorszego, najgorszego! Ach, ci lekarze! — wyjęła kwiaty z wanny i wyrzuciła je za drzwi. Jej chód był niepewny. Skorzystałem ze sposobności i szybko poszedłem na piętro.

Kiedy przestąpiłem próg swego pokoju, przeraziłem się szlafroka wiszącego na lustrze. W świetle księżycy przypominał on człowieka czepiającego się ostatkiem sił drzewiczek komody. Ponieważ Alda znów mogła się o własnych siłach poruszać, mogłem spodziewać się, że nazajutrz zajdzie do mego pokoju. Wyjąłem więc z powrotem z szuflady fotografię jej wielkodusznego kochanka, aby postawić ją na dawne miejsce. Przypomniałem sobie osobnika spotkanego przed chwilą i podszedłem do okna. Chciałem obejrzeć fotografię skrupulatnie w świetle księżycy. Osoba na zdjęciu była ładną podobną do owego nieznajomego. Tylko w oczach dostrzegłem pewną różnicę. Spojrzenie wojskowego napotkanego na drodze było puste. Wydawał się niedowidzieć. Natomiast oczy mężczyzny na fotografii były przenikliwe i przeszywające. Przypominały niemiły wzrok Aldy, jaki owego wieczoru spostrzegłem u niej po raz pierwszy.

Wyjrzałem z okna. Bednarz odwiązywał konia od płotu i z głośnym nawoływaniem zawracał furmankę. Potem kilku chłopów wdrapało się na wóz siadając na czarnej skrzyni. Niezwykły pojazd ruszył ciężko z miejsca i minął powoli mój samochód, kierując się w stronę doliny. Józia biegła za nim. Obiema rękami przyciskała do siebie małe radio. Głośna muzyka taneczna rozbrzmiewała poprzez zapustną noc. Furmanka była coraz dalej. Muzyka Józki zmieszała się z poszumem drzew. Wkrótce wszystko umilkło.

Zamknąłem okno, ustawiłem portret tajemniczego arystokraty z powrotem na komodzie i położyłem się do łóżka. Tu i ówdzie słyszałem głosy. Z początku sądziłem, że to burza, jej

niesamowite akordy pędziły wokół ścian domu. Głosy stawały się bardziej wyraziste. To Alda była w ogrodzie. Przez zamknięte drzwi słyszałem jej słowa. Wydawała się niezwykle wzburzona.

— Potrafisz! — krzychała nieustannie. — Weź się w garść! Wiesz przecież doskonale, jak bardzo mi na tym zależy. — Potem następowało kilka niezrozumiałych zdań. Z kolei usłyszałem głos mężczyzny. — Po raz ostatni, po raz ostatni — powtarzał wciąż. Jego słowa były dla mnie bardzo niewyraźne.

Znów wstałem z łóżka. Chciałem się dowiedzieć, z kim tak żywo dyskutuje Alda, z której zgonem — wedle słów lekarza — należało się liczyć w ciągu kilku godzin.

Podszedłem do okna i otworzyłem je. Alda sztywno wyprostowana stała pośród kwiatów, które przed chwilą wyrzuciła do ogrodu. Przez jej prawe ramię przewieszona była wojskowa marynarka. Ta sama, którą wieczorem widziałem obok jej łóżka. Guziki marynarki błyszczały w blasku księżyca. Przed Aldą klęczał mężczyzna, którego wcześniej spotkałem. Gołymi dłońmi drapał ziemię.

— Wszystko na próżno — mówił. — Nie mogę tu niczego znaleźć. Przeszukałem już wszystko dokoła.

— Z tobą zawsze tak samo — głos Aldy brzmiał gniewnie — zawsze tak samo! Wciąż tylko: „nie mam” i „nie mogę”. Wy śmieszni arystokraci. Nic dziwnego, że wasza Austria zesłała na psy. Tchórz!

— Aldo! — mężczyzna wydawał się zrozpaczony. Wyciągnął błagalnie dłonie ku starej śpiewaczce.

Ta uderzyła go w twarz marynarką.

— Aldo! — zawołał znowu. — Nie, Aldo! Nie! — Otarł twarz dłonią. — Guziki! Bola mnie guziki!

Alda wyglądała na podnieconą w najwyższym stopniu:

— Guziki, tak, guziki, masz je jeszcze! — Głos jej drżał. — A może ich już także nie masz? — Jeszcze raz uderzyła go marynarką w twarz. — Czujesz te guziki? Czemu mi ich nie dajesz, skoro już niczego nie możesz znaleźć? Jednym szarpnięciem oderwała guzik od marynarki włożyła go do ust. Usłyszałem zgrzyt metalu między jej zębami.

Mężczyzna jęczał żałośnie:

— Nie, Aldo, nie, ja tak nie mogę. Proszę, Aldo, tylko nie guziki.

Ale Alda nie zwracała na niego uwagi.

Bez słowa odrywała jeden guzik po drugim. Kiedy połknęła ostatni, cisnęła marynarkę w twarz mężczyźnie, który po kilku daremnych wezwaniach osunął się bez sił na ziemię. Potem weszła z powrotem do domu. Zakłopotany zamknąłem okno i zastanawiałem się, czy nie powinienem jeszcze tej nocy opuścić tego domu. Bałem się. Słyszałem śpiew Aldy rozlegający się na klatce schodowej. Nie był to głos chorej staruszki. Nie chciałem już spotkać Aldy tej nocy i zdecydowałem się więcej nie wychodzić. Zamknąłem drzwi swego pokoju i położyłem się. Alda wciąż śpiewała.

Spałem już, gdy nagle zbudziło mnie pukanie. Klamka opadła, a potem znów się podniosła.

— Piotrze! Piotrze! Otwórz! — Była to Alda. Mówiła bardzo cicho. Potem znów szarpnęła drzwiami.

Leżałem w łóżku bez ruchu. Nie ośmieliłem się poruszyć. Tylko nie wydawać żadnego głosu, myślałem, tylko żadnego głosu. Niech sądzi, że śpię. Wielokrotnie jeszcze słyszałem szept Aldy. Potem się oddaliła. Nie poruszałem się. Wszystko, co widziałem teraz dokoła — toaletka, komoda, wieńce laurowe — napełniło mnie naraz strachem.

Co się stało z Aldą? Czy człowiek w ogrodzie był istotnie tym z szuflady komody? W jaki sposób może ktoś zjadać złote guziki? Dręczyły mnie te pytania. Czemu w końcu chciała ode mnie Alda? Czemu dobijała się do drzwi? Czy zamordowała owego mężczyznę i teraz

pragnęła mojej pomocy? Nie mogłem sobie wytłumaczyć wydarzeń, których byłem świadkiem tej nocy.

Znowu usłyszałem szmery. Tym razem nie przy drzwiach, lecz za toaletką. Ktoś otworzył drzwi w ścianie. Dał się dostrzec słaby promień światła pod kredensem. Drzwi stanęły otworem. Znowu usłyszałem głos Aldy: „Piotrze, Piotrze, czy mnie słyszysz?” Udawałem w dalszym ciągu śpiącego. Alda wciąż wzywała mnie po imieniu. W końcu usłyszałem, jak odsuwa toaletkę. Szlafrok, który zawiesiłem na lustrze, upadł na ziemię. Nie miało już sensu udawać śpiącego. Dźwignąłem się z łóżka i przerażony wpatrywałem się w pojawiającą się postać. Przede mną stała nie osiemdziesięcioletnia Aida, ale piękna młoda kobieta. „Ależ, Piotrze — powiedziała — czy tak bardzo boisz się swojej starej Aldy?” Usiadła na moim łóżku. Taką Aldę, która teraz ujęła pieszczotliwie moją dłoń, znałem tylko z portretów w szufladzie komody.

„Mój mały książę!” — szepnęła mi kilkakrotnie do ucha, a potem objęła mnie. Kiedy o świcie wstała i opuściła pokój, na próżno próbowałem ją zatrzymać.

„Śpij teraz dobrze, mój mały książę” — powiedziała do mnie jeszcze, nim otworzyła drzwi, które przedtem zamknąłem, i zniknęła.

Kiedy obudziłem się, słońce w pokoju świeciło niezwykle mocno. Dochodziło południe. Na kamiennej posadzce leżała złamana chryzantema. Alda stała w kuchni, taka jak zawsze. „Dobrze spałeś?” — zapytała. Podziękowałem grzecznie. „Mam jedną prośbę — powiedziała następnie. — Człowiek, który mnie odwiedził, opowiadał mi o nim wczoraj wieczorem, zmarł niespodziewanie tej nocy. Czy będziesz tak dobry i wyjeżdżając zawiadomisz o tym bednarza? On już załatwi wszystko, co konieczne.”

Zaprowadziła mnie do zwłok. Obcy leżał w pokoju Aldy. Jego marynarka była cała pokryta kwiatami.

Alda chciała, abym towarzyszył jej jeszcze przy posiłku. Ale ja opuściłem dom, jak mogłem najszybciej, usprawiedliwiając się, że będę musiał natychmiast zawiadomić bednarza o zgonie. „Przyjedź wkrótce znowu!” — zawołała za mną.

Ciepły wiatr, który nie ustawał, roztopił niemal całkowicie zasy, w których utknał mój wóz. Bez trudu wydostałem się na drogę, zawróciłem i ruszyłem w kierunku doliny. Kiedy przejeżdżałem obok domu Heidingera, Józia pomachała ku mnie dłonią. Przed domem bednarza płonął ogień. Była niedziela. Bednarz siedział w kuchni. Zawiadomiłem go o śmierci gościa Aldy.

— Ten w mundurze? — zapytał. Po czym dodał: — No, tak, więc zaprzęgajmy z powrotem.

Im głębiej wjeżdżałem w dolinę, tym zimniej się stawało. Ziemia była jeszcze zlodowaciała. W kilku miejscach musiałem uważać, aby nie wpaść w poślizg.

W ogrodzie doktora Terenischwili

Kiedy jedzie się z Feldbach w kierunku Fehring, wkrótce po minięciu koszar widać, jak szosa państwowa rozgałęzia się po prawej ręce i przechodzi w wąską drogę. Jest ona nieco szersza niż polna ścieżka, ale bardzo zaniedbana i pełna wybojów. Niektóre z nich są tak głębokie, jak gdyby pochodziły od wybuchów bomb czy granatów.

Droga ta jest rzadko używana. Tak, jeszcze kilka lat temu można tu było spotkać wojskowe jeepy albo wytworne pojazdy złotej młodzieży ze wschodniej Styrii. Zmierzwały ku ekspresowemu barowi „Happy”. Ale interes ten szedł coraz gorzej i dziś przypomina o nim

tylko spróchniały pień drzewa przy rozgałęzieniu szosy państwowej. Tablicę z napisem „Ekspresso Happy 500 m” zerwali już dawno podochoceni poborowi z pobliskich koszar.

Jeszcze tylko jesienią ożywia się ta droga, gdy traktory zwożą z pól kukurydzę i rzepę, a pod koniec tygodnia pojawiają się przechodzące grupy myśliwych. Polują śrutem na bażanty i przepiórki, gnieźdzące się na polach, z których sprzątnięto kukurydzę, albo wypatrują kaczek w sitowiu pobliskich stawów.

Wtedy może się zdarzyć, że na złość myśliwemu trafiony ptak spada nie na pole czy łąkę, lecz na ogrodzony płotem dom, w którym niegdyś mieścił się bar. Wówczas psy zatrzymując się przed ogrodzeniem z siatki szczekają głupekowato i wybałuszają ślepia na martwą zwierzynę, którą powinny aportować.

Wtedy to najzręczniejszy z niedzielnych, skądinąd już niezbyt ruchliwych, łowców przechodzi przez płot do opustoszałego parku. Z zewnątrz widzi się jeszcze tylko kilka inspektów z rozbitym szkłem, mały staw, drzewa owocowe i płaczące wierzby. A z tyłu dom, którego architektura harmonizuje w zupełnie niezwykły sposób z owymi płaczącymi wierzbami. Chociaż tynk fasad wykruszył się już bardzo mocno, jednak wciąż jeszcze można rozpoznać dawny jasnozielony kolor, który ledwie różni się od gałęzi wierzb. I tak jak owe gałęzie chylą się łukowato ku ziemi, tak samo łukowate są framugi okien i drzwi dwupiętrowej budowli. Jej szczyt opada w dół zaokrągloną melancholijną linią, jak gałęzie wierzb.

Bezpośrednio obok budynku stoi szopa, której dach wsparty jest z jednej strony na dwóch mocnych palach wierzbowych, a z drugiej na murze domostwa. Pod nim, pośród wielu doniczek i flakonów ze zwiędłymi kwiatami, rdzewieje stary jeep.

Należy on do doktora Terenischwili, dawnego lekarza okręgowego z Feldbach, który obecnie mieszka wraz z żoną w Niemczech. Nikt nie wie, jak to się stało, że zrezygnował z praktyki i naprzód wydzierżawił posiadłość, znaną uprzednio szeroko z rzadkich kwiatów i krzewów, a potem dopuścił do jej zupełnego zaniedbania.

Niegdyś bowiem doktor Terenischwili cały wolny czas poświęcał ogrodowi. W swoich szklarniach i inspektach dokonywał prawdziwych botanicznych cudów. I niemal każdego tygodnia stawał na małym dworcu kolejowym w Feldbach, czekając na pociąg z Grazu. Z wagonu pocztowego wyładowywano dla niego rzadkie holenderskie cebulki tulipanów, pędy strelicji z Teneryfy czy też rozmaite rośliny z wysp mórz południowych.

Doktor Terenischwili posiadał jeszcze jedno hobby. Polowanie. Uprawiał je na własny sposób. Zarówno jemu jak i jego żonie (która również dla botanicznych upodobań męża wykazywała wiele zrozumienia) wystarczyła obserwacja zwierzyny wczesnym rankiem lub o zapadającym zmierzchu. Zabijanie wydawało się obojętne zbyt okrutne.

Tylko jesienią, kiedy wiele ptaków leciało do ciepłych krajów, tam gdzie kwiaty doktora Terenischwili rosły dziko i rozkwiatały obficie bez pomocy szklarni oraz inspektów, wtedy zdarzało się, że odstrzeliliwali niektóre ptaki z owych ciemnych chmar. Ze współczuciem obserwowali wtedy, jak trafione, poruszywszy parę razy niespokojnie skrzydłami, traciły równowagę i z głuchym łoskotem spadały pomiędzy kwiaty i krzewy ich ogrodu. Czasem zdarzało się także, że martwe ptaki zawisały wśród gałęzi wierzby lub drzew owocowych i trzeba było dopiero mozolnie ściągać je stamtąd na dół przy pomocy drągów. W takich dniach strzelby oparte były zawsze o okrągłe obramowania drzwi lub o którąś z jasnozielonych ścian domu.

Stały tam także 16 października 1964 roku gotowe do strzału. Było to bardzo ciepłe i pogodne popołudnie jesienne. Z daleka dochodziły od czasu do czasu przytłumione salwy ze strzelnicy koszar. Pan doktor Terenischwili radował się fiołkami i prymulkami, które ponownie zaczęły rozkwiatać, a jego żona wykopywała z grządek cebulki hiacyntów. Doktor był już właściwie gotów do wyjścia. Wdowa byłego zawiadowcy stacji w Feldbach skarżyła się na poważne trudności w oddychaniu. Gardło, którego za żadną cenę nie chciała dać operować, dawało się jej, szczególnie wczesną wiosną i jesienią, mocno we znaki.

Doktor Terenischwili miał właśnie wsiąść do swego jeepa. Akurat wtedy nad parkiem przelatywał wielki złocisty bażant. Niespokojnie trzepotały na wietrze pióra jego ogona. „Szybko, szybko, Mario!” — krzyknął doktor. Ale na próżno. Grządka hiacyntów znajdowała się zbyt daleko od ściany, o którą opierały się strzelby. Oboje nie zdążyli jeszcze wyrazić żalu, że umknął im tak piękny ptak, kiedy usłyszeli odgłos helikoptera. Przelatywał nad parkiem z ogromną szybkością. Najwidoczniej ścigał bażanta, którego żółte pióra lśniły w jesiennym słońcu. Żołnierze z koszar polowali na swój sposób.

Padł strzał. Doktor Terenischwili i jego żona oczekiwali, że bażant spadnie. Ale on leciał dalej.

Tylko silnik helikoptera zaharczał i zaczął się nagle zacinać. W parę chwil później helikopter z gwizdem runął w dół. Wprost na środek grządki, przy której dopiero co pracowała żona doktora. „Padnij na ziemię!” — krzyknął do niej doktor Terenischwili. W parę sekund później zbiornik benzyny eksplodował. Helikopter spłonął. Obie siedzące w nim osoby nie zdołały się uratować.

Kiedy płomienie zaczęły wygasać i doktor Terenischwili chciał się podnieść, całą okolicę przeszył głośny akord, jakby kontrabasy zaintonowały przerażającą muzykę żałobną. Przestraszone tymi dźwiękami wrony, kaczki, przepiórki i bażanty krążyły niespokojnie i bezładnie po błękitnym jesiennym niebie.

Powoli akord ucichał. Doktor Terenischwili podszedł do wraku.

Widok był taki, jakiego można się było spodziewać. Szczątki i zwęglone zwłoki dwóch młodych żołnierzy. Dało się jeszcze rozpoznać broń, z której strzelali do bażanta. Na żarzącym się szkielecie spadłego helikoptera leżały gałęzie kwitnącego drzewa migdałowego. Doktor nie umiał sobie wytłumaczyć, jakim sposobem mogły się one tam znaleźć. Podniósł je i włożył do flakonu, który stał blisko drzwi wejściowych domu.

Objazd przez Lemberg

Było to w Słowenii. Na trasie między Rohitsch-Sauerbrunn a Windisch-Feistritz. Albo między Rogaszką-Slatiną a Słoweńską Bystrzycą, jak dziś nazywają się obie te miejscowości, na owej starej drodze, uczęszczanej głównie przez chorych na wątrobę i żółć Austriaków, obfitującej w liczne zakręty, złej i poprzecinanej wieloma rampami kolejowymi, przeważnie zamkniętymi. Jeżdżę tą trasą bardzo często i znam ją naprawdę dobrze. Pagórki łagodnie wznoszące się i opadające, wszystkie złośliwe zakręty szosy, wynikające z uporu graniczącego z nią chłopstwa, wiejskie chaty z licznymi kolbami kukurydzy pod dachami krytymi słomą lub gontem. I zmurszałe drogowskazy z niedokładnie oznaczonymi w kilometrach odległościami.

Pewnego pogodnego dnia w grudniu, tuż przed Bożym Narodzeniem, znalazłem się znowu na owej trasie. Tym razem się zdumiałem. Krajobraz wydał mi się odmieniony. Znałem tę okolicę na wiosnę, kiedy łąki żółcieją od pierwiosnków, a także później, kiedy śliwy pokrywają się drobnym, śnieżnobiałym kwieciem. Jest to uciążliwa pora roku dla uprawiających winorośl rolników, którzy kopią wówczas na stokach winnic. Równie mozolne jest lato z rzadkimi deszczami i częstym plewieniem ziemniaków oraz rzepy. Znałem tutaj także jesień — barwne drzewa i winnice, które z daleka wyglądają jak stojąca na baczność armia przystrojonych w wesołe i kolorowe mundury krasnoludków. Jeździłem tą trasą również w zimie. Drogi były przeważnie źle oczyszczone. W śniegu gubiły się zajęcze ślady.

Ale tym razem nie było jeszcze śniegu. Płoty, dachy, przewody elektryczne, drzewa,

krzewy pokryte były grubą warstwą szronu. Nigdy nie przypuszczałem, że szron potrafi tak odmienić świat. Wszystko było tam żywe i wszystko martwe zarazem. Można by sądzić, że słupy telegraficzne i domy rosły tak samo i tak samo posiadały pod ziemią korzenie jak drzewa na polach.

Drzewa stały tutaj okryte gęstym futrem szronu, tak białe i tak bogate, jakby miały zakwitnąć. Pojedyncze jabłka, o których zapomniano podczas jesiennego owocobrania, jak również niektóre śliwki pozostałe jeszcze na gałęziach wydawały się z daleka niby ogromne róże lub tulipany z ogrodów dalekiego, nieznanego świata. Podejrzywałem, że w tym lub owym drzewie, obok którego przejeżdżałem, ukrywa się Dafne. Być może w ten sposób właśnie, nie tracąc wdzięku, przeobraziła się uciekając przed Apollem. Wszystkie pokryte szronem kształty były poza wszelkim cierpieniem, poza jakąkolwiek namiętnością. Tu i ówdzie pary drzew, które mijałem, zdawały mi się być jak Dante i Beatrycze, jak Tristan i Izolda, którzy odnaleźli siebie nawzajem dla wiecznego, niczym nie zakłóconego szczęścia, tak mocno, tak czule, tak niewinnie splatały się z sobą ich kwitnące szronem gałęzie. Światło stojącego wysoko na niebie południowego słońca było też nierealne i chłodne, pozostawiało kształtom ich piękno, i nawet kiedy szron tu i ówdzie odpadał, to spływał jednak miękko na ziemię lub zawisał na jakiejś innej gałęzi, na zapomnianym żdźble czy na występie muru.

Nic nie zakłócało harmonii tego dnia. Czekanie pod zamkniętymi rampami kolejowymi nie wydawało mi się tym razem uciążliwe. Pociąg towarowy przetoczył się, sapiąc, już dawno, kiedy rampa zaczęła się podnosić. Nie zatrzymało mnie już nic, nawet gdy okazało się, że droga jest zamknięta. Na długim drażu umocowanym na dwóch słupach w poprzek drogi wisiała tabliczka ze strzałką wskazującą wąską ścieżkę.

Znałem to odgałęzienie, ale nigdy nim nie jechałem. Zaraz za Rohitsch-Sauerbrunn, gdzie droga wspina się w górę, znajduje się po prawej ręce słup, na którym umocowana jest mała drewniana tablica z wypisaną na niej czarnymi literami nazwą „Lemberg”.

Czemu nie miałbym choć raz pojechać przez Lemberg? Skręciłem w ciasną drogę pobrużdżoną kołami taczek i traktorów. Ta jazda była mało przyjemna. Musiałem uważać, aby nie wpaść w koleiny na drodze. Miska olejowa, zbiornik benzyny i rura wydechowa mego wozu były w niebezpieczeństwie.

Jechałem bardzo powoli, gdyż obawiałem się spotkania z innym samochodem. O wyminięciu na tej wąskiej ścieżce nie można było myśleć.

Również tutaj okolice pokrywał szron, któremu przyćmione światło słońca nadawało niekiedy niebieskawy kolor. Tu i ówdzie kos lub sroka lecące nad polami strącały z otaczających wąską drogę krzaków duże białe płatki, które opadały łagodnie na chroniącą przed wiatrem szybę mego wozu, zawisały tam jakiś czas, aż wreszcie spływały w dół.

Nagle wjechałem w cień. Dokoła jednak wszystko znajdowało się w słońcu. I nim jeszcze zdołałem się zorientować, skąd ów cień mógł się pojawić, prześcignął mnie z ogromną szybkością ciężki wóz transportowy.

Nie umiałem sobie wytłumaczyć, jak mogło to się stać. Droga była tak wąziutka, że ledwo sam się na niej mieściłem. Jakim cudem wyprzedził mnie taki ogromny wóz, nie potracając drzew ani krzaków na skraju drogi? Przerażony przyhamowałem i zatrzymałem się. I wtedy przestraszyłem się jeszcze bardziej. Ciężki wóz przede mną także stanął. Po chwili ruszyłem. Wtedy on uczynił to samo. Miałem nadzieję, że zniknie wkrótce z taką samą szybkością, z jaką mnie prześcignął, gdyż nie znoszę spalin, jakie wydzielają jadące przede mną ciężarówki.

Ale ciężki wóz zdawał się na mnie czekać. Kiedy ruszałem szybciej, i on przyspieszał, kiedy zwalniałem, zmniejszał również swoją szybkość. Poruszał się akurat w taki sposób, abym musiał jechać tuż za nim. Nie mogłem już dostrzec, w którą stronę prowadzi droga. Przed sobą widziałem tylko czarny tył wysokiego, zakrytego samochodu ciężarowego.

Byłem oburzony podobnym brakiem skrupułów ze strony kierowcy i próbowałem zoba-

czyć jego twarz we wstecznym lusterku ciężarówki, ale było ono pokryte gęstą mgiełką szronu. A więc i kierowca nie mógł mnie ujrzeć. Jakim sposobem zatem potrafił zauważyć, że się zatrzymuję? Jak mógł widzieć, że zmieniam szybkość?

Ogarnął mnie lęk. Zwłaszcza kiedy zauważyłem, że ten samochód nie posiada rury wydechowej, nie wydziela spalin, lecz jedzie przede mną całkowicie bezgłośnie. A może była to ciężarówka o napędzie akumulatorowym? Na to była znów zbyt wielka. I jechała zbyt szybko.

Zatrzymałem się raz jeszcze. Natychmiast zatrzymał się także ów wóz. Wysiadłem i podszedłem ku niemu chcąc powiedzieć kierowcy, aby skończył z głupimi dowcipami i ruszył dalej z tą samą szybkością, z jaką mnie przedtem wyprzedził. Kiedy doszedłem do kabiny kierowcy, stwierdziłem ze zdumieniem, że nie było w niej szofera. Zbierając całą odwagę, wspiąłem się na stopień samochodu. W wozie nie było nikogo. Ani śladu pozostawionego przez człowieka. Żadnej części ubrania, butelki czy rękawiczki. Tylko nie zajęte miejsce przy kierownicy. Podszedłem do przodu, przed samochód. Tam także nie odkryłem nikogo. Jedyne, co można było zauważyć na obu drzwiczkach kabiny kierowcy, to wypisany pochyłymi literami napis „Mirogoj”.

Wróciłem do swojego wozu. Gdy tylko wprowadziłem go w ruch, natychmiast ruszyła i ciężarówka. Tak jechaliśmy jakiś czas jeden za drugim. Stopniowo rezygnowałem. Szron na drzewach stawał się coraz rzadszy. Wreszcie ujrzałem pociętą blaszaną tablicę z nazwą miejscowości: „Lemberg”.

Miałem nadzieję, że teraz do głównej drogi nie jest już bardzo daleko. Ale wtedy wóz przede mną zatrzymał się nagle. Znajdowałem się na przestronnym parkingu. Ujrzałem wiele pojazdów rozmaitego typu i z rozmaitych krajów.

Szukałem drogi wyjazdowej z tego morza aut, ale nie mogłem jej znaleźć. Czy miałem wracać znów tą samą drogą? Próbowałem rozejrzeć się za właścicielami samochodów, nikogo jednak nie było widać.

Jakiś czas błądziłem bezradnie od jednego wozu do drugiego. Wtedy usłyszałem głos, którego dźwięk wzmagał się jakby wzmacniany wieloma głośnikami. Ten głos wołał: „Mirogoj”. To samo słowo, które mogłem przeczytać na obu drzwiczkach kabiny owej ciężarówki bez kierowcy.

Spojrzałem w kierunku, skąd dochodził ów głos, i wtedy odkryłem wąską ścieżkę prowadzącą od parkingu. Tam krajobraz nie miał już absolutnie charakteru zimowego. Widośnie Lemberg, którego — poza owym parkingiem — nie dostrzegałem, był tak położony, że posiadał bardzo sprzyjający klimat. Potężne brzozy, rosnące dokoła placu, były jeszcze pokryte zielenią. Również krzewy, które otaczały ścieżkę półmetrowej zaledwie szerokości okrywając ją niby dachem, osypane były czarnymi jagodami i liśćmi podobnymi do ligustru. Strach i niepokój, jaki odczuwałem w czasie jazdy tutaj, ustąpiły. Postanowiłem przejść się owym wąskim, ciemnym wąwozem wśród krzewów.

Już po pierwszych krokach pożałowałem swej decyzji. Gałęzie, uzbrojone w małe, srebrzyście błyszczące kolce, pospieszyły w moją stronę. Te szpilki były wkrótce kłuc to w twarz, to w rękę, to w nogi. A kiedy przyglądałem się bliżej owym krzakom, dostrzegłem za nimi dwie wychudłe, nędznie wyglądające kobiety w ciemnych sukniach. Przebiegały od krzaku do krzaku, umieszczając na gałązkach coraz to nowe kolce, które wyjmowały z małych pudełek. Potem całym swoim nikłym ciężarem uwieszały się u owych gałęzi, aby w chwili gdy przechodziłem, puszczając je na mnie z przeraźliwym chichotem.

Usłyszałem za sobą okrzyki bólu. Kiedy się oglądałem, ujrzałem wiele postaci atakowanych, podobnie jak ja, kłującymi gałązkami przez niewiarygodnie zwinne tam i sam biegające czarne kobiety-krzaki. Im dalej się posuwałem, tym słabiej odczuwałem ciosy ich tnących mnie gałęzi. Wreszcie doszedłem do końca cierniowej drogi. Przede mną rozpościerał się Lemberg. Także i tutaj nie odczuwało się ani trochę zimowego chłodu. Lemberg składał

się z niewielu domków wiejskich, ciasno przylegających do licznych stoków górskich. Musiałem mocno przymknąć powieki, aby nie zostać ślepiącym. Moje okulary przeciwsłoneczne zostały w wozie.

Samo słońce zasłaniał jeden z czterech wznoszących się wysoko szczytów górskich. Owe cztery wierzchołki nie były zalesione, nie było również łąk na zboczach; niebieskoczarne głązy przecięte były pionowymi równolegle biegnącymi bruzdami. Bruzdy te, mniej więcej metrowej szerokości, nadawały górom wygląd olbrzymich niebieskich kaktusów. Na kilku występach skalnych dostrzegłem małe winnice, do których jednak nie prowadziła żadna droga. Również zbudowane nad głębokimi przepaściami domy nie były z sobą połączone drogami.

Właściwie nie pociągało mnie zbyt dostanie się do jakiegoś domu ścieżką przeznaczoną dla zwierząt jucznych, na wysokościach wywołujących zawrót głowy. Ale ponieważ była to jedyna możliwość posuwania się naprzód, a ewentualność kroczenia w dalszym ciągu dotychczasową cierniową drogą nie była zbyt zachęcająca ze względu na obie wspomniane kobiety, które — jak nagle sobie uświadomiłem, były siostrami — dlatego zdecydowałem się jednak wybrać ten szlak.

Jak tylko wszedłem na ścieżkę, usłyszałem znowu głos wywołujący słowo „Mirogoj” i dochodzący tym razem od strony pewnego domu. Choć cała moja uwaga zwrócona była na drogę i musiałem uważać, aby nie stoczyć się w stromo opadającą rozpadlinę, która rozciągała się po mojej prawej stronie — nagle zrozumiałem słowo „Mirogoj”: oznacza ono „okolicę pokoju”. Jak się później dowiedziałem, tak samo nazywa się góra wznosząca się nad Agram, na której znajduje się wielki cmentarz.

Wreszcie znalazłem się przy budynku. Był to dom wiejski o płaskim dachu. Drzwi stały otworem. Wszedłem do sieni. Nie pamiętam już, jak była urządzona. Pamiętam tylko lustro umieszczone obok szatni. Było to krzywe zwierciadło, które dziwnie powiększało oczy i przy pomocy określonych efektów optycznych pozbawiało twarz zmarszczek. Usta wydawały się w nim bardzo małe i zaciśnięte. Zmieniłem układ twarzy; mimo to jej wyraz pozostał taki sam.

Dłuższy czas stałem przed tym lustrem. Kiedy odszedłem, zobaczyłem ku swemu przerażeniu, że wysoki wazon koloru terakota, który stał na ziemi naprzeciw lustra, wyglądał w nim jak rzeczywisty. Sięgnąłem dłonią ku ustom i poczułem, że stały się istotnie tak małe i spiczaste, jak ukazywało je lustro.

Mój strach ustąpił wkrótce miejsca obojętnej ciekawości, z jaką obserwowałem wszystko dokoła. Nie zaniepokoiło mnie już nawet gwałtowne uderzenie, z jakim zatrzasnęły się ciężkie drzwi wejściowe. Nie próbowałem ich nawet otworzyć z powrotem. Wiedziałem, że nie będę mógł już nigdy powrócić tą drogą, którą przyszedłem.

A więc ruszyłem dalej. Wkrótce stanąłem na wielkim tarasie tego domu, wysuniętym daleko nad opadającym głęboko w dół wąwozem. Widziałem winnice z wielkimi gronami wiszącymi na winnych latoroślach, widziałem również niezwykle bruzdy wyżłobione w skale. I wtedy nagle przystąpił do mnie jakiś człowiek. Dziś nie potrafiłbym go rozpoznać. Niezwykle grzecznie dał mi do zrozumienia, że powinienem zdjąć okrycie. Tu, w Lembergu, jest bardzo ciepło. Pociłem się w zimowym płaszczu podbitym futrem.

Nieznajomy pan odebrał ode mnie płaszcz i dał mi w zamian szarą pelerynę podobną do wiatrówki o ciemnozielonych brzegach. Dwie kłapy z sukna, przypominające poły, zwisały mi na pierś z otworów na ręce, tak jakbym włożył na siebie odwrotnie staromodną jaskółkę. Choć nie byłem przyzwyczajony do tego rodzaju stroju, czułem się w nim zupełnie dobrze. Leżał na mnie doskonale. Chętnie oglądałbym się w lustrze, ale nie chciałem już wracać do sieni. Coś powstrzymywało mnie od tego.

Życzliwy garderobiany skłonił się przede mną lekko i uczynił uprzejmie zapraszający gest, którym zdawał się zachęcać, abym przestąpił próg drzwi jako pierwszy. Ale drzwi nie

było. Jeżeli dobrze zrozumiałem ów gest, powinienem był skoczyć z brzegu tarasu w przepaść.

Naturalnie wzdragałem się. Człowiek obok mnie powtórzył swoje nieme zaproszenie. Taras nie miał poręczy. W bezpośredniej bliskości ujrzałem inny dom. Na jego tarasie tłoczyli się ludzie ubrani podobnie jak ja. Wahając się stali na brzegu tarasu. Potem skakali. Patrzyłem za nimi. Większość z nich nie spadała, lecz płynęła łagodnie w stronę przypominających grotty otworów skalnych.

Niektórzy runęli prosto w dół, ale nic im się nie stało. Mozolnie wdrapywali się potem po skalnych bruzdach w górę. Widziałem postać unoszącą się od jednej winnicy ku drugiej.

Mój opiekun nie przestawał zachęcać mnie do skoku. Stopniowo jego propozycja nie wydawała mi się tak nierozsądna. Czułem siłę potrzebną do takiego skoku. Upatrzyłem sobie pewne wgłębienie w błękitnie połyskującej górze naprzeciwko. Skoczyłem. Poczułem, że z niezachwianą pewnością steruję ku tej grocie, w której chciałem wylądować. Czułem również, że jeszcze w czasie lotu mógłbym zmienić kierunek w stronę którejś z winnic albo ku innej grocie. Nie chciałem tylko stanowczo kierować się w stronę zabudowań, chociaż wiedziałem, że w ten sposób oddalam się od parkingu i że nie jest już bynajmniej pewne, czy kiedykolwiek jeszcze odnajdę swój samochód.

U wejścia do grotty usłyszałem raz jeszcze, tym razem już po raz trzeci, głos wołający „Mirogoj”. Ze ścian wewnątrz błękitnej góry odpowiedziało odbite wielokrotne echo. Wszedłem do grotty. Kiedy wzrok mój oswoił się z mrokiem, ujrzałem, że znajduję się w wielkiej sali. Nie byłem sam. Dostrzegłem wiele postaci. Żadna nie zwracała na mnie uwagi. Większość z nich dotykając swoich twarzy wykonywała lękliwe ruchy przed wielkimi zwierciadłami. Ja także stanąłem przed takim zwierciadłem i ku mojemu zdumieniu zobaczyłem, że moje usta stały się jeszcze mniejsze. Również nos zdawał się kurczyć. Taka przemiana rysów twarzy nie zaniepokoiła mnie.

Rozejrzałem się po sali. Prócz zwierciadeł i stojących przed nimi ludźmi nie odkryłem niczego. Ruszyłem dalej w stronę wysokiego portalu otwartych drzwi, wiodących do następnej, jeszcze większej sali. U wejścia do niej spostrzegłem kilka zebranych osób i zauważyłem na ich twarzach zmiany podobne do tych, jakie zaszły na mojej. Nie mogłem poznać, kto z nich był mężczyzną, a kto kobietą. Wyraz twarzy u wszystkich był prawie jednakowy, a niezwykła odzież nie pozwalała na tego rodzaju rozróżnienie. Ściany drugiej sali były również przyozdobione lustrami. Moje usta i nos były już tylko w przybliżeniu rozpoznawalne, a wydobyć głos przyszedłoby mi na pewno z wielką trudnością. Mimo to mogłbym się porozumiewać, choć jeszcze nie wiedziałem jak.

Udałem się do następnej sali. Znowu przyćmione niebieskawe światło, znowu lustro na ścianach. Teraz spoglądały na mnie z owych lusterek już tylko moje oczy. Zobaczyłem, że większość ludzi opuszcza tę salę. Chociaż drzwi były bardzo wąskie, jednak wiele osób mogło się było przez nie przecisnąć, jednocześnie szybko i bez wysiłku.

Przyszedłem przed zamknięte drzwi. Byłem pewien, że za nimi znajduje się ostatnia sala grotty i że wkrótce wydostanę się na wolną przestrzeń. Drzwi nie miały klamki ani zamka. Przypomniałem sobie mój skok z tarasu wiejskiego domu. I szybciej, niż mogłem to sobie wyobrazić, dostałem się na powietrze. Dolina, w której teraz byłem, leżała poza Lembergim i nazywała się Doliną Spełnionych Życzeń. Wiedziałem o tym, chociaż nikt mi tego nie powiedział.

Okolica ta wprawia w zakłopotanie każdego, kto wchodzi w nią po raz pierwszy. Wspaniałe pałace stoją w ogrodach obfitujących w nie więdnące nigdy drzewa o ogromnych białych kwiatach na gałęziach. A na tym samym miejscu, gdzie stoją pałace, wznoszą się również góry. Poprzez okna pałaców i przez ogrody dobiega szum dzikich potoków nie przeszkadzających mieszkańcom, nie niszczących drzew ani kwiatów. W mgnieniu oka zmieniają się obrazy. Tam, gdzie stały pałace, rozciągają się spokojne pola, na których kołyszą się bujne

zboża, a te z kolei — nim żniwiarz zdołał je radośnie skosić — gotowe są przeobrazić się w wyschłe pustynie lub gładkie lustrzane tafle górskich jezior. Początkowo nie potrafiłem sobie wyjaśnić tej różnorodności. Jakim sposobem góry i pałac mogą znajdować się na tym samym miejscu?

Od dłuższego czasu znów opanowywał mnie strach. Podchodził ku mnie dumny bażant. Zbliżał się coraz bardziej. Chciałem się cofnąć przed nim, ale on przeszedł już przede mną na wskroś. Teraz zrozumiałem, że w tej okolicy nie obowiązują prawa fizyki. Zrozumiałem też, że było to miejsce, w którym spełniają się wszystkie życzenia.

Ktoś obok mnie odczuwał radość na widok olbrzymich złotych gór, ku którym — patrząc uszczęśliwiony przed siebie — wznosił się coraz wyżej. Ktoś inny znów stał zespolony uściskiem z drugą postacią, w błogim zachwyceniu.

Opuściłem Dolinę Spełnionych Życzeń. Interesowała mnie teraz rozległa równina, skąd już od dłuższego czasu rozbrzmiewała cicha muzyka.

Nie była to muzyka grana na instrumentach ani śpiewana na głosy. Im bardziej zbliżałem się ku owej równinie, tym muzyka stawała się wyraźniejsza. Teraz dopiero znalazłem się w Mirogoju. W siedzibie pokoju. Tam, gdzie żadne marzenie, żadna tęsknota, żadna namiętność nie ma już ciszy; gdzie nic się nie porusza, gdzie istnieje tylko milczący bezruch zastygły w wiecznym zadowoleniu. Pogodzeni śnią Dafne i Apollo. Tutaj żaden Marek nie zakłóci szczęścia Tristanowi i Izoldzie. Oboje trwają w spokoju nasłuchując dźwięków harfy Eola, której strun nie zerwie już żadna nawałnica.

Muzyka stawała się coraz głośniejsza. Brzmiała donośnie tak długo, aż wspiałem się na wyższą ścieżkę i dotarłem do głównej drogi, gdzie mogłem jechać szybciej. Miałem znowu czas rozkoszować się pokrytym szronem krajobrazem w chłodnym blasku zimowego słońca. A kiedy dotarłem do Marburga i na wielkim skrzyżowaniu spojrzałem na zegar na kościele Franciszkanów, zdumiało mnie, że mimo tego objazdu przez Lemberg nie spóźniłem się.

Noc księżycowa

Przy drzewie z trzema tablicami wskazującymi drogę zboczył z asfaltowej szosy i ruszył w kierunku księżycy, który stał już wysoko ponad górskim lasem i oświetlał tajemniczą jasnością zarówno łąki za starymi drewnianymi płotami, wejście do sztolni starej kopalni srebra, jak i na skraju lasu mizerne drzewa owocowe o stoczonych przez robactwo, kalekich pniach. Już z daleka widział czerwone kierunkowskazy, zanim objęły je reflektory jego wozu.

W świetle księżycy mógł równie dobrze obserwować swoją towarzyszkę. Spoglądał na nią od czasu do czasu ukradkiem. Oczekiwał zwykłego w takich wypadkach pytania: „Dokąd teraz jedziemy?” Lecz ona milczała. Siedziała sztywno wyprostowana obok niego i niezwykle starannie trzymała na kolanach torebkę. Po chwili, kiedy musiał włączyć drugi bieg, bo droga stawała się coraz bardziej stroma, zdjęła lewą dłoń z tej torebki i położyła na jego dłoni. Czy była obeznana z rytuałem krótkich, urlopowych miłostek? Przeczyłaby temu niezręczność, z jaką jej nazbyt duża dłoń przylgnęła do jego własnej, którą zdjął właśnie z przekładni. Czułość, rodzaj tej czułości, z jaką w chwilę potem, kiedy bez słowa jechał po coraz bardziej stromej lesistej drodze w górę, pogładziła jego włosy, miała w sobie jakąś poprawność zdradzającą raczej niedoświadczenie, jeżeli nie w ogóle brak talentu w tym kierunku. Ledwie odważymy dowody jej sympatii. Sterczące korzenie, drewniane rynny, którymi spływała woda, wystające z drogi kamienie pochłaniały całą jego uwagę.

Nie znał tej drogi i zdecydował się jechać po prostu za czerwonym znakiem. Prowadził

on do wejścia w głąb opuszczonej kopalni srebra. Na jednej z trzech tablic umieszczonych na drzewie, wskazujących drogę, skąd skręcił w bok, przeczytał w świetle reflektorów obok czerwonego znaku napis: „Droga wygodna dla pieszych”.

Znał swą obecną towarzyszkę bardzo mało. Kiedy w południe ujrzał ją przed otwartą apteką dyżurną, wydawała mu się prawie niesympatyczna. Rozmowa między obojgiem wywiązała się przypadkowo. Niechcący potracił nogą jej torebkę postawioną na chodniku. Przeprosił grzecznie. Jej głos, kiedy mu odpowiedziała, zabrzmiał twardo. Słowa padały wolno i z dużymi przerwami. Jak głązy wyrąbywane ze skały. Sprawiała wrażenie osoby szorstkiej. Wydawało się, że długie jasnoblonde włosy zmontowała w kunsztowną konstrukcję w czasie wielogodzinnej pracy przed lustrem, przy pomocy całego arsenału klamer i spinek. W świetle księżyca nadawało to i sylwetce coś kruchego. Nazywała się „Bosse”, „Boser” czy jakoś w tym rodzaju. Nie dosłyszał tego nazwiska. Mieszkała w Niemczech i tutaj spędzała urlop. Kiedy doszło do pożegnania, zaproponował, że odprowadzi ją do pensjonatu.

W ciągu dwudziestu minut wspólnej jazdy samochodem toczyła się urywana rozmowa. Jechali wyboistym, pozbawionym odgałęzień wąwozem. Przy końcu drogi zapytał, czy nie miałyby ochoty zjeść z nim razem kolacji.

Miała ochotę. Poprosiła tylko, aby zaczekał pół godziny, nim położy spać swoją ośmioletnią córkę. Punktualnie po półgodzinie zjawiła się z powrotem. Zauważył, że trochę poprawiła swój makijaż. Czarne kreski, którymi usiłowała nieco pomniejszyć ciężkie powieki, były dopiero co narysowane, a czerwień warg jeszcze świeża. Była żwawa i ruchliwa, jej pełna godności popołudniowa rezerwa zniknęła prawie zupełnie. Przyznała nawet otwarcie, że cieszy się bardzo na ten wieczór.

W czasie kolacji postanowili zgodnie przejść na „ty”. Miała na imię Marta. I choć początkowo starał się usilnie, aby nie dotknąć jej nogi swoją, niemniej kilkakrotnie doszło do tego. Przysuwała się do niego coraz bliżej. I kiedy — dzięki winu, którego wypili sporo — rozmowa stała się bardziej podniecająca i serdeczna, a on nie tyle świadomie, ile raczej przypadkowo sięgał ku jej wielkiej dłoni, wówczas uczył kolano przyciskające się z całą premedytacją do jego kolana.

Z tą samą premedytacją, z jaką obecnie w czasie jazdy jej duża lewa dłoń obejmowała jego kark, tworząc jakby rodzaj oparcia pod głowę. Droga stawała się wąska i nierówna. Już obawiał się, że w czasie powrotu będzie musiał cofać się tyłem, gdyż o zawróceniu nie było mowy. Wreszcie drzewa otaczające czerwono znakowany szlak do opuszczonej kopalni zaczęły rzednąć i otworzyła się przed nimi niewielka, oświetlona księżycem polana.

Zjechał w bok. Kiedy wjeżdżał w wysoką trawę i pokrzywy, lękał się, czy mimo światła księżyca i błyszczących jasno reflektorów wozu nie przeoczy jakiejś ukrytej nierówności gruntu, w której wóz mógłby utknąć. Byłaby to sprawa na całą noc. Tutaj nieprędko znalazłby kogoś, kto by w takim wypadku przyszedł z pomocą.

W końcu się zatrzymał. Przed wygaszeniem świateł sprawdził, że nietrudno będzie zawrócić.

Dziwna rzecz. Wydało mu się, że nie była zadowolona z tego postoju. Lewą dłoń — która obejmowała jego kark i od czasu do czasu nieporadnie burzyła jego włosy — położyła teraz na trzymanej wciąż na kolanach torebce. Poważnie, jakby z oddalenia, wpatrywała się w niego czarnymi oczyma, tracącymi barwę w blasku księżyca, który sunął z wolna ponad wierzchołkami drzew.

Czyżby się bała? Sądził, że tego rodzaju sytuacje nie były jej obce. Miała 36 lat i od siedmiu lat była wdową. Mąż zginął w wypadku samochodowym. Wszystko to opowiedziała mu w czasie kolacji.

Przyciągnął ją do siebie. Usiłował pocałować, mimo że kierownica i przekładnia biegów bardzo mu w tym przeszkadzały. Nie broniła się. Ale nie zmieniła sztywnej, wyprostowanej postawy, wciąż, jak przedtem, przyciskała torebkę do kolan i jedynie opornie — kiedy

ją obejmował — przechylała się w jego stronę. Jak tylko zwalniał uścisk, natychmiast prostowała się z powrotem i przybierała poprzednią upodabniającą ją do posagu postawę.

Włączyła radio i szukała muzyki tanecznej.

— Lubisz muzykę? — zapytała.

— Tak, oczywiście. Ale wszystko w swoim czasie. Szczerze mówiąc w tej chwili nie mam na nią ochoty — odpowiedział przyjaźnie. Z zadowoleniem stwierdzał, że mimo owego niedosłego pocałunku nie przestawała mu mówić „ty”.

— Ja mogłabym jej słuchać bez końca. Dniem i nocą. Potrzebuję tego. Niekoniecznie musi to być muzyka. Byle co. Byle jakiś dźwięk. Nie znoszę ciszy.

— Czy mam ci coś zaśpiewać? Może to: „Ukaż się cichutko, dobry księżycu” — i wyciągnął dłoń w kierunku księżycy, którego tarczę rozcinały teraz na części przełamujące ją gałęzie buków. Po czym ujął znów jej duże dłonie i próbował ją przyciągnąć do siebie. Ale ona wciąż nie wypuszczała torebki i zachowywała się tak, jak gdyby nie pojmowała, o co mu chodzi. Wtedy puścił jej dłonie usiłując dyskretnie, lecz pieśczośliwie ująć ją w ramiona i pocałować. Opór pozostał nie zmieniony. Nie odpychała go wprawdzie, ale nadal zachowywała rezerwę.

Zastanawiał się. Przez chwilę się wahał, czy nie odwieźć jej z powrotem do pensjonatu, do córki. Nie martwiłby się z tego powodu za bardzo. W gruncie rzeczy niewiele mu zależało na tym romansie.

Ale potem zdecydował inaczej. Spytał, czy jego pieśczośliwość sprawiają jej przykrość.

Odpowiedziała niemal z przestachem:

— Nie, nie, naprawdę. Nie obejmuj mnie tylko zbyt mocno. Mam pogruchatane plecy.

Roześmiał się. — Pogruchatane plecy? Niczego takiego nie zauważyłem. — I bardzo delikatnie przesunął dłoń wzdłuż jej kręgosłupa.

— Tak, tutaj. Nie czujesz? Tutaj mam złamany jeden kręg. I wyżej, przy karku jeszcze jeden. Kiedy przez dłuższy czas siedzę — muszę koniecznie podeprzeć czymś głowę, bo zaczynam odczuwać ból. — Położył dłoń na jej karku, który okrywały włosy przetkane gęsto szpilkami i spinkami, po czym zapytał, czy przyczyną był ów wypadek drogowy, który spowodował śmierć jej męża.

— Nie, to nie żadna katastrofa. Cierpię na to już dawno. Ale nie mówmy o tym. Takie sprawy nudzą mężczyzn. — Był pewien, że nie uniknie wysłuchiwania tej historii. Tak zawsze mówią kobiety, które chcą opowiadać. A więc z całą serdecznością zachęcił ją do tego.

I opowiedziała. W czasie wojny, z obawy przed wrogiem przebrano ją za chłopca. Jako chłopca aresztowano ją i wywieziono na roboty. Miała wtedy 12 lat. Pracowała przy usuwaniu gruzu. — Stąd te moje wielkie dłonie. A kiedy pewnego razu nie mogłam już pracować, nadzorca uderzył mnie z całej siły ciężką szuflą w plecy. — Potem okazało się to dla niej zbawienne, skierowano ją bowiem do szpitala. Tu stwierdzono, że jest dziewczyną. Jedna z lekarek spowodowała wtedy, że odesłano ją z powrotem do domu.

— Od tego czasu jestem strzępem człowieka. Nie tylko z powodu mojego kręgosłupa. Ciężkie roboty przyprawiły mnie również o wadę serca. Jak stwierdził lekarz, jedna komora sercowa nie pracuje. I muszę wciąż zażywać te idiotyczne pigułki. — To mówiąc uniosła na moment w górę torebkę, która załśniła przelotnie w słabym świetle włączonego radia. Wyjęła z niej małe pudełko i wysypała na dłoń dwie pastylki.

— Niedobrze ci? — zapytał. Chciał pogładzić jej jasnoblonde włosy, ale obawiał się, że może zburzyć kunsztowną fryzurę.

— Nie martw się. Nic mi nie jest. Doprawdy. Biorę je tylko na wszelki wypadek. — Jej głos i sposób mówienia były teraz znowu naturalne. — Zażywam wtedy, gdy zaczynam odczuwać niepokój. Może się zdarzyć, że poczuję się źle. Przy tobie jestem niespokojna. W sposób, który sprawia mi przyjemność. — Zaśmiała się. — Czy moje opowiadanie rozczarowało cię? Nie myśl o tym. Chciałabym, żebyś był przy mnie szczęśliwy. — Tym razem ona była tą,

która w swój specyficzny, trochę niezręczny sposób przyciągnęła go ku sobie i pocałowała.

Jej pocałunki i następujące po nich pieścizny, do których go prowokowała bez większych wahań, czego przedtem trudno było po niej oczekiwać, miały w sobie jakieś bolesne roznamietnienie. Spotykał je już u kobiet żyjących dłuższy czas bez mężczyzny.

Odczuwał dumę. Zwłaszcza wtedy, gdy pieścizną go dłonie zdawały się omdlewać, jakby osuwając się sztywno wzdłuż jego ramion, aż czepliły się ich kurczowo. Oddychała ciężko, przez całe jej ciało przebiegało spazmatyczne drżenie.

Spazm z wolna ustępował i uchwyt jej dłoni rozluźniał się. Stała się ciężka. Czekał. Radio grało oświetlając torebkę. Nie zauważył nawet, kiedy — zapewne zgodnie z właściwym jej zamiłowaniem do porządku — zawiesiła ją na wywietrzniku samochodu.

Nie reagowała już na jego pieścizny. Szeptał do niej. Mówił jej po imieniu. Nie odpowiadała. Ogarnął go przestach. Nieznacznie dotknął jej pulsu. Bił słabo i nieregularnie. Zemdląca. Najwidoczniej zbyt się podnieciła. A przecież w tym lesie nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc.

Przysunął swą rękę z zegarkiem w stronę radioodbiornika, aby dojrzeć godzinę. Była druga po północy. Kobieta leżała na jego kolanach ciężka jak kamień.

Ostrożnie otworzył drzwiczki samochodu i prawie z przerażeniem zgasił oświetlenie wewnątrz wozu, które się przy otwieraniu drzwiczek automatycznie włączyło. Wyłączył również radio. Potem wyciągnął swoje kolana spod jej pleców i wysiadł. Na zewnątrz stało się tymczasem zupełnie ciemno, księżyc był już za grzbietem gór. Obszedł wóz dokoła i otworzył drzwiczki po jej stronie. Przy tym ruchu zawieszona torebka upadła w wysoką trawę. Z ogromnym wysiłkiem starał się wydostać kobietę z wozu za nogi, po czym uchwycił ją pod łopatkę i wydobyl na zewnątrz. Mimo całej ostrożności nie zdołał zapobiec temu, że jej kręgosłup dwukrotnie dość mocno uderzył o stopień wozu. Gdyby była przytomna, musiałoby to sprawić jej ogromny ból. Ułożył ją w bujnym poszyciu leśnym. Starał się, aby nie leżała na pokrzywach.

Kiedy potem nawracał samochodem, wciąż lękając się, że może wpaść w niewidoczną rozpadlinę, nagle pod prawym przednim kotem wyczuł jakiś opór, który za chwilę z trzaskiem ustąpił.

Dopiero jadąc dalej w dół wąską, kamienistą drogą, uświadomił sobie, że była to zapewne jej torebka, którą przejechał. Musiał teraz uwagę koncentrować na drodze. Przez dłuższy czas nie widział żadnych znaków i obawiał się, że przy dalszych rozwidleniach drogi może zabłądzić.

Aż wreszcie, kiedy wyjechał z lasu i ujrzał zarysy powykręcanych drzew owocowych, zorientował się, że niedaleko stamtąd było do owego drzewa z trzema tablicami wskazującymi miejsce, od którego rozpoczyna się dobra asfaltowa szosa. Księżyc nie oświetlał już górskiego lasu. Zrobiło się bardzo ciemno. Wejście do opuszczonej kopalni srebra było w ogóle niewidoczne.

Święto ropuch

Był niezwykle ciepły dzień kwietniowy. Już z daleka, wysoko ponad winnicami na stokach południowej Styrii ujrzałem żółte mury posiadłości przypominającej zamek. Należała ona do zaprzyjaźnionej ze mną rodziny. Od wielu już lat spędzałem tam Wielki Tydzień.

Zboczyłem z wiejskiej drogi. Topole otaczające wąską drogę do zabudowań były jeszcze pozbawione listowia. W winnicach pracowano. Na niektórych gałęziach licznych drze-

wiek brzoskwiniowych kielkowały już pąki. Jechałem bardzo wolno. Jak zwykle Zygfryd, dwunastoletni syn mego przyjaciela, spletał mi znów figla przy powitaniu. Zawsze znajdował przyjemność w tym, aby mnie zaskoczyć i przestraszyć. Czasami wypadł zza szopy w czarnej masce na twarzy i mierząc we mnie wyciągniętym kijem, niby z karabinu maszynowego, zmuszał do zatrzymania się. Albo pewnego razu — wtedy rzeczywiście poważnie mnie przestraszył — postawił na niewidocznym zakręcie w poprzek drogi stracha na wróble i z największym trudem zdołałem zahamować, aby na niego nie wpaść. Innym razem ze zgołą niezwykłą pracowitością zbudował ze zwykłych kijów zaporę na drodze, zaopatrując ją w tablicę z napisem: „Zakaz wjazdu dla morderców ślimaków, robaków i ropuch”.

Było to wymierzone przeciwko mnie, gdyż od czasu do czasu zdarzało mi się istotnie przejechać autem jakiegoś ślimaka, robaka lub nawet wiele ropuch, które każdego ciepłego dnia wiosennego wypęzły na drogę i na mokre jeszcze łąki. Po moim przyjeździe odbywał Zygfryd skrupulatny przegląd całego wąskiego dojazdu przez winnice i za każde przejechane stworzenie musiałem płacić szylinga. Pieniądze te, potwierdzał mi to jego ojciec, który karcił Zygfryda stale za pobieranie owego haraczu, chłopiec rzucał następnej niedzieli na tacę w kościele, aby — jak zwykł był mówić — „przebłagać Boga za morderstwa wuja Wolfkinda”.

Tym razem drogę przejechałem bez przeszkód. Czyżby Zygfryd zachorował? Nie było go także przy powitaniu. Moi przyjaciele byli wyraźnie przygnębieni. Już miałem zamiar zapytać o Zygfryda, ale wtedy właśnie go ujrzałem. Wynałazł sobie nową zabawę. Zawinięty od stóp do głów w gruby brązowy papier stał pomiędzy małymi drzewami brzoskwiniowymi, wyciągał sztywno ramiona w górę i wołał: „Prędko, wujku, prędko, jestem drzewem brzoskwiniowym, którego nie odwinięto, pocę się bardzo, nie mogę zakwitnąć, nie mogę wydać owoców”.

Jak zwykle dałem się wciągnąć w tę jego grę. Wziąłem nożyce ogrodnicze, które znalazłem w szopie na starej tłoczni do wina, podszedłem do chłopca i powiedziałem: „Patrzcie, patrzcie, drzewko brzoskwiniowe, które jeszcze teraz w kwietniu jest owinięte i nie przycięte. Nie ma wyjścia, musimy mu zaraz przyciąć gałązki”.

Udałem, że mam zamiar obciąć chłopcu palce wielkimi nożycami. Pozwolił się przewrócić na ziemię. Leżał tak bezradny do momentu przecięcia sznurów, przy pomocy których obwiązał sobie papier wokół ciała. Zauważyłem, że ojciec Zygfryda obserwuje naszą zabawę zatroskany. Zapytałem potem, co niebezpiecznego znajduje w tym nowym pomysle swego syna.

— Właściwie nic — odpowiedział, ale po chwili dorzucił: — Wiesz, ten chłopak dziwnie się zmienił w ostatnich tygodniach.

Mnie Zygfryd wydawał się wesoły i hardy jak zawsze.

— Nie, nie, wierz mi, doprawdy, bardzo się o niego martwimy.

— Czy ma jakieś trudności w szkole?

— Przeciwnie, uczy się nawet bardzo dobrze. Tu nie chodzi o szkołę. On zmienił się sam w sobie. Jest niespokojny, zamknięty, milczący. W nocy nie może zasnąć. Wstaje z łóżka, chodzi w kółko, mówi do siebie.

Byłem przekonany, że mój przyjaciel, który był, jeśli chodzi o syna, zawsze precyzyjny, dramatyzuje sytuację. Powiedziałem więc:

— No tak, młodzież dziś wcześniej dojrzewa. Może jest zakochany. To się zdarza nawet dwunastolatkom.

— Myślałem już i o tym. Ale w kim? Coś musiałoby przecież zwrócić uwagę moją lub żony. Poza tym Zygfryd zawsze nam o wszystkim opowiadał. Nie widzę powodu, dla którego nie miałby wyznać, że myśli o jakiejś dziewczynie.

— A może jest chory? Albo jego zachowanie ma jakąś określoną przyczynę? — dodałem, że dzieci w wieku Zygfryda bywają szczególnie wrażliwe, i nieraz drobnostki, na które dorośli nie zwracają uwagi, wprawiają je w nadmierne podniecenie.

— Ale co by to mogło być? U nas życie od lat biegnie tym samym, jednakowym rytmem. Nie mam pojęcia, jakie wydarzenie mogłoby go tak zmienić. Byłem już w jego szkole i pytałem nauczycieli, czy ma jakieś trudności albo czy coś zwróciło ich uwagę. Wszyscy jednak stwierdzają, że jest miły i pogodny jak zawsze. Tylko w domu zachowuje się w sposób zastanawiający. Tobie mogę to powiedzieć, zresztą sam byś na pewno zauważył. Otóż, chłopak wykrada się nocą z domu i wraca dopiero nad ranem. Cieszę się, że przyjechałeś. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś zechciał kiedyś z nim pogadać. Ja próbowałem wszystkiego. Pierwszy raz, kiedy nie było go całą noc w domu, nawet go nie uderzyłem. Nie robiłem mu żadnych wyrzutów. Zapytałem go tylko, gdzie był. Ale niczego nie można było z niego wydobyć. Następnym razem sprawiłem mu naturalnie lanie. Ale także bez skutku. Może ty wyciągniesz z niego więcej.

— No cóż, drogi przyjacielu — powiedziałem i byłem pewny, że mam rację — będziesz się musiał z tym pogodzić. Zastanów się tylko nad tym, czy w sąsiedztwie jakaś przystojna dziewczucha albo młoda nauczycielka nie przygarnęła twego syna do serca mocniej, niż by to się tobie podobało.

— W wieku dwunastu lat? To bzdura!

— Bzdura, nie bzdura, takiej ewentualności nie można z miejsca odrzucać. Zresztą, żeby cię uspokoić — od tego się nie umiera.

— Ależ, spójrz na niego, to przecież jeszcze zupełne dziecko! Tutaj bawi się z tobą w drzewko brzoskwiniowe, a tam w nocy miałby być kochankiem? — Na próżno starałem się przekonać przyjaciela, że w wieku dojrzewania tego rodzaju połączenie dziecięcej naiwności z popędem seksualnym bywa czymś zupełnie zwyczajnym.

Robiło się chłodno. Weszliśmy do wnętrza domu. W środkowym pokoju, przy wielkim stole z piętrzącymi się książkami szkolnymi siedział Zygryd nad wypracowaniem z matematyki.

— No, no — powiedziałem — drzewko brzoskwiniowe studiuje matematykę! — Zygryd uśmiechnął się do mnie przyjaźnie jak zawsze. Potem wstał, zaświecił światło, obniżył trochę lampę, która na staroświeckim urządzeniu do przesuwania, wisiała nad stołem, i przystąpił do podkreślania linijką wyników zadania. Jakiś czas stałem za jego plecami, a kiedy jedna kreska wypadła dość krzywo, powiedziałem: — Będziemy jednak musieli przyciąć brzoskwini gałęzie, skoro się tak trzęsą.

Wtedy Zygryd, nie reagując na mój żart, zapytał mnie zniechęcony:

— Ile ślimaków masz tym razem na sumieniu? A ile ropuch?

Równocześnie zaczął w sposób niezwykle udany naśladować rechot i kumkanie ropuchy. Wyprowadziło to jego ojca z równowagi. Zerwał się z obciążonej zielonym sukniem kanapy, na której siedział, wołając: „Tym razem mam już dosyć tego idiotycznego kumkania”. Nie chciałem w obecności jego syna zwracać przyjacielowi uwagi, ale postanowiłem sobie powiedzieć mu — jak tylko znajdę się z nim sam na sam — że tego rodzaju wybuchy, które zresztą były u niego czymś niezwykłym, na pewno nie przyczyniają się do odzyskania zaufania chłopca.

Zygryd posłusznie przestał kumkać, powiedział tylko: — Idę teraz przeliczyć, ile ich tym razem zamordowałeś. — I znowu usłyszałem wzbudzony głos ojca: — Zostaniesz w domu! Zrozumiano! Jest już ciemno. Teraz nie zobaczysz żadnego robaka ani ropuchy!

— Ależ tak, naturalnie, że można ją w ciemności widzieć! — zaprzeczył Zygryd dość energicznie. Dyskusja stawała się niemiła, toteż odczułem ulgę, kiedy poproszono nas do stołu. W drodze do jadalni Zygryd wezwał mnie nieznacznym skinieniem do siebie, tak jakby chciał potajemnie szepnąć mi coś do ucha. Pochyliłem się ku niemu. Ale usłyszałem tylko zniechęcony przez ojca „kwak, kwak”, którym Zygryd naśladował rechot ropuch.

Prawdę mówiąc, to ciągłe rechotanie Zygryda nie wydawało mi się aż tak bardzo absurdalne, skoro w czasie całego posiłku, któremu towarzyszyła tylko bardzo kulejąca i rwąca się

rozmowa, od mokrych łąk, potoków i bagien wdzierał się do pokoju chór tysięcy żab i ropuch; wibrujące, niespokojne pasmo dźwięków, które owijało się wokół wszystkich odgłosów domu i mieszało z nimi tworząc orkiestrę o barwie dźwiękowej, charakterystycznej dla wiosennych wieczorów na wsi — orkiestrę, której czarowi poddawałem się zawsze długo i chętnie, z niczym nie zmaconym spokojem.

Dlatego nie byłem zły, kiedy mój przyjaciel usprawiedliwił się wobec mnie i poszedł wcześniej spać. Także Zygfryd musiał się położyć. Wyszedłem przed dom. Nad ciemnymi topolami błyszczał księżyc. W małych kałużach na drodze, którą przyjechałem, poruszało się coś nieustannie, a jednocześnie ociężałe, jakby wszystkie ropuchy świata przylazły do tych winnic na swoje wiosenne święto.

Usiadłem na starej tłoczni w szopie. Żółtość domu wydawała się w świetle księżyca znacznie bledsza niż w ciągu dnia, wygięte, ociężałe i nieładne barokowe obramienia okienne, nieco sterczące ze ściany, rzucały głębokie, roztapiające się w mroku szyby cienie.

Całość zabudowań sprawiała na mnie zawsze wrażenie zamczyska. Tu na górze czułem się zawsze pewnie. Tym razem byłem zaniepokojony. Udzielił mi się strach mego przyjaciela. Wsłuchiwałem się w noc. W nie kończące się serenady miłosne ropuch wmieszał się nagle cichy odgłos. Dochodził z głębi domu. To Zygfryd powoli ostrożnie otwierał okno swego pokoju. Ujrzałem, jak wydostaje się z niego na zewnątrz i skacze na ziemię. Po wprawie, z jaką to robił, po zręczności, z jaką zamknął okno, nim zeskoczył w dół — poznałem, że miał już doświadczenie w tego rodzaju nocnych wyprawach.

Ukryłem się za ścianą szopy. Postanowiłem iść w pewnej odległości za nim. Pomyślałem, że i jego ojciec mógłby wpaść już kiedyś na ten pomysł.

Zygfryd podążał szybko w kierunku małego lasku, który rósł na wzniesieniu. Nie był to właściwie las, raczej tylko kilka buków, parę krzewów olszyny przetkanych smukłymi brzoźkami. Kiedy Zygfryd oddalił się mniej więcej na dwieście metrów od domu, ruszyłem za nim. Co chwila zwalniał, czasem przystawał i rozglądał się dokoła. Obawiałem się, że może mnie zauważyć. Potem ujrzałem, jak znika za krzakami nie opuszczając jednak drogi. Wolno schodził drugą stroną wzgórza w dół, aż do wąskiej ścieżki, o której wiedziałem, że prowadzi do małego stawu. Staw był otoczony kilkoma karłowatymi świerkami. Latem zwykle wysychał.

Obserwowałem Zygfryda z daleka. Zatrzymał się nad owym stawem. Po chwili usiadł na pniaku i bez ruchu zaczął się wpatrywać w wodę. Z dala od niego, w miejscu, z którego ścieżka się rozgałęzia, zszedłem z drogi i zbliżyłem się do stawu z przeciwnej strony. Nie chciałem, aby Zygfryd sądził, że go szpieguję. Poza tym miałem zamiar jeszcze trochę odczekać. Może umówił się z kimś nad tym stawem? W każdym razie nasze spotkanie tutaj powinno być wyglądać na przypadkowe. Chłopiec wiedział, że lubię spacerować późnym wieczorem. Nie zdziwiłby się więc spotkaniu ze mną.

Ale na razie zatrzymałem się jeszcze za krzakiem rosnącym samotnie na łące. Wydawało mi się czymś nieprawdopodobnym, aby chłopiec dla samej tylko przyjemności siadywania nocą nad małym stawem gotów był narażać się na ojcowskie wyrzuty i kary. Czekałem. Ale prócz Zygfryda nie było nikogo. Być może właśnie dzisiaj czekał na próżno?

Początkowo Zygfryd nie zauważył mnie. Siedział pogrążony w myślach i patrzył w nieruchomą tafłę wody, która lśniła w blasku księżyca. Była to noc poprzedzająca pełnię.

— Stać, policja! — krzyknąłem. Zygfryd podskoczył i odwrócił się przestraszony w moją stronę.

— Ach, to ty — powiedział po chwili — ty także wybrałeś się na spacer?

— Naturalnie, w taki piękny wieczór trzeba koniecznie odetchnąć świeżym powietrzem.

Chciałem wywołać w nim przeświadczenie, że to spotkanie uważam za coś zupełnie naturalnego. I jakby mimochodem zapytałem:

— Co tu robisz?

— Siedzę i patrzę.

— Czy to ci się często zdarza?

— O, tak — teraz chłopiec patrzył mi prosto w oczy — czasem siedzę tu przez całą noc.

— Wiesz przecież, że tatek (tak nazywał Zygryd swego ojca) bardzo się martwi, kiedy przez całą noc nie ma cię w domu. Mnie możesz powiedzieć, bądź pewny, że mu tego nie powtórzę: co ty właściwie robisz, kiedy tak na całą noc znikasz z domu?

— Przecież ci powiedziałem. Siedzę tutaj.

— Ale chyba nie sam?

— Oczywiście, że sam. Zupełnie sam.

Wołania i skargi żab i ropuch rozlegały się tu szczególnie wyraźnie. Setki ich wynurzały się ponad wilgotny brzeg stawu.

— Ależ chłopcze, nie w mówisz przecież we mnie, że przesiadujesz tu całymi nocami, żeby wpatrywać się w ropuchy?

— Kwak, kwak! — było jedyną odpowiedzią.

Wobec tego zmieniłem temat. Nie chciałem, aby rozmowa miała charakter przesłuchania. Pytałem więc, jak mu idzie w szkole, jak było na tegorocznym kursie narciarskim. Ale przy całej gotowości, z jaką odpowiadał mi na wszystkie pytania, wyczuwałem, że nie byłoby mu nieprzyjemnie, gdybym go dalej wypytywał o przyczyny jego nocnych wędrówek. Po jakimś czasie spytałem, czy nie wróciłby już razem ze mną do domu. Ale nie chciał. Na pytanie, dlaczego zamierza jeszcze zostać, odpowiedział tylko: „Muszę czekać”.

A więc jednak, pomyślałem. I ucieszyłem się ogromnie, gdyż okazało się, że moja teoria się potwierdza. Bardzo po przyjacielsku i tak, jakby to była — nawet u dwunastoletniego chłopca — rzecz najzupełniej zrozumiała, zagadnałem:

— Czy ona jest ładna?

Odpowiedź padła bez cienia zakłopotania i bez wahania:

— Nawet bardzo. Przepiękna.

Szczerść, z jaką dwunastoletni zaledwie chłopiec mówił o swojej przyjaciółce, zdumiała mnie. Pytałem dalej:

— Jak ona się nazywa?

— Tego nie wiem dokładnie.

— Przecież musisz znać nazwisko swojej przyjaciółki?

— A jednak nie znam.

— Nie powiesz mi, że co noc umawiasz się z przyjaciółką i nawet nie wiesz, jak jej na imię.

— Nie jestem z nią umówiony. Czekam na nią. Naprawdę, nie wiem, jak się nazywa.

Przypuszczałem, że wymijające odpowiedzi Zygryda wynikają mimo wszystko z jego zakłopotania, i zapytałem go, ile ona ma lat. Ale i tego nie wiedział. Nie potrafił mi również wyjaśnić, jaki jest jej zawód ani czy i gdzie chodzi do szkoły. Nie potrafił także nic powiedzieć na temat miejsca jej zamieszkania.

— No cóż, drogi Zygrydzie, to mnie bardzo martwi — powiedziałem. — Najwidoczniej uważasz mnie za starego głupca, któremu można wmówić wszystko.

Początkowo sądziłem, że moje słowa nie robią na chłopcu żadnego wrażenia, gdyż nie zmienił pozycji i nie reagował na moje wyrzuty, lecz nagle odezwał się:

— Ona mieszka w stawie.

— W stawie?

— Tak, w stawie mieszka Królowa Stawu, na którą czekam. — Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Zygryd widząc moją bezradność rzekł:

— Posłuchaj, nic na to nie poradzę, że mi nie wierzysz, ale naprawdę czekam na Królową Stawu. Ona ma zielone włosy i bardzo czarne oczy.

— Ależ, kochany przyjacielu, pomijając fakt, że jesteś już dostatecznie dorosły, aby wiedzieć, że żadne królowe stawu, morza czy jezior nie istnieją, to jakże królowa mogłaby

mieszkać w tym bajorze? I gdzie przebywałyby latem, kiedy woda wysycha?

Ale Zygfryd obstawał przy swoim.

— W stawie przebywa dziewczyna i w lecie odejdzie stąd razem ze mną.

Z jednej strony to mnie uspokoiło. Gadanina Zygfryda o domniemanej dziewczynie ze stawu na pewno uspokoi jego ojca. Z drugiej strony jednak martwiłem się: dwunastoletni chłopiec, który wierzy w jakąś „Królową Stawu” i wyczekuje na nią nocami?

— Czy dzisiaj przyjdzie? — zapytałem.

Jakiś czas wyteżonym wzrokiem wpatrywał się w wodę, w której wciąż odbijał się księżyc, po czym wstał.

— Chodźmy — powiedział. — Jutro jest pełnia, wtedy z pewnością przyjdzie. Ale musisz mnie zostawić samego. Dziś na pewno ją spłoszyłeś.

Obiecałem, że następnej nocy nie przeszkodzę mu już w umówionym spotkaniu, po czym powoli i w milczeniu wróciliśmy do domu.

Następnego dnia, kiedy Zygfryd po raz ostatni przed feriami wielkanocnymi udał się do szkoły, opowiedziałem jego rodzicom o naszej nocnej rozmowie. Obojgu spadł jakby kamień z serca. Za jednym zamachem poprawił się nastrój w domu. Cały dzień przeszedł pogodnie i beztrudnie, tak jak zawsze dotychczas bywało w tej rodzinie. Wieczorem po kolacji zasiedliśmy — w trójkę — do małego remika. Było trochę nudno, ale za to panował spokój.

Zygfryd odszedł już pod pozorem zmęczenia i zapewne — w chwili kiedy dość późno tego wieczoru wstawaliśmy od gry, aby udać się na spoczynek — siedział już nad stawem i marzył o swojej dziewczynie wierząc, że wynurzy się ku niemu w pełnym blasku księżyc z głębi stawu, spośród gromady rechotających żab i ropuch.

Po jasnej nocy księżycowej nadszedł burzliwy, mokry poranek. Niebo było szare.

— To naprawdę nie ma sensu — mówił właśnie gwałtownie do żony mój przyjaciel, w chwili kiedy wchodziłem do środkowego pokoju. — Naprzód siedzi całą noc nad stawem, a teraz znów kto wie, kiedy się zbudzi.

— Dajcie mu spać — powiedziałem — dziś tak czy owak nie ma szkoły.

Była dziewiąta, zjedliśmy już śniadanie, a Zygfryd wciąż się nie pokazywał. Jego pokój był zamknięty. Zaczęliśmy się niepokoić. Ojciec przystawił drabinę i wspiał się do okna chłopca. Pokój był pusty.

Zajęliśmy w trójkę miejsca w samochodzie i ruszyliśmy drogą przez las, a potem dalej, aż do miejsca, gdzie wąska ścieżka odgałęziała się w kierunku stawu.

Pobiegłem naprzód. Zygfryd leżał — z głową zanurzoną w wodzie — w mokrej trawie. Po martwym ciele pełzały ropuchy. Ramię chłopca wyciągnięte było daleko do przodu. Gorączkowo staraliśmy się, przy pomocy gałęzi wyłamanych z krzaków, uwolnić ciało chłopca od ropuch przyklejonych do niego po dwie i trzy. Dopiero kiedy wspólnymi siłami przeniesiliśmy go przez łąkę do samochodu, spostrzegliśmy, że w jego szeroko otwartych zimnych ustach ukryła się jeszcze jedna ropucha. Tylko z trudem udało nam się wyrwać ją pomiędzy zębów chłopca.

Z wściekłością cisnąłem ją na drogę. Pękła z trzaskiem i rozciągnęła się niezgrabnie na własnych żółtawych wnętrznościach.

Burza

Nagle usłyszał bardzo wyraźnie krzyk ptaków zrywających się z koron miotanych wichrem drzew. Ciężkie chmury tłoczyły się jak stado krów, które biegło tuż obok drogi, aby

schronić się w szopie. Burza pędząca owe chmury nie dotarła jeszcze na halę znaną z gwałtownych burz. W powietrzu była na razie cisza. Cisza, w której słychać było najmniejszy szelest. Z przeszywającym nieomal hałasem trzeszczały kamienie pod jego coraz spiesznymi krokami i traćane od czasu do czasu ciężkimi turystycznymi butami toczyły się w dół, w kierunku trawiastych zboczy, pomiędzy drogą a ogrodzeniem z naelektryzowanych drutów, za którymi schroniły się gwiaździste osty.

Jeszcze miał nadzieję, że uda mu się dotrzeć przed deszczem do swego samochodu ustawionego przy końcu drogi na wielkim parkingu. Szedł, jak mógł najszybciej, lecz starał się nie biec. W lewej ręce niósł dzbanek z czarnymi jagodami, w prawej blaszaną puszkę pełną grzybów. Krawędź puszek ocierała mu boleśnie prawe biodro. Chętnie zamieniłby oba naczynia, ale nie chciał tracić na to czasu. Kiedy gdzieś daleko dał się słyszeć pierwszy głuchy grzmot, jeszcze bardziej przyspieszył kroku, aby umknąć chmurom, które pędziły za nim coraz bardziej chyże i coraz ciemniejsze. Wicher, który je gnał, zdawał się i jego poganiać. Lodowatymi podmuchami smagał płaskowyż górski, przepędzał tu i ówdzie ptaki z drzew, wprawiał w wir porzucone pudełka papierosów i opakowania z czekolady, a ostatnich spacerowiczów, których widział umykających jeszcze co tchu z całkiem już prawie opustoszałego parku, przemieniał w pokurczone, rozczochrane postacie, tak bezbronne, jak owe gnące się przed nim korony drzew i krzewy. Do samochodu było jeszcze daleko. Ogarnął go lęk. Coraz częściej zimny wiatr przenikał poprzez jego lodenową marynarkę aż do mokrej od potu skóry. Jaki nagły spadek temperatury! Bał się przeziębienia. Błyskawice rozdierały chmury szalonymi zygzakami. W każdej chwili mógł uderzyć piorun.

Mógł, jakże łatwo, uderzyć w drzewo, w płot, nad którym rozciągnięte były przewody elektryczne, w stado bydła, w niego samego. Nie, nie wolno było odpocząć ani na chwilę. Nie mógł sobie pozwolić, aby przełożyć ciężar z jednej ręki do drugiej, chociaż prawe biodro bolało go bardzo. Zresztą, nie tylko biodro. Paliła go także prawa dłoń, którą już od dobrej półgodziny niezmiennie obejmował puszkę. Z wolna poddawał się bólowi. Pochylił się na bok. Równocześnie gnębiło go pytanie, czy nie zgubił w lesie lub w czasie owego gorączkowego marszu kluczyków od samochodu. Z trudem starał się wymacać wolnymi jeszcze palcami lewej dłoni zawartość prawej kieszeni od spodni. Przy tym jego kolana uderzyły mocno o dzbanek z jagodami. Ale poprzez grubą skórę spodni nie mógł wyczuć, czy kluczyki istotnie tam się znajdują. Wprawdzie wydawało mu się, że dotyka czegoś twardego, ale mógł to być równie dobrze guzik od spodni, który oderwał mu się w lesie, gdy pochylił się, aby zerwać grzyb, tak że musiał wtedy szelki zapiąć z tyłu na jeden tylko pozostały guzik.

Zastanawiał się, jak długą drogę ma jeszcze przed sobą. Chociaż miejsce postoju oddalone było w prostej linii zaledwie o około stu metrów, to jednak droga w tamtą stronę wiła się jeszcze wieloma krętymi serpentynami. Padały ciężkie krople. Wzmagająca się coraz gwałtowniej zawierucha pędziła je prawie poziomo ponad rozoranymi przez zwierzęta trawnikami, a grzmoty nie rozbrzmiewały już wielokrotnym echem, odbitym od dalekich ścian górskich, lecz uderzały z chmur z hukiem równocześnie z błyskawicami. Pomiedzy jednym grzmotem a drugim było cicho. Nagle zrozumiał tę ciszę. Jego kroki — które stawały się coraz bardziej nieregularne, bo bardzo bolało go biodro od przyciśniętej doń puszeki — nie zakłócały tej ciszy.

Usiłował kierując się rozsądkiem opanować strach. Przypomniawszy sobie kolegów, którzy nieraz wieczorem w pogodnym nastroju opowiadali mu o potężnych burzach górskich. O tym, jak niekiedy, przemoczeni aż do skóry, musieli — zarzuciwszy na głowy pulowery lub marynarki — chronić się przed wielkimi ziarnami gradu, jak widywali błyskawice rozszczepiające na pół drzewa i zwierzęta. Nigdy w tych opowiadaniach nie przemilczali strachu, którego napędzała im tego rodzaju okropna pogoda. Teraz próbował wyobrazić sobie siebie jako opowiadającego. Uśmiechał się nawet na myśl o tym, jak śmieszny musiałby wydawać się tym swoim znajomym skrzywiony z bólu, który odczuwał w biodrze.

Przerażające uderzenie piorunu — i jaskrawa błyskawica rozświetla ciemne niebo. Z brzegów występują strumienie jakby płonące ogniem. Padające coraz częściej krople przesycają wilgocią jego skórę. Musi zejść na bok, nim burza rozpełta się z całą siłą. Wreszcie postanawia wycofać się z drogi biegnącej nie kończącymi się zakrętami w kierunku parkingu i spróbować przejść na przełaj przez łąkę i mały las, gdzie pod drzewami mógłby schronić się przed deszczem podobnie jak milczące ptaki, i dostać się do swego wozu. Widzi go, jedyny pojazd na opustoszałym parkingu. Jest irytująco bliski, a jednak nieosiągalny. Traci drogo-cenne sekundy na przesunięcie puszki przez naelektryzowane druty ogrodzenia, a potem robi to samo z dzbankiem wypełnionym czarnymi jagodami. Na koniec przeczołguje się sam tamtędy uważając trwoźnie, aby nie dotknąć drutów, chociaż zdaje sobie sprawę, że porażenie prądem, którego musi się obawiać, nie byłoby zbyt silne. Po drugiej stronie ogrodzenia z wysiłkiem podnosi z powrotem swój ciężar. Tym razem przerzuca grzyby na lewą stronę, a jagody na prawą. Chciałby ruszyć dalej biegiem. Mały las jest bardzo blisko, ale grunt okazuje się zbyt miękki. Zapada się głęboko w mokrą ziemię, która przy każdym kroku niemal ściąga mu buty z nóg. Chociaż zamienił niesione przedmioty, to jednak po jakimś czasie lewe biodro zaczyna go boleć jeszcze mocniej niż przedtem prawe. Im większy staje się deszcz zamieniający się z wolna w jednolitą szarą ścianę, tym bardziej niezwykły, niesamowity staje się jego strach. Do tego stopnia, że coraz bardziej nie pozwala mu w ogóle zebrać myśli

Strach ma charakter spokojny. Strach, który działa jakby za niego. I każe mu od czasu do czasu wypowiadać nieświadomie strzępy zdań w rodzaju: „zapamiętaj sobie dobrze to miejsce, czaszka była z drewna, w kierunku wschodnim”. Decyduje się ukryć bez większego wahania puszkę z grzybami pod jednym z drzew, którego odarte z kory połamane gałęzie sterczą w ulewnym deszczu jak rogi byka. Bez puszki biegnie teraz pod świerk o gęstych gałęziach. Tam zatrzymuje się, ale schronienie, które spodziewał się pod nim znaleźć, okazuje się niewystarczające. Burza pędzi ukośnie wprost na niego. Po kilku chwilach jest całkowicie przemoczony. Wydaje mu się, jakby stał nagi w potokach deszczu. Mimo to porzuca swoją kryjówkę. Strach pędzi go dalej. Jest przemoczony, mknie w kierunku, w którym znajduje się jego samochód. Mokre gęste zarośla biją go po twarzy, potyka się o sterzcący z ziemi korzeń. Przy tym dzbanek wyślizguje mu się z ręki, jagody rozsypują się. Podnosi naczynie i biegnie dalej. Nie troszczy się o rozsypane jagody.

Na jakiejś polance dostrzega nagle kosa skaczącego przed nim bezradnie. Któreś z ogromnych ziarenek gradu trafiło go boleśnie i zmiotło z drzewa na ziemię. Ściąga marynarkę, przykrywa nią głowę i pędzi pod drzewa, których gałęzie osłabiają gwałtowność spadania wielkich ziaren gradu.

Pragnie przeczekać, aż ustanie grad. Przez marynarkę zarzuconą głęboko na głowę, aż na samą twarz, niewiele widzi. Mimo to dostrzega obok siebie kolonię świeżych, żółtych maślaków. Nie odczuwa żadnej satysfakcji zbieracza, jaka przepelniała go jeszcze kilka godzin temu, gdy jeden po drugim wkładał grzyby do puszki. Jak tylko grad się przerzedził, zmarnięty biegnie znów w kierunku polany, a potem dalej, do innej części lasu, tej, która zdaje się oddzielać go jeszcze od celu. Im bardziej wdziera się w głąb, tym miększy staje się grunt, tak miękki jak na łące, po której szedł, kiedy wysiadł i wozu. Czuje, że zapada się weń coraz głębiej. Znów musi uważać, aby nie zgubić butów. Nagle staje nad strumieniem, który przepływa obok głębokim, rwącym nurtem. Nie wydaje się to bezpieczne, choć strumień nie jest zbyt szeroki. Postanawia go przeskoczyć. Zdejmuje z głowy marynarkę, ale decyduje się nie wdziewać na siebie tej zupełnie mokrej części garderoby. Przytrzymuje ją pod pachą, bierze rozbieg na tyle, na ile pozwala grząski teren, i skacze. Dostaje się wprawdzie na drugi brzeg, ale miękki grunt, na którym ląduje, nie daje oparcia. Osuwa się po nim, oto stoi już w mętnej, rwącej wodzie aż po pas. Obok niego przepływają bystro korzenie, kawałki drewna i — jak stwierdza ze wstrętem — martwa mysz. Z całych sił czepia się oburącz mokrej trawy. Dzbanek i marynarka z lodenu spływają z prądem w ślad za korzeniami i myszą. Z trudem dźwiga

się na przeciwległy brzeg i prostuje się tam dysząc. Ulewa jeszcze nie ustaje. Z wysiłkiem przedziera się dalej przez las. Jego skórzane spodnie zaczynają opadać. Szelki zsuwają mu się aż do kolan. Również drugi guzik z tyłu oderwał się podczas przeskakiwania strumienia i związanych z tym ruchów.

Nie waha się dłużej. Zdejmuje skórzane spodnie, zwija je, chowa pod ramię i rusza dalej tylko w koszuli i kapielówkach. Stopniowo grunt w lesie staje się twardszy. Idzie szybciej naprzód. Poszycie leśne nieprzyjaźnie mokre przyczepia mu się do koszuli do tego stopnia, że po pewnym czasie ma liczne głębokie zadrapania. Wtem spoza zarośli ukazuje się polana. Z ogromnym wysiłkiem, mamrocąc wciąż oderwane zdania w rodzaju: „można by się uśmieć” albo „ależ to idiotyczne”, wydostaje się na skraj lasu, tam skąd spodziewał się ujrzeć swój wóz. Istotnie dostrzega go, ale bardzo niewyraźnie, poprzez szarą ścianę deszczu. A kilka kroków przed nim, w zdradzieckich skrętach, ukazuje się znowu płynący przez górski płaskowyż rwący strumień.

Strumień był tutaj szerszy — o przeskoczeniu nie było co marzyć — łożysko zaś ciągnęło się równoległe do drogi. Droga i strumień wiły się w skomplikowanych zawijasach aż do postoju wozu. Zdezorientowany, biegł jakiś czas wzdłuż strumienia brzegiem lasu, a kiedy wkrótce zanurzył się z powrotem w gęstwinę, która zaczęła szarpać jego koszulę, tak że w chwilę potem zostały z niej tylko mokre, klejące się do ciała strzępy, błysnęła mu nadzieja, że zdoła jednak ominąć pętlę, w której był uwięziony. Marznął. Lodowaty wichur pędził ogromne mokre płaty śniegu pod drzewa. Powoli opanowywało go zmęczenie. Im bardziej go ogarniało, tym stawał się spokojniejszy. Zastanawiał się. Może położyć się pod pokrytym papą stosem drewna, obok którego już dwukrotnie przechodził? Ale wiedział, że nie wolno kłaść się, kiedy jest się zmarzniętym i zmęczonym.

Dreptał dalej. Słyszał, jak szum padającego deszczu z wolna ustępuje, i wywnioskował, że tam dalej, na łące już przestaje padać. Ale w lesie deszcz nie ustawał. Woda spływała gęstymi potokami z ociekających gałęzi. Próbował znów jak najszybciej wydostać się z gęstwiny, która dała mu tak mało schronienia. Tymczasem stracił orientację. Gęsta mgła wciskała się tu i ówdzie między drzewa. Wkrótce, sądził, znajdzie się w pobliżu miejsca, w którym wszedł do lasu i gdzie zostawił puszkę z grzybami. Wnet usłyszy znowu z oddali głośny szum strumienia przecinającego łąki i grupy drzew na wiele bagnistych części, i ukaże się polana, gdzie ujrzał zranionego kosa.

Wreszcie, z rozdrapaną mokrymi gałęziami skórą i w podartej koszuli, stanął na łące, która opadała stromo ku strumieniowi. W kilku miejscach krwawił. Jego wozu nie było. Za żadną cenę nie wszedłby teraz z powrotem do lasu. Już raczej zmarznięty i śmiertelnie zmęczony ruszy wzdłuż stromego brzegu strumienia. W końcu musi spotkać kogoś, kto wskaże mu właściwą drogę do parkingu. Teraz, kiedy burzliwa ulewa przeszła stopniowo w drobny deszcz, przedstawiał jeszcze bardziej żalony widok. Ze skórzanymi spodniami pod pachą i ze zwisającymi szelkami, z zakrwawionymi udami i rękami, odziany tylko w podartą koszulę i kapielówkę. Nie śmiał się z siebie. Było bardzo zimno i każde zaczerpnięcie tchu sprawiało mu ból.

Potem nie czuł już bólu przy oddychaniu, pędził naprzód, a głuchy odgłos jego mokrych butów zapadających się w trawę nikał wśród wołania ptaków, które ostrożnie otrzepywały skrzydła w koronach drzew, oraz w ryku krów opuszczających swoje schronienia i powoli schodzących z powrotem na łąki.

Nie widział sępa, który z wolna i leniwie krążył wokoło nad zboczem, jak również byka, który stapał za nim podrażniony szelkami dyndającymi u jego skórzanych spodni. Kiedy przerażony sapaniem zwierzęcia odwrócił się nagle, zobaczył je przed sobą z opuszczonym łbem, ogromnym karkiem i krwawo błyskającymi czerwonymi ślepiami. Z wystającymi czarnymi rogami przypominającymi gałęzie drzewa, pod którym on ukrył puszkę z grzybami.

Lęk, że napadnie go kiedyś byk, był zawsze największą obsesją jego samotnych gór-

skich wędrówek. Ale teraz, gdy widzi przed sobą wściekłego olbrzyma, rośnie w nim — mimo strachu, który już przeżył — zupełny spokój. Jest spokojny i opanowany jak prawie każdy, na kogo spada nieszczęście nie do zniesienia. Rozgląda się ostrożnie dokoła. Teraz dopiero widzi, że strumień, wdzierający się kilka metrów pod nim głęboko w grunt łąki, zaciąga wokół niego ciasną pętlę, w której czuje się schwytyany. Byk zamyka mu drogę do ucieczki. Nie odważa się na skok do wody strumienia z wysokości pięciu czy sześciu metrów. Czeka na to, co się stanie, i potem zaskakuje go fakt, że róg byka zatapiający się głęboko w jego brzuchu sprawia mu ból właściwie jedynie w pierwszym momencie, kiedy pęka skóra. Później natomiast, gdy róg zanurza się coraz bardziej w jelita i w wątrobę, ma się już tylko tępe, trochę kłujące doznanie.

I tak cicho i spokojnie, jak leżał na łące nad zakrętem strumienia, tak samo skłoniły się nad halą chmury i sunęły wolno przez zbocza niby cierpliwe, łagodne stado bydła. Daleko, na drugim końcu hali, gdzie znajdował się parking, chmury dźwignęły się z powrotem w górę i płynęły swobodnie dalej. Wieczne słońce barwiło czerwono ich brzegi. Czerwienią jaśniejszą niż na zakrwawionym rogu byka. Skubiąc spokojnie trawę zwierzę stapało po wilgotnych łąkach, na których znów dzwoniły świerszcze. Ciężkie kopyta byka pozostawiały głębokie ślady w miękkim gruncie.

Pan przy sąsiednim stoliku

Możliwości rozrywek były ograniczone. Parafialne kino wyświetlało dwa razy w tygodniu westerny albo filmy patriotyczne. Pogoda była fatalna. Cały wolny czas spędzałem uwięziony dobrowolnie w tutejszej gospodzie, usadowiony w świetlicy, gdzie pod wielkim kafłowym piecem zajmowałem bezpieczną pozycję za książką i gazetą. Córka właściciela gospody, Mina, zaopatrywała mnie w pokaźne ilości grzanego wina z korzeniami.

Była zima, przebywałem w tej okolicy służbowo. Gospoda, gdzie mieszkałem, znajdowała się na głównym placu wsi. Owego pochmurnego i bezśnieżnego wieczoru w grudniu — z pewnością nigdy go nie zapomnę (była to środa, 11 grudnia) — siedziałem na swoim stałym miejscu w świetlicy. W pokoju oprócz mnie znajdował się jeszcze jeden gość, inżynier Poldoni. Był to chudy pan w średnim wieku. Ciemna cera, mocno wypukłe oczy zdające się wskazywać chorobę Basedowa oraz gęste kręcone włosy mogłyby świadczyć o negroidalnym typie. Ale łagodziła ten wygląd, ten charakter, elegancja światowca oraz wyniosły spokój w zachowaniu.

Nikt nie wiedział dokładnie, co robił w takiej zapadłej wsi. Każdego wieczoru siadywał przy sąsiednim stoliku, niedaleko mnie; początkowo sądziłem, że powodem jego regularnych odwiedzin jest Mina. Także wspomnianego wieczoru nie spuszczał z niej wzroku. Ale chłodna niedbałość, z jaką zamówił omlet z dżemem poziomkowym i herbatę z cytryną, kazała mi przyznać Minie rację. Mianowicie kiedyś, gdy sprzątała mój pokój, zapytałem ją wprost:

— Mina, sądzę, że Poldoni przychodzi tu co wieczór tylko z twojego powodu?

— Ojejku, Poldoni? — wybuchnęła śmiechem. — Gdzie ta. On zawsze trzyma fason. Nie wiem, skąd panu takie coś wpadło do głowy.

Później dowiedziałem się, że inżynier Poldoni kupił rok temu domek myśliwski od jakiegoś zubożałego hrabiego. Mieszkał tam teraz ze swoją sparaliżowaną siostrą zupełnie na uboczu. Żadnego zawodu nie wykonywał.

Jak zwykle tak i tego grudniowego wieczoru włączono w oddzielnym pokoju telewizor i niespokojne światło z jego ekranu drgając rozjaśniało ciemność za uchylonymi drzwiami.

Mina była zapaloną wielbicielką telewizji. Chętnie przebywała w owym ciemnym pokoju wsparta o kredens, a gdy się tam już raz znalazła, w mrocznym wyobcowaniu tej zaczarowanej izby, nieprędko można ją było stamtąd sprowadzić. Zapominała wtedy o całym Bożym świecie i niejednokrotnie musiałem na cały głos dopominać się o swoje grzane wino.

Owego wieczoru, o którym opowiadam, nie zdążyła jeszcze nawet zaciągnąć zasłon. Małe okna gościnnego pokoju przypominały okienka wpuszczone w grube mury więzienia. Przez ich kute w żelazie kraty przebłyskiwały zasnute mgłą światła latarni wiejskiego placu. Czekałem już dość długo na swoje wino. Miałem nadzieję, że jego działanie ułatwi mi kontakt z traktującymi o magii dziełami Agryppy z Netterheimu, którego w tym czasie studiowałem. Inżynier Poldoni siedział na swoim miejscu spoglądając przez zakratowane okna na plac. Od czasu do czasu niezgrabnie pociągał za zwisający tuż przy nim jedwabny sznur od okiennej zasłony, ale bezskutecznie. Mimo wielokrotnych wysiłków nie udawało mu się opuścić barwnych, wzorzystych zasłon i uniknąć w ten sposób beznadziejnego widoku za oknami; szarpał sznurem coraz gwałtowniej. Wydawał się wzburzony i nieopanowany. Istotnie, jeszcze nigdy Mina nie zaniedbywała nas w taki sposób.

— Tak, tak, zgrabni panowie na ekranie telewizyjnym interesują Minę bardziej niż my obaj — powiedziałem, aby ułagodzić niezadowolenie mego sąsiada.

— Ach, ta telewizja! — syknął. — Nie do pojęcia!

— Ależ, niech pan zrozumie — zapragnąłem wciągnąć inżyniera w rozmowę. — Biedne stworzenie skazane przez całe lata na tę nudną wieś. Tylko to jedno kino w domu parafialnym. Trudno się dziwić, że stała się taką entuzjastką telewizji. Proszę wybaczyć, siedzimy już dłużej niż tydzień obok siebie, pan pozwoli, że się przedstawię, moje nazwisko Wolfkind.

Patrzył na mnie chorobliwie wypukłymi oczyma.

— Bardzo mi miło, Poldoni. Jeżeli chce pan wiedzieć: inżynier. Ściślej eks-inżynier.

— Mina! — krzyknąłem tak głośno, jak tylko mogłem — grzane wino, czerwone, omlet z dżemem poziomkowym i herbatę z cytryną dla inżyniera Poldoniego! — i równocześnie trzasnąłem z hukiem o stół tomem mojego Agryppy z Netterheimu.

Awantura, którą zrobiłem, pomogła. Mina zjawiła się z przymrużonymi oczyma. Rzeczywiście, zupełnie o nas zapomniała. Po tysiącokroć prosiła o wybaczenie, po czym automatycznie zapuściła zasłony, również te u okna przed panem Poldonim, i to w dodatku bez żadnego wysiłku. Następnie wpadła do kuchni, dając w niezrozumiałym lokalnym dialekcie wskazówki Zośce, domowemu popychadłu, której obowiązkiem były najczarniejsze roboty. Przyniosła skwapliwie nakrycie dla pana inżyniera i z widoczną skruchą postawiła natychmiast na stole gliniany kubek do wina. Zmieszana, krzątała się także przy pozostałych stołach, poprawiała ustawienie popielniczek i wkładała rozrzucone tu i tam ilustrowane pisma w przeznaczone dla nich ramy. Ale już wkrótce wymknęła się znowu na magiczny seans do osobnego mrocznego pokoju.

Pojawienie się Miny spowodowało, że rozmowa, którą nawiązałem z inżynierem Poldonim, urwała się. Inżynier siedział teraz znów zamknięty w sobie, rysując jak zawsze na grubym obrusie niewidoczne litery przy pomocy sznura od zasłony opuszczonego teraz nisko, po ściągnięciu go w dół przez Minę.

Z bocznego pokoju dochodził zawodzący śpiew jakiejś primadonny. Pieśń o wierzbie.

— Oho, nasza Mina wspięła się na wyżyny sztuki. Grają *Otella* — powiedziałem.

— Wiem, wiem — usłyszałem od sąsiedniego stolika, a zabrzmiało to tak, jak gdyby milczący dotąd eks-inżynier stał się nagle usposobiony do rozmów — tak, *Otello*. Gdyby pan wiedział...

— Nie, nie wiem. To Verdi. Jego przedostatnia opera — powiedziałem ze specjalnie podkreślaną naiwnością. Poldoni uśmiechał się niedbale.

Wreszcie wstał i zbliżył się do mojego stolika. Skłonił się lekko. Jego sylwetkę charakteryzowała wyjątkowa elegancja.

— Pan pozwoli, że się przysiadę.

— Będzie mi bardzo miło — i przesunąłem się, aby mu zrobić miejsce.

— Widzę, że czyta pan Agryppę z Netterheimu. Jego książki czytują tylko ci, którzy zdają sobie sprawę, że jedyną drogą do poznania jest tak zwane „logiczne myślenie”. Potrafiłem je sobie przyswoić jako przedstawiciel nauk technicznych.

— Logiczne myślenie, nędzna podpórka naszej nieszczęśliwie zwichniętej intuicji — zachęcałem go nie wiedząc, co ma oznaczać to jego wyznanie. Zdumiało mnie, że Poldoniemu znane było nazwisko niemieckiego biskupa, słynnego przedstawiciela wiedzy tajemnej.

— Ja także studiowałem owego Agryppę oraz kabałę. Miałem na to dość czasu i powodów. Studiowałem 11 lat. Za grubymi murami. Za kratami — i wskazał na okna, zakryte teraz przez barwne zasłony — pośród czarnych ścian — z kolei wskazał na ciemne drewniane boazerie — strzeżony przez karabiny i bagnety. — Tu wyciągnął dłoń w kierunku jelenich rogów umocowanych na ścianach świetlicy.

— Siedział pan w więzieniu? — chciałem mu zaoszczędzić otwartego przyznania się.

— Tak jest. — Owo „tak jest” zabrzmiało niemal uroczyście. — W więzieniu. Jedenaście lat niewinnie. Pokutowałem za Otella.

— Co proszę? — wszystko to zaczęło mi się wydawać trochę niewiarygodne.

Ale on powtórzył raz jeszcze:

— Pokutowałem jedenaście lat za Otella. Dlatego powinien pan zrozumieć, jeżeli powiem, że ta opera wprawia mnie zawsze w niepokój. Jak również to, że nienawidzę telewizji. Powinna być zabroniona.

— Nie bardzo rozumiem, szanowny panie inżynierze — stawałem się coraz bardziej niepewny. Wydało mi się rzeczą możliwą, że Poldoni nie jest całkiem normalny. Albo przestał nim być teraz, właśnie w moim towarzystwie, przy moim stoliku. Wiedziałem, że przy chorobie Basedowa zdarzają się czasem tego rodzaju stany.

— Otóż to, nikt tego nie rozumie. Widzi pan, właśnie dlatego aresztowano mnie. A teraz — i tu stał się niegrzeczny — może pan sobie swojego Agryppę z Netterheimu wsadzić gdzieś, jeżeli mi pan nie wierzy.

— Ależ wierzę panu, choć wcale mi pan tego nie ułatwia — broniłem się.

— Jeżeli pana nie nudzę, opowiem panu wszystko.

— Doprawdy, nie nudzi mnie pan — Poldoni zaczynał mnie coraz bardziej interesować.

— W gruncie rzeczy niewiele mam do opowiadania. Było to 11 lat i 3 miesiące temu. Zasiadłem wraz z moją żoną — inżynier Poldoni mówił wolno mimo wyczuwalnego wewnętrznego podniecenia — przed telewizorem. Moja żona była wielką zwolenniczką Verdiego, a właśnie w programie wystawiano *Otella* w obsadzie słynnych gwiazd. Jak zwykle zresztą, tak i tego wieczoru zasypiała. Szedł ostatni akt. Desdemona leżała już w łóżku. Wówczas pojawił się Otello. Z początku ukazały się tylko w tle jego kontury, zresztą w świetnych ujęciach. Z wolna zbliżał się. Bliżej, coraz bliżej. Wprawiało mnie to w zdumienie. Nie podchodził do Desdemony, ale na sam przód sceny.

— Tak, tak, to są ci dzisiejsi reżyserzy — zauważyłem, ale właściwie tylko po to, aby uśmierzyć podniecenie, w jakie wprawiało Poldoniego jego opowiadanie.

— Niech pan słucha dalej — przerwał mi. — On rósł coraz bardziej, z płaskiego obrazu wyłaniał się plastyczny kształt, czarny i potężny, drżący z gniewu, zdolny do gwałtownego czynu. Przeraziłem się. Chciałem wyłączyć telewizor. Ale siedziałem jak sparaliżowany. Nagle dysząca namiętnością postać stanęła w pokoju przede mną i skierowała się w stronę mojej żony. Nie mogłem się nawet poruszyć. A on jednym dzikim ruchem zrywa sznur z zasłony okiennej i zarzuca go mojej żonie na szyję. Żona budzi się wzywając przeraźliwym głosem pomocy. „Carlo”! woła, tak mam bowiem na imię, „Carlo, proszę cię, proszę, nie zabijaj mnie! Co ci takiego zrobiłam?” To były ostatnie słowa, które mogła wypowiedzieć, gdyż w tej samej chwili czarny napastnik ścisnął już jej gardło. Byłem niemym obserwatorem. Nie

zdołałem go także zatrzymać, nawet wówczas kiedy moja żona osunęła się martwa na ziemię — po prostu zniknęła. Sąsiedzi otworzyli siłą drzwi naszego mieszkania. Usłyszałem mieszkającą obok nas panią Windel, która krzyczała pełna oburzenia: „Widzisz go, drania? A nie mówiłam, że kiedyś zakatrupi tę kochaną panią?”

— Ależ to... — opowiadanie Poldoniego wydało mi się niewiarygodne, lecz on przerwał mi znowu: — Niech pan nie mówi, że to niemożliwe, mój panie. Oświadczam panu, że wszystko odbyło się tak, jak tu opowiedziałem. Ale co miałem robić? Żona w przedśmiertnym strachu wołała moje imię. I wiem, że wielu uważa mnie za kolorowego, cierpię bardzo na tarczycę, mam ciemną skórę i kręcone włosy. W ciągu 11 lat posiwiały. Przed sądem nie próbowałem przedstawiać prawdziwego przebiegu wydarzeń. Mój obrońca poradził mi, abym oświadczył, że działałem pod wpływem zazdrości. Jeden z moich dobrych przyjaciół ofiarował się zeznać, że był kochankiem mojej żony. No cóż, efekt: okoliczności łagodzące.

Jeszcze nim zdołałem ustosunkować się do tego wszystkiego, w drzwiach ukazała się Zośka:

— Gdzie je Mina? Omlet byndzie zimny, a wino już rychtyg gotowe.

— Mina, Mina! — wołałem znowu. Ale Mina się nie pojawiała. — Siedzi przy telewizorze — powiedziałem do Zośki.

— Mina, chodź-ino! — wołała Zośka krzykliwie, ale równie bezskutecznie jak ja.

Chciałem wstać i pójść po nią. Ale inżynier Poldoni chwycił mnie mocno za ramię i osadził z powrotem na krześle.

— Proszę tu zostać — rzekł przyciszonym głosem. Po czym dodał głośno:

— Niech pani tam idzie, Zosiu, i popatrzy. Może usnęła przy telewizji?

Zośka ruszyła ciężkim, kołyszącym się krokiem do sąsiedniego pokoju. Jakiś czas panowała cisza. Potem rozległ się przeraźliwy krzyk. Za chwilę Zośka stała przed nami drżąc cała i trzymając w dłoni sznur. Z podniecenia nie mogła wydobyć z siebie głosu.

— Niech się pan nie załamuje — odezwał się do mnie szeptem Poldoni.

— Co z Miną? — zapytał Zośki.

Zośka stała jak wryta. Wreszcie z ogromnym wysiłkiem wyjąkała:

— Udusili. Zaś tym sznurem.

— Kto ją udusił? — pytał dalej Poldoni.

Zośka stała niema. Nie powiedziała ani słowa.

Poldoni mruknął: „A więc udusili ją”. Chciałem zaprotestować. Ale on znowu ścisnął moje ramię. Popatrzył na mnie ostrzegawczo:

— Proszę to mnie zostawić. Inaczej obaj znajdziemy się za kratkami. Tym razem dłużej niż jedenaście lat. Niechże pan pomyśli logicznie.

Reszta była już sprawą rutyny policji kryminalnej i sądu.

Stary

Stary siedział w szerokim wiklinowym fotelu przed swoimi pszczołami. Tutaj sadza się go zawsze. Sam o własnych siłach nie potrafił już wstać. Nie mógł chodzić. Oczekiwał tylko dnia, kiedy dźwignie się ze swojego wiklinowego fotela, podniesie ponad dom, ponad kwitnącą lipę, w której huczą pszczoły, wyżej, aniżeli unoszą się podczas ciepłych wiosennych dni królowe pszczoł.

Nad rozległą dolinę, leżącą pod nim, nadciągnęły duże, ciężkie chmury, rzucając mroczny cień na pola i łąki. Stary był sam ze swoim wnuczkiem.

W pobliżu zaskrzeczał bażant.

— Co to za ptak? — zapytał mały.

— Bażant.

— Dlaczego ma taki brzydki głos?

— Jego głos nie jest brzydki, tylko my go nie rozumiemy.

— Czy ty rozumiesz, co mówią pszczoły?

— Nie.

Stary patrzył w dół, na daleką dolinę.

— Co ty tam widzisz w dole?

— Ściemnia się, będzie burza.

— Jeżeli mama i tata nie wrócą przed burzą do domu, będziesz musiał tu siedzieć i cały zmokniesz. Ja jestem jeszcze za mały, nie mogę cię prowadzić.

Stary czekał.

— Ile ty masz właściwie lat?

— Osiemdziesiąt cztery.

— Czy to jest bardzo dużo?

— To bardzo dużo.

— Czy pszczoły także mogą mieć osiemdziesiąt cztery lata?

— Nie.

— Kiedy pszczoły umierają?

— Pszczoły żyją najwyżej pięć lat.

— W takim razie one umierają w moim wieku. Dlaczego one umierają tak młodo?

— Pszczoła, która ma pięć lat, jest stara.

— Czy pszczoła, która ma pięć lat, jest naprawdę taka stara, jakby miała osiemdziesiąt cztery lata?

— Może nawet starsza.

— A kiedy pszczoła ma tyle lat co ja?

— Po kilku dniach.

Chłopczyk okrążał dziadka w podskokach wołając:

— Ja mam dopiero kilka dni! Jestem jeszcze całkiem młody. Jestem małą pszczółką, a ty jesteś starą pszczołą i nie potrafisz już latać.

Koła, które malec zataczał w tańcu wokół wiklinowego fotela, były coraz większe.

— Nie zbliżaj się za bardzo do pszczół.

— Nie boję się! Jestem młodą pszczółką, a ty jesteś starą pszczołą.

— Pszczoły mogą cię pokłuć. Chodź tu do mnie.

— Dobrze, teraz młoda pszczoła przylatuje z powrotem do starej. — Kiedy mały znalazł się znowu przy dziadku, zatrzymał się na krótką chwilę i nadśluchiwał.

— Czy słyszysz, jak lipa śpiewa?

— To nie lipa, to pszczoły.

— Czy pszczoły kłują lipę?

— Ależ nie, one tylko dozywają miód z jej kwiatów.

— Dlaczego w takim razie kłują ludzi?

— One kłują ich tylko wtedy, kiedy się boją.

— Czy mnie się boją?

— Tak, przecież cię nie znają.

— A ciebie znają?

— Oczywiście, mnie znają.

— Ale kiedyś cię nie znaly?

— O tak, na początku kłuły mnie często.

— A lipy nigdy nie pokłuły? Nawet na początku?

— Nie, pszczoły nie kłują ani kwiatów, ani drzew.
— A lipa jest stara? Czy ona ma także osiemdziesiąt cztery lata?
— Lipa jest starsza.
— Ile ma lat?
— Ona ma wiele setek lat.
— Czy ty dożyjesz także tylu lat co lipa?
— Nie. Człowiek nie żyje tak długo jak drzewa.
— To znaczy, że ja także nie będę taki stary jak lipa?
— Naturalnie, że nie.
— Jaki stary będę?
— Nikt nie wie, ilu lat może dożyć.
Chłopiec podniósł wzrok ku niebu, które pokrywała ciężka, ciemna chmura.
— Widzisz tę dużą chmurę?
— Tak.
— Kiedy ta chmura umrze?
— Kiedy spadnie na ziemię.
— Ale przecież chmury nie spadają na ziemię?
— A jednak tak, kiedy pada deszcz, grad albo śnieg.
— W takim razie w każdym strumyku i w każdej rzece są martwe chmury. W takim razie każda kałuża jest nieżywą chmurą. W takim razie my pijemy nieżywe chmury.
— Tak. Jemy martwe liście, martwe zwierzęta i pijemy martwe chmury.
— Czy jemy także martwe pszczoły?
— Ależ nie. Nie jemy pszczoł, tylko ich miód.
Wnuk zostawił znów dziadka samego i zaczął się bawić.
— Odsuń się od pszczoł.
Ostrzeżenia i ruchy starego były niepewne.
— Czy to boli, jak pszczoła ukłuje?
— Bardzo boli.
— Czy pszczoła może często kłuć?
— Nie, pszczoła może ukłuć tylko raz. Kiedy ukłuje, musi umrzeć.
— Czy ja także muszę umrzeć, jak mnie pszczoła ukłuje?
— Nie, ty nie.
Chłopiec zbliżył się do klombu z różami, który graniczył z łąką.
— Dlaczego tym różom brakuje tylu płatków? Kto je oberwał?
— W nocy objadają je sarny.
Mały zerwał jedną różę.
— Pozwól żyć tym różom.
— Jej cień mnie ukłuł. Jeżeli róża ukłuła, musi umrzeć tak jak pszczoła.
Przyniósł zerwaną różę dziadkowi.
— Ile lat miała ta róża?
— Może tylko kilka godzin.
— W takim razie była młodsza ode mnie.
— Być może.
W dalekiej dolinie ciemniało. Z oddali dały się słyszeć grzmoty.
— Dlaczego robi się teraz ciemno?
— Nadchodzi burza.
— Czy chmury będą znowu umierały?
— Tak.
— Ile lat mogą mieć chmury?
— Nie wiem.

— Czy my żyjemy dłużej od chmur?
— Tak, one umierają szybko.
— Jeżeli mama i tata nie przyjdą zaraz, to umarłe chmury napadną na nas i będziemy zupełnie mokrzy. Czy my wtedy także umrzemy?
— Nie.
— Czy pszczoły mogą też zmoknąć?
— Nie. Pszczoły nie mokną. One chronią się przed tym do swojego domku.
— Także stare pszczoły?
— Wszystkie.
— Czy są pszczoły, które już nie mogą latać?
— Nie, jeżeli pszczoła nie potrafi unieść się w powietrze, wtedy umiera.
— Ale ty nie możesz polecieć do swojego domu?
— Nie.
— A czy ja mogę?
— Ty potrafisz to robić szybciej niż pszczoły.
— Ale ja zostanę przy tobie.
— Nie, nie, musisz wracać do domu.
— Pszczoły też jeszcze nie wróciły do swego domu.
— Pszczoły wiedzą dokładnie, kiedy mają wracać.
Zaczęły padać pierwsze krople. W powietrzu słychać było wciąż brzęczenie pszczół.
— Słyszysz, pszczoły są jeszcze na drzewie. A deszcz już pada.
— Znajdą się w domu we właściwym czasie. Ty idź już także, ja tu zaczekam.
— Chciałbym czekać z tobą.
— Przeziębisz się.
— Przecież ty też się możesz przeziębnić?
— Ja jestem już stary.
— Ja także jestem stary. Gdybym był pszczołą, już bym musiał umrzeć.
Stary trzymał w dłoniach dużą żółtą różę zerwaną przez chłopca. Chłopiec zatrzymał się przy dziadku. Popatrzył w niebo.
— Teraz wiele z nich umrze. Ta, ta, ta i ta. — Wyciągnął małą rączkę w kierunku ciemnych chmur. — Pszczoły także poumierają, jeżeli nie pójda do domu.
— Nie martw się o nie.
— Ale przecież widzisz, że one wciąż krążą koło lipy? Powiedz im, żeby wróciły do domu.
— One nie rozumieją naszej mowy.
— Pszczółki, wracajcie do waszego domku! Pszczółki, zostańcie w domku! Zaraz zaczną umierać chmury. Zostańcie w waszym domku, bo jak nie, to i wy będziecie musiały umrzeć!
Mały podbiegł do ula.
— Zostań tutaj!
Ale on nie słuchał dziadka. Już przysłonił malutkimi dłońmi wylot ula wołając:
— Zostańcie w swoim domku, bo inaczej umrzecie.
— Odejdź! Odejdź stamtąd natychmiast! Bo cię zakłują.
Dziadek próbował wstać. Wielka żółta róża upadła w trawę.
Bucząc głośno opadła na chłopca ciemna chmara pszczół.
— Nie ruszajcie mnie! Umrzecie, jeżeli mnie ukłujecie!
Potem osunął się na ziemię.
Zaczęło padać. Wokół lipy stawało się coraz ciszej. Deszcz zmył małemu pszczoły z twarzy i z rąk. Pomiędzy włosami chłopca płynęło wiele małych strumyczków. Za chwilę stary ujrzał wschodzącą nad doliną ogromną tęczę.

Słonie Fausty

Minęły dwa lata od czasu, gdy Faustus Kokoschinek, ostatni wiedeński snycerz w kości słoniowej, rzeźbiąc wenecką gondolę z latarnią i gondolierami, skaleczył się mocno małym zardzewiałym dłutem, przez co spowodował zakażenie krwi. Jego siedemdziesięcioośmioletnie dłonie stawały się bowiem coraz bardziej niepewne. „Mogę spokojnie umrzeć” — rzekł do Fausty Kokoschinek z domu Kokoschinek, swojej żony i późniejszej wdowy, jeszcze parę godzin przedtem, nim stracił z nocnego stolika zieloną lampkę z wyłącznikiem z kości słoniowej i z trudem rozstał się ze swoim ciałem drgającym w brzydkich konwulsjach. Przerobiona jak również i nie przerobiona jeszcze kość słoniowa, którą pozostawił, wydawała się kapitałem, jaki powinien Fauście (małżeństwo było bezdzietne) zapewnić dostatnie utrzymanie, nawet gdyby żona dożyć miała stu lat.

Toteż Fausta — choć szczerze zatroskana, kiedy skóra na ciele jej męża zżółkła jak kość słoniowa — nie kłopotowała się początkowo o przyszłość. Zamówiła w Miejskich Zakładach Usługowych pogrzeb, i to trzeciej klasy, gdyż jeszcze z przykrością wspominała pogrzeb czwartej klasy, jaki miała jej matka, Klara Kokoschinek z domu Flakseder. Po mszy żałobnej, odprawionej w kościele Franciszkanów dla małej gromadki oplakującej snycerza, wydała skromne przyjęcie i, rozstając się z gośćmi, którzy swoją obecnością uczcili jej nieboszczyka męża, a także ją samą, ofiarowała każdemu z nich jasnobrązową fasolkę, przyjętą z podziękowaniem i zdumieniem.

Większość spośród gości włożyła prawdopodobnie ów niezwykle dar pożegnalny nie dbale do kieszeni i wyrzuciła go potem; inni być może schowali go do portmonetek. Możliwe, że niektórzy bardziej dociekliwi dorozumiewali się tajemnicy owej brązowej fasolki, gdyż każda z nich miała miniaturową pokrywkę z kości słoniowej. Gdyby ktoś zadał sobie trud podniesienia owej pokrywki, odkryłby, że fasolka była wydrążona, a wewnątrz znajdował się maleńki kawałek kości słoniowej w kształcie słonia.

I chociaż do pobożnych myśli Fausty, płynących ku jej Faustusowi w zaświatach, dołączała się coraz częściej szczypta niepewności — to jednak wciąż — kiedy przymykała oczy — słyszała jego głos: „No, Faustuśku, wynalazłem coś: najmniejszego słonia świata”. I wtedy stawał przed nią, tak jak stanął dwadzieścia lat temu, trzymając na płaskiej dłoni małą brązową fasolkę, a obok niej ledwo widocznego słonia z kości słoniowej. „Jak ci się wydaje? Amerykanie i Francuzi, którzy teraz po wojnie znowu przyjeżdżają do Wiednia, a także Australijczycy i Anglicy, będą to kupowali jak szaleni”. Jego pewność okazała się zaraźliwa i przewyciężyła ostrożną powściągliwość, jaką żyjąca wtedy jeszcze mama zaszczepiła córce, zwłaszcza w stosunku do płci brzydkiej.

Nieufna była już wówczas, kiedy dwadzieścia lat temu zjawił się w ich domu Faustus jako — jeżeli tak można powiedzieć — zło konieczne. Matka Fausty (siostra jej była wielbłądzą zakonnica w zakonie Św. Elżbiety) po niesławnej i, jak zawsze podkreślała, zupełnie niepotrzebnej śmierci męża, Karola Kokoschinka, którego — kiedy jako osiemdziesięcioletni starzec zwiedzał w Praterze wędrowną menażerię — tak przstraszył trąbiący głośno słoń, iż wskutek tego zmarł na apopleksję; matka więc po tej śmierci zapragnęła, aby w jej domu także zapanował klasztorny styl życia. Ale wkrótce okazało się, że ani ona, ani jej dziewicza córka Fausta nie dadzą sobie rady bez artysty, który potrafi długie, żółtobiałe sztaby leżące w zakamarkach na tyłach sklepika z pamiątkami przy ulicy Gumpendorfer zamienić w małe Madonny, tygrysy, Murzynów, psy, krzyżki lub aniołki. Toteż obie dały ogłoszenie do wiedeńskich gazet: „Potrzebny snycerz w kości słoniowej”. I wtedy zgłosił się Faustus. Wkrótce serce czterdziestodwuletniej Fausty zaczęło bić dlań potajemnie, ale za to tym silniej, i to mimo ostrzeżeń matki: „Żeby ci tylko ten pracownik nie zawrócił w głowie”. Mama

Kokoschinek wypowiadała to zdanie zawsze z uroczystą, teatralną intonacją, która stopniowo sięgała wyżyn odświętnego patosu w słowach: „Bóg pragnie, abyśmy wiecznie żyły w czystości, tak jak moa przewielebna siostra, twoja ciotka”.

Tak właśnie mówiła matka, zmarła na długo przed swoją przewielebną siostrą, która w istocie była tylko wielebną, a żyła nadal, mimo swoich dziewięćdziesięciu siedmiu lat, ofiarując świętej Elżbiecie wciąż, tak jak przedtem, swoją niewinność. Lecz cóż matka Fausty mogła wiedzieć o Faustusie, który mimo swoich pięćdziesięciu ośmiu lat zdołał zdobyć Faustę z miejsca. Cóż mogła wiedzieć o jego oczach, które potrafiły błyszczeć jak błękitne perły szklane, nizane od czasów dzieciństwa na sznurki różańca, o jego gęstych włosach, lekko tylko na skroniach szpakowatych, o jego przeżyciach na Węgrzech i w Rumunii, o jakich opowiadał przepiłowując kły słoniowe i formując je w kształty małpek, Murzynków, lwów, tygrysów, słoni, węży, psów i innych egzotycznych stworzeń; o jego pięknych wąskich dłoniach, których uchwyt był tak pewny, że nikomu by nie przyszło do głowy, iż długo może się z nich wysliznąć, i z których Fausta nie mogła się wywinąć, kiedy sięgały ku niej; początkowo bardzo delikatnie, a potem już coraz mniej w duchu, w jakim żyła jej przewielebna a raczej po prostu tylko wielebna ciotka.

Inna rzecz, iż Fausta, zmywając w kuchni po posiłkach naczynia, zastanawiała się często, czy w gruncie rzeczy ów Faustus nie jest zwykłym naciągaczem, traktującym ją w swoich planach matrymonialnych — o których długo nie ośmielała się wspominać matce — jako nieuniknioną część inwentarza dobrze prosperującego sklepu z pamiątkami; i czy wobec tego nie byłoby koniec końców lepiej złożyć swoje dziewictwo raczej na ołtarzu, jeżeli już nie przewielebnej ciotki od świętej Elżbiety, to przynajmniej na ołtarzu pamięci nieodżałowanego tatusia i rzeźbionych w kości słoniowej tęsknot mamy, w każdym zaś razie nie owego Faustusa. Tak jest, Fausta przez długi czas była również nieufna. Ale kiedy stanął przed nią z brązową fasolką w dłoni, poczuła, że wszystko musi ułożyć się dobrze, że Faustus ma uczciwe zamiary. W tym momencie jego talent, miłość oraz ich wspólna przyszłość stały się dla niej niewątpliwe. I gdyby ktoś po dwudziestu latach, które minęły od tego czasu, zbudził ją nagle z marzeń, snutych teraz samotnie w sklepie przy ulicy Gumpendorfer i gdyby ją zapytał, który dzień w życiu uważa za najpiękniejszy, odpowiedziałaby: „Ów słoneczny dzień marcowy, gdy mój Faustus pokazał mi swój wielki wynalazek — najmniejszego słonia na świecie”.

Nie namyślając się wiele, pobiegła wtedy do matki, do kuchni, i powiedziała: „Mamo, pan Kokoschinek i ja chcemy się pobrać”. Na obiad Faustus przyszedł z bukietem kwiatów — czerwonych tulipanów i śnieżyczek — po czym — zachowując należne formy, poprosił panią Kokoschinek o rękę córki. Na matce najmniejszy słoń świata nie zrobił początkowo zbyt wielkiego wrażenia. Była niechętnie usposobiona do słoni, ostatecznie właśnie to stworzenie spowodowało śmierć jej męża. Wdowę przykro zaskoczona tym, że w jej pobożne życie miałyby teraz wdrzeć się elementy świeckie, przekonała do planów zamęścia córki raczej okoliczność, że Faustus — podobnie jak jej świętej pamięci mąż — nazywał się również Kokoschinek.

Ktoś, czyja siostra żyje w klasztorze, wierzy, że istnieją siły wyższe i podporządkowuje się zrządzeniom Opatrzności, ufając w to, że nawet sprawy niemiłe mają swój sens, z początku niezrozumiały, często ujawniający się dopiero bardzo późno. W ten sposób mama Kokoschinek pogodziła się z tym, co nieuchronne, i pocieszała myślą, że Faustus Kokoschinek znalazł się w sklepie przy ulicy Gumpendorfer, jeżeli nie za sprawą Najwyższego, to przynajmniej świętej Elżbiety, dzięki modłom i czystości siostry opiekującej się nią i jej córką, nie mówiąc już o zgodzie, którą musiała wyrazić dusza męża nastraszonego śmiertelnie przez słonia. A nawet w wynalazku przyszłego zięcia widziała rodzaj zemsty zaświatów na okrutnym słoniu, którego budzące grozę kły miały się w przyszłości przeobrazić w śmiesznie pomniejszone kopie.

Owa myśl entuzjazmowała mamę Kokoschinek stopniowo coraz bardziej, tak że sama

zaczęła współdziałać przy produkcji cudownych fasoli Faustusa, jak tylko młoda para po obrzędzie ślubnym przy bocznym ołtarzu katedry Św. Szczepana udała się do sypialni. Przynosiła małe brązowe ziarna fasoli z targu i — jak długo pozwalała na to jej postępująca z wolna zaćma — pomagała córce w wydrążaniu małych ziaren po to, aby Faustus mógł w pełni poświęcić się pracy nad ich zawartością. Obie kobiety skrobały i szlifowały ziarna jak w gorączce, widząc już w wyobraźni Amerykanów i Francuzów, Australijczyków i Anglików, tłoczących się w ich małym sklepiku przy ulicy Gumpendorfer tak tłumnie, że dzwonek, dzwięcący cieniutko za każdym otwarciem sklepowej kasy, nie milknąłby.

Tajemnicze fasolki gromadziły się coraz liczniej w kolejnych kubkach. A kiedy te po pewnym czasie okazały się niewystarczające, zaczęto używać wiader, które dotąd służyły latem do zbierania brusznic. W końcu dla zmagazynowania zapasu wyprodukowanego w ciągu kilku miesięcy konieczne okazały się dwa kosze i worek. Faustus chciał swoje cudowne fasole zaprezentować publicznie dopiero wtedy, kiedy będzie miał gwarancję, że wystarczy ich dla przetrzymania szturm nabywców, jakiego oczekiwał on sam, a także jego żona i coraz gorzej widząca teściowa. Nie załatwione pozostawały pilne bieżące zamówienia handlarzy dewocjonaliami z Mariazell i Klosterneuburg, domagających się coraz gwałtowniej swoich różańców i posążków Matki Boskiej z kości słoniowej. Fabrykowane były jeszcze tylko weneckie gondole z latarniami i gondolierami dla sklepu z biżuterią nad Dunajem, i to jedynie w wielkim pośpiechu, na marginesie głównego zajęcia.

Nawet zmniejszające się wpływy kasowe, spowodowane postępującym brakiem zamówień, nie przeraziły mamy Kokoschinek. Chętnie poświęciłaby wszystkie swoje oszczędności w radosnym oczekiwaniu ogromnych dochodów, jakich wkrótce należało spodziewać się za sprawą uwięzionych wewnątrz fasolek miniaturowych podobizn morderców jej męża oraz dzięki natchnionemu pomysłowi Faustusa.

I gdyby ktoś zapytał Faustę Kokoschinek, który dzień swego życia uważa z kolei za najstraszniejszy, wymieniłaby z pewnością ową sobotę w jesieni 1947 roku, kiedy to tłumy przechodniów na ulicy Gumpendorfer miały po raz pierwszy cisnąć się po mistrzowskie dzieło Faustusa. Jakież podniecenie panowało już na tydzień przedtem! Po wykończeniu, jeszcze w poniedziałek i wtorek, w gorączkowym pośpiechu całego zapasu fasolek, pilna trójka — planująca od soboty zrewolucjonizowanie wiedeńskiego, a w krótkim czasie także i światowego rynku snycerskiego — stanęła pierwszy raz przed problemem ceny, jaką należało ustalić za takiego słonia.

Fausta przypominała sobie jeszcze dokładnie swojego ukochanego Faustusa i jego błękitne, błyszczące szczęściem oczy, kiedy sięgał do kosza i wyciągał z niego garść wypełnionych słonikami fasolek, po czym śmiejąc się radośnie wsypywał je tam z powrotem jedną po drugiej. W dyskusji na temat ceny brał udział tylko marginesowo. Fausta rozumiała go. Był artystą i nigdy nie dbał o tak przyziemne sprawy, jak pieniądze. A więc kalkulacją musiały zająć się same kobiety. Fausta, orientująca się w cenach (zawdzięczała to kontaktom ze sprzedawcami, którym w ojcowskim sklepie od dzieciństwa dostarczała gotowych różańców, Madonn i gondoli z kości słoniowej, przy czym później powierzano jej także rozliczanie się z owymi, jak ich świętej pamięci tato lubił nazywać, „łobuzami” — zaproponowała więc cenę czterdziestu szylingów za sztukę. W ten sposób, po odliczeniu kosztów materiału i robocizny, pozostałby jeszcze wcale piękny zysk.

Ale mamie Kokoschinek cena ta wydawała się za niska. Jej zdaniem, kiedy towar jest tani, nikt go odpowiednio nie ceni. Uważała, że właściwa dla tego rodzaju dzieła sztuki byłaby kwota stu szylingów. Co prawda, już dawniej zdarzały się wypadki, że nie przemyślane, impulsywne posunięcia mamy Kokoschinek dotkliwie naruszały politykę cen sklepu z pamiątkami przy ulicy Gumpendorfer, którą to politykę jej świętej pamięci Karol prowadził skądinąd z ogromną przezornością. Kiedy coś wydawało się jej usprawiedliwione, przestawała liczyć się z wiążącymi dyrektywami męża. Dla przykładu, uważała za rzecz naturalną

odsprzedawanie za pół ceny, a nieraz nawet w ogóle darowywanie młodym dziewczętom — zwłaszcza kiedy miały na imię Elżbieta — świec do pierwszej komunii, różańców z błękitnych szklanych perełek czy też innych dewocjonaliów. Z drugiej strony znowu — gdy brak było kupujących — mama Kokoschinek dawała się unieść nagłej chęci podniesienia cen. Te właśnie dobrze znane słabostki matki spowodowały, że nie tylko Fausta, ale i sam Faustus odrzucili jej propozycję sprzedawania cudownych brązowych fasolek po sto szylingów za sztukę jako nie do przyjęcia. Rzecz jasna, sprzeciw Faustusa był raczej nieśmiały i wypowiedziany z całym szacunkiem dla szlachetnej teściowej, która jego fasolkom poświęciła w równej mierze własny wzrok jak i własne oszczędności.

Ostatecznie doszło do kompromisu. Fausta podwyższyła proponowaną przez siebie sumę o trzydzieści szylingów, mama zgodziła się o tę samą kwotę obniżyć swoją propozycję i tak obie strony przystały polubownie na siedemdziesiąt szylingów, za które na pewno każdemu kulturalnemu wiedeńcykowi warto będzie nabyć najmniejszego na świecie słonia.

Ale po ustaleniu ceny wypłynął problem właściwego zaprezentowania dzieł sztuki, które — ukryte w dwóch koszach i jednym worku — czekały na znających się na rzeczy amatorów. Na pół już oślepiła matka ostrzegała przed umieszczeniem brązowych fasolek na wystawie bez odpowiedniego komentarza. „Ludziska gotowi pomyśleć, że sprzedajemy fasole” — zauważyła i podkreśliła, że właściwe dzieło sztuki ukryte jest wewnątrz fasolki i tym samym niewidoczne. Fausta, której matka, o bardzo osłabionym wzroku, zwróciła uwagę na znaczenie argumentów wizualnych, sięgnęła po tekturę, przycięła ją w kartoniki jednakowej wielkości i poleciła swojemu Faustusowi umieścić na nich artystycznie wykaligrafowanymi literami napis, który by przechodniom obwieszczał i wyjaśniał znaczenie jego dzieła. Faustus skłaniał się ku nazwie raczej ezoterycznej „Niebiańska fasola”, natomiast Fausta była za „Słoniową fasolką”. Mama Kokoschinek przeciwstawiała się obu tym propozycjom i radziła określenie wprowadzić nieco jarmarcznie krzykliwe, ale za to obiecujące powodzenie, a mianowicie: „Indyjski cud — najmniejszy słoń świata”. Argumenty matki przekonały pozostałych dwoje i Faustus zamasyżycie wypisał ów tekst na kartonach. W piątek wieczorem Fausta urządziła wystawę. Rozpostarła na niej duże czarne sukno, na którym poustawiała brązowe fasolki. Bynajmniej nie byle jak. Szczególnie dumna była ze swego pomysłu ułożenia ich w ten sposób, aby tworzyły kształt słonia. Z tyłu, na przesuwającej się po kamiennych falach gondoli z kości słoniowej, oparła jeden kartonik z napisem „Indyjski cud — najmniejszy słoń świata — tylko 70 szyl.” Z prawej i lewej strony ułożonego na czarnym suknie fasolkowego słonia ustawiła wiązanek róż i świece z wosku, przy nich zaś jeszcze jedną tekturkę ze wspomnianym napisem.

A potem, po nie kończącej się bezsennej nocy, pełnej oczekiwania i nadziei, nadeszła straszliwa sobota. Wszyscy troje znaleźli się w sklepie już o pół do ósmej rano, sprawdzali, czy palą się światła w lokalu oraz w witrynie i otwarli — przy cieniutkim dźwięku dzwonka — kasę sklepową, aby zaopatrzyć ją w drobne pieniądze, które podjęła Fausta na poczekaniu z szybko topniejących zasobów oszczędnościowych matki.

Ale był to jedyny wypadek owej soboty, kiedy dzwonek zadźwięczał. Po raz pierwszy zdarzyło się, że przez całe przedpołudnie nie zjawił się ani jeden klient. Nie żądano niczego tej soboty. Ani świec, ani małpek, ani Murzynków, ani gondoli — niczego. Tak jakby wszystkich troje miano ukarać za zuchwałą próbę zasiania niepokoju w handlu wyrobami z kości słoniowej.

Fasole na wystawie pozostały nie zauważone. O pół do dziesiątej z oczu mamy Kokoschinek poczęły płynąć łzy, tak że Fausta — choć i jej również zbierało się na płacz — musiała ją pocieszać, powtarzając wciąż machinalnie: „zobaczycie, to się przyjmie”. Faustus siedział tego przedpołudnia bez słowa przy swoim warsztacie pracując nad gondolą i nie przerywając roboty nawet wówczas, kiedy około dziesiątej mama Kokoschinek pozwoliła córce wyprowadzić się do kuchni, gdzie naszykowana do uroczystej biesiady czekała kura w

sosie śmietanowym i z kluskami.

Że tak przygotowana uczta stanie się dla Faustusa i Fausty stypą po ich marzeniach o przyszłości, po których oczekiwała jeszcze w dodatku czegoś matka, a które legły teraz w gruzach na rozpostartym czarnym suknie z wystawy — tego nikt z nich nie przypuszczał.

Spokój i cicha żałoba, z jaką mama Kokoschinek przyjęła klęskę tego projektu, przynębiły Faustę niemal jeszcze bardziej aniżeli rozczarowanie, które sama przeżyła w związku z „Indyjskim cudem”. Mimo beznadziejnego przedpołudnia starała się jednak przy obiedzie wzbudzić otuchę. Kazała nawet swemu mężowi przynieść wina, jak każdej soboty. Od owej soboty, kiedy Faustus dzięki swemu wynalazkowi zdobył ostatecznie Faustę i poprosił mamę o jej rękę, wino stało się u Kokoschinków miłą tradycją przy końcu każdego tygodnia.

„Jedno wam tylko powiem — Fausta próbowała wytłumaczyć niepowodzenie tajnymi przyczynami — coś w tym musi być. Nie zdarzyło się jeszcze, aby nowego towaru nikt w ogóle nawet nie oglądał. Ktoś w tym maczał palce. Nie pilnowaliśmy, wszystko było jawne, musiano podpatrzeć i...” Natomiast Faustus nie bardzo wierzył w istnienie tajemniczych wrogów, którzy wzywaliby przechodniów na ulicy Gumpendorfer do bojkotu Kokoschinkowego sklepu z pamiątkami. Jego zdaniem dobrze byłoby zamieścić ewentualnie odpowiednie ogłoszenie w gazetach, aby wzbudzić zainteresowania wiedeńców dla „Indyjskiego cudu”. Ostatecznie, on sam przypominał sobie, że tylko dzięki takiemu ogłoszeniu znalazł do nich drogę. To mówiąc bardzo nieśmiało (gdyż niesławne przedpołudnie pozbawiło go pewności siebie) położył swoją dłoń na ramieniu Fausty.

Nikt nie miał pojęcia, jak sprawy potoczą się dalej. Fausta zabrała się do zmywania naczyń. Faustus zeszedł na dół do sklepu i wrócił do pracy nad gondolą. Matka nie robiła mu wyrzutów, podobnie jak nie robiła ich Fauście. Cierpiała w milczeniu. Nieszczęście, które na nich spadło, zdawało się jej najwidoczniej tak ogromne, że bunt przeciw niemu nie miał już żadnego sensu, podobnie jak nie miało sensu wypominanie czegoś córce albo zięciowi. Jak każdej soboty matka po obiedzie położyła się w kuchni na kanapie, na której spała, odkąd Fausta i Faustus stali się małżeństwem. A o godzinie czwartej, kiedy Faustus i Fausta, która zeszała za mężem do sklepu, zjawili się w kuchni, aby napić się kawy przygotowywanej dla nich każdej soboty i niedzieli na podwieczorek przez matkę — zastali ją na kanapie cichą i maleńką, owiniętą w brązową narzutę. Była biała i martwa jak słonie na wystawie.

„Dzień, w którym ją pochowano, był pochmurny — przypominała sobie Fausta — tak pochmurny, jak dzisiejszy.”

Tylko nikłe światło wdzierało się z ulicy Gumpendorfer do małego sklepu, gdzie w najodleglejszym kącie siedziała teraz na miejscu, na którym ongiś siadywał jej mąż, a jeszcze wcześniej ojciec. Od kiedy pozostała sama, miała wiele czasu do rozmyślań. Na temat przykłej korespondencji z kupcem dewocjonalistów z Mariazell, który poszukał sobie innego dostawcy i którego zdołała odzyskać tylko z trudem i dopiero po udzieleniu mu wielkodusznie daleko idącego rabatu. Na temat drugiego pomysłu Faustusa — przyszedł mu on do głowy w parę lat po pierwszym — mianowicie wyrzeźbienia w kości słoniowej jak najwierniej, ma się rozumieć w pomniejszeniu, katedry Św. Szczepana i wystawienia jej potem w Ameryce na sprzedaż. Pomysł ten zdołała mu jednak Fausta ostrożnie wybić z głowy, zwracając uwagę, że realizacja tak gigantycznego przedsięwzięcia — które z pewnością wstrząsnęłoby całym światem sztuki, a wymagałoby dokładnego studium oryginału, a więc także dotarcia do wielu postaci i masek na wąskich gzymsach i we wnękach — napotka ogromne trudności, i to przede wszystkim związane z wyjątkowo olbrzymimi kosztami. Ale w ten sposób fiasko, którego Faustus doznał w przypadku „Indyjskiego cudu”, wynagrodzone mu zostało świadomością, że tylko na skutek fatalnego zbiegu okoliczności nie osiągnął niezwykłego sukcesu, jaki przyniosłaby ponad wszelką wątpliwość katedra Św. Szczepana z kości słoniowej. Wiara Faustusa w siebie umocniła się do tego stopnia, że kiedy pewnego razu Fausta zaproponowała obniżenie ceny fasoli w nadziei, że może wtedy znajdzie się na nie kupiec — on sprzeciwił

się stanowczo, aby jego „cud” kosztował choć o szylinga mniej niż siedemdziesiąt. „Biedny Faustus” — wzdychała czasem Fausta. Zdarzało się nawet, że w głębi duszy miała mu za złe, iż tak fatalnie przerachował się w ocenie wartości tego, co po sobie zostawił. W poczuciu winy spoglądała wtedy w kierunku witryny sklepowej, gdzie wielkie dzieło męża było teraz oferowane w cenie dziesięciu szylingów za sztukę. Ale i taka radykalna obniżka nie pomogła. Wszystkiego razem — jeśli Fausta dobrze pamiętała — zdołała sprzedać osiem takich fasoli.

Ale w jednym z koszy brak było już znacznie więcej niż ośmiu. Tak, niestety biedny Faustus nie zabezpieczył swojej żony równie dobrze, jak sądził. Dała wprowadzić znowu ogłoszenie do gazet, jak to kiedyś uczyniła jej matka, ale nie zgłosił się już żaden snycerz. Zaś kupiec dewocjonalii w Mariazell oraz właściciel sklepu jubilerskiego nad Dunajem musieli po jakimś czasie zwrócić się po towar do innych dostawców, gdyż zapasy gotowych fabrykatów z kości słoniowej bardzo szybko się wyczerpały. A to, co znajdowało się wciąż w witrynie sklepowej — małe Murzyniątka dźwigające popielniczki, fajka wykonana jeszcze przez tatusia, pięć małpek, ogromny tygrys — niektórzy klienci bardzo się nim interesowali, tylko był dla nich za drogi — dużo wielkich słoni, kilka świec i jeszcze trochę innych przedmiotów, wszystko to nie przyniosło jej wiele. Coraz częściej zdarzało się, że przez całe przedpołudnie, a nawet przez cały dzień nikt nie przestąpił progu małego ciasnego sklepiku przy ulicy Gumpendorfer. Upodobania się przecież zmieniają, i tak oto w ciągu dwóch lat od śmierci Faustusa znalazła się Fausta w nędzy, od której nie mogła jej ocalić nawet obniżka cen fasolek.

Sięgając po ostatnie rezerwy, zaryzykowała jeszcze jedno ogłoszenie: „Nie obrobiona kość słoniowa do odstąpienia na dogodnych warunkach”. Ale komu dzisiaj potrzebna kość słoniowa? Bładozółte i białe sztabki zalegały wciąż wąski przedpokój małego mieszkania, które po roku wdowieństwa podnajęła dwóm czeladnikom tapicerskim. Jedyłą rzeczą zabraną z rodzicielskiego, a potem małżeńskiego mieszkania stanowiła lampka z nocnego stolika, którą jej świętej pamięci Faustus w przedśmiertnych drgawkach zrzucił na podłogę. Stała ona teraz na małym stoliku, użyczając światła dla karygodnej działalności, na którą Fausta zdobyła się dopiero w ostatnim czasie i po długiej wewnętrznej walce. Ale skoro się w końcu zdecydowała, brak światła w sklepie był jej nawet na rękę. Nie świeciło się zresztą po części dlatego, że większość żarówek w witrynie sklepowej była przepalona, a Fausta na kupienie nowych nie mogła już sobie pozwolić. Tych zaś, które jeszcze świeciły, nie włączała, obawiając się, że rachunek za prąd może znacznie przekroczyć jej skromne dochody. Poza tym była bardzo zadowolona z ciemności. Nikt nie powinien był widzieć tego, co robiła. A już najmniej jej Faustus, który znajdował się, jak ufała, bardzo daleko stąd, gdzieś w Rumunii albo na Węgrzech, tam gdzie przeżył podniecające przygody, o których umiał jej zawsze tak pasjonująco opowiadać.

Zresztą wstydziła się także tego, co czyniła. Ale cóż miała robić? Próbowwała wszystkiego, aby wielkie osiągnięcie Faustusa zaprezentować każdemu we właściwym świetle. Od śmierci męża nie było klienta, któremu by udało się wyjść ze sklepu bez wtajemniczenia go w sekret brązowej fasolki. „Tak, tak, bardzo pięknie” albo „doprawdy, to bardzo miło”, a także „nie, czegoż to dziś nie ma” — mówili uśmiechając się przy tym uprzejmie do pani Koko-szinek. Ale nikt nie kupił nic. Pewien mężczyzna, któremu również przedstawiła „najmniejszego słonia świata — Indyjski cud”, nawet na niego nie spojrzął, powiedział tylko: „Cha, cha, cha! zupa fasolowa ze słoniami”. Właśnie od tego czasu nie opuszczała jej myśl, że można by uwolnić tę wielką ilość fasoli od jej zawartości i skonsumować je mimo ich podeszłego wieku. Wahając się, powymyślała wyblakłe słonie z niektórych fasoli. Umieściła te fasole starannie, niemal czule w małej czarnej misce z onyksu i moczyła je, pozbawione czarodziejskiej zawartości, w garnku z wodą. Trwało to przez całą noc, którą — odkąd jej mieszkanie zajmowali podnajemcy — spędzała na trzech zestawionych krzesłach, wyłożonych poduszkami. Fasole smakowały nadszpodziewanie dobrze i przyprawione odrobiną octu

stanowiły pożądaną odmianę jej jednostajnego menu, w którym skądinąd przeważały mleko i ziemniaki.

Również owego pochmurnego dnia, który wydawał się jej tak pochmurny jak dzień pogrzebu matki — trudziła się beczeszczaniem Faustowskich fasoli z równym zapałem, jak przed laty ich uwielbieniem. W ten sposób koło się zamknęło i fasole, które okazały się niegodne swej czarodziejskiej misji, spełniały teraz funkcję, do której, z natury rzeczy, zostały stworzone. I nadzieja Faustusa, że zostawi żonę dobrze zaopatrzoną, spełniła się, choć niezupełnie tak, jak on to sobie wyobrażał. Co prawda, od młodych lat — w przeciwieństwie do swej zmarłej matki — Fausta nie miała skłonności do tego typu spekulacji myślowych i tylko z dużymi wyrzutami sumienia konsumowała posiłki sporządzane z resztek Faustusowych genialnych pomysłów. Bądź co bądź jednak były to również jej własne — tak samo jak i męzowskie — najpiękniejsze iluzje, które teraz przyprawione octem, w obitych emaliowanych naczyniach, dymiąc parą, czekały na swoje bardzo pospolite przeznaczenie. A wydobywanie maleńkich słoń z ziaren fasoli kosztowało Faustę niemal tyle wysiłku, ile poprzednio umieszczanie ich tam. Dłonie Fausty nie stały się w ciągu owych dwudziestu lat bardziej zręczne. Na te posiłki z fasolek musiała ciężko zapracować. Przygotowanie kolejnej porcji na wieczór wymagało wiele roboty przez całe popołudnie.

Dlatego też była nieszczególnie uradowana, gdy nagle około pół do czwartej dzwonek do drzwi oznajmił, że jakiś klient zjawił się w sklepie. Szybko zapaliła światło i stanęła za ladą. Ale zanim zdołała zapytać, czego sobie gość życzy, ten przedstawił się jej jako urzędnik skarbowy, żądając uiszczenia w gotówce lub w towarze zaległości podatkowej w kwocie siedmuset osiemdziesięciu czterech szylingów, która to należność dotąd mimo dwukrotnych upomnień nie została zapłacona. Zastanawiające, że Fausta Kokoschinek wcale się tym nie zdenerwowała, co ją samą zdumiało. Co więcej, wydało się jej, jakby egzekutor mówił z wielkiej odległości do kogoś innego, nie do niej. Wyglądało raczej tak, jak gdyby miała stać się obserwatorką zajęcia mienia, które jej właściwie nie dotyczyło. Przypomniała sobie wprawdzie sprawę zaległości i nakazów płatniczych urzędu skarbowego, ale zawsze sądziła, że tak skromną dla panów z tego urzędu należność będzie można pokryć znacznie później. W każdym razie nigdy nie przypuszczała, że z powodu siedmuset osiemdziesięciu czterech szylingów przyślą jej egzekutora.

Oczywiście nie powiedziała urzędnikowi tego wszystkiego, zapytała tylko, czy nie można by zostawić jej jeszcze trochę czasu: do końca roku spróbuje znaleźć pieniądze. Ale urzędnik powołał się na ścisłe polecenie i zapytał, czy gotowa jest dać coś w zastaw jako równowartość należnej kwoty. Na chwilę Fausta odzyskała dawną przytomność umysłu, tak potrzebną jej przed laty w pertraktacjach handlowych z kupcami — z owymi „łobuzami” — i zaofiarowała „panu inspektorowi”, tak na wszelki wypadek tytułowała urzędnika, dwanaście fasolek wartości — jak zapewniała — siedemdziesięciu szylingów za sztukę. Ale urzędnik, choć niezupełnie świadom hierarchii wartości wyrobów z kości słoniowej, był już najwidoczniej po obejrzeniu wystawy zorientowany w cenach i nie zgodził się na tę propozycję, twierdząc, że ona sama sprzedaje owe fasole po dziesięć szylingów. Oświadczył zresztą, że nawet gdyby zaferowała mu siedemdziesiąt osiem fasolek, nie chce o nich słyszeć i wolałby raczej „parę innych zastawów”.

Zaglądnął do witryn, które mu Fausta Kokoschinek oświetliła — oczywiście na tyle, na ile to było możliwe zważywszy, że tylko część żarówek jeszcze działała — i zabrał stamtąd prawie wszystko, co się dało. Fausta stała obok niego nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa. Po czym zapakowała w satynowy papier tygrysa, małpy, oba duże słonie, popielniczkę, którą podtrzymywał mały Murzyn, oraz inne przedmioty, zaczekała, aż urzędnik schowa je wszystkie do swojej teczki, odprowadziła „pana inspektora” do drzwi, jak to zwykła czynić, kiedy miała do czynienia z dystyngowanymi klientami, i na koniec pożegnała się bardzo grzecznie.

Przeszła obok tu i ówdzie tylko oświetlonych i pustych gablotek, zgasła lampy i zasia-

dła nad swoją miską, w której znajdowały się opróżnione ziarna fasoli. I tak jak zawsze robiła w ciągu ostatnich dwóch lat, kiedy spotykało ją coś szczególnie przykrego, przechyliła głowę w tył na oparcie krzesła, przymknęła oczy i zaczęła przywozić sobie na pamięć ową chwilę, kiedy dwadzieścia lat temu stanął przed nią Faustus z brązową fasolką na płaskiej dłoni i powiedział: „No, Faustuśku, wynalazłem coś: najmniejszego słonia świata”. A ona powiedziała: „Pokaż, Faustuśku — gdyż obdarzali się nawzajem tym samym pieśczośliwym zdrobieniem — miły jest ten twój mały słonik”. Jego błękitne oczy błyszcząły, włosy na skroni były szpakowate, tak je zapamiętała, na dłoni, tuż obok brązowej fasoli dostrzegła wtedy dobrze zagojoną bliznę.

Była spokojna jak podczas bytności „pana inspektora”. Czuła się niemal tak, jakby oczekiwała swojego Faustusa. Nie wstydziła się nawet tego, że mógłby odkryć, w jaki sposób nadużywała jego wynalazku. Wiedziała, że przebaczyłby jej.

Jakże mogła wówczas znać prawdziwą tajemnicę „Indyjskiego cudu”, którą wyjawiał Faustus dopiero teraz, po tylu latach! Z małej fasoli leżącej na jego dłoni wysunął się mały słoń i rósł coraz bardziej, aż stanął przed nią ogromny i biały. Kiedy spojrzała na grzbiet zwierzęcia, ujrzała wspaniały, przetykany złotem baldachim rozpięty nad szeroką, przestronną lektyką, z której opuściła się w dół mała jedwabna drabinka. Obok stał sympatyczny Murzyn w turbanie, ten sam, którego zabrał z sobą urzędnik, i podtrzymywał drabinkę, jakby chciał pomóc maharani w wejściu do lektyki. A na słoni, pod baldachimem siedział jej Faustus we wspaniałym stroju. Uśmiechnął się serdecznie i powiedział: „Chodź, Faustuśku, nie bój się”. Wówczas mały Murzyn podtrzymał jej ramię i Fausta z łatwością większą, niż mogła to sobie wyobrazić, wspięła się po jedwabnej drabinie do swego Faustusa, którego „Indyjskiego cudu” nie mogła się dostatecznie nachwalić.

Ale tymczasem ogromny biały słoń zaczął się poruszać. Po kilku jego stąpieniach wzdłuż ulicy Gumpendorfer w kierunku śródmieścia Faustus dotknął delikatnie jego uszu łaseczką z kości słoniowej, wysadzaną szlachetnymi kamieniami. I białe zwierzę głośno trąbiąc uniosło się ponad ciemne dachy.

„Dokąd to, Faustuśku?” — zapytała Fausta i zaproponowała, aby natychmiast wykorzystać taką sposobność i skierować „dzielną bestię” — jak nazwała tego słonia — ku katedrze Św. Szczepana. Tam można by nareszcie dokładnie, w spokoju i z bezpośredniej bliskości, obejrzeć wszystkie esy-floresy i maski we wnękach i na gzymsach, gdyż niczego bardziej nie pragnęła jak tego, aby jej Faustus mógł możliwie najszybciej wprowadzić w czyn swą ideę — wyrzeźbić w kości słoniowej katedrę i pokazać ją na wystawie w Ameryce.

Między stokiem a strumieniem

Od miejsca, w którym droga się rozwidła, ruszyłem jak zawsze w prawo. Po stoku w dół, w kierunku Augraben.

Droga wysypana była świeżym żwirem. Pośliznąłem się i potknąłem. Ostre kamienie raniły przy schodzeniu.

Wtem ujrzałem coś w poprzek drogi.

Zatrzymałem się.

Coś ciemnego leżało pomiędzy stokiem a strumieniem. Sięgało od wielkich, szerokich liści rosnących nad tym strumieniem aż po przeciwną stronę, gdzie sterczały nagie korzenie drzew. Szeroka plama o strzępiastych brzegach. Plama — nie plama. Niezupełnie płaska. To ciemne było wypukłe. Błyszczące. Mieniające się jak szkło. Lub śluz.

Zbyt szerokie, aby je przekroczyć. Albo przeskoczyć.

Wejść na szkło? Wejść w szlam?

Pochyliłem się do przodu.

To ciemne okazało się przezroczyście. Widziałem przez nie czyste kamienie na spodzie. Były trochę ciemniejsze niż w rzeczywistości. Jak oglądane przez dymne szkło. Mrówki wędrowały tą drogą. Tak jakby tej ciemnej plamy nie było nad nimi.

Jakie to musi być lekkie, skoro mrówki potrafią je na sobie dźwigać. A jednak równocześnie dostatecznie wielkie, aby mi zagrozić drogę.

Czy przy dotknięciu okazałoby się twarde? A może miękkie? Zupełnie miękkie, tak miękkie, jakby go wcale nie było?

Co to było właściwie, to ciemne? Wzdragałem się przed dotknięciem go.

Podniosłem biały kamień i cisnąłem nim w to czarne.

Kamień zanurzył się nie wywołując żadnych fal. Leżał teraz pociemniały przed mrówkami. Z początku próbowały go ominąć. Potem zaczęły się nań wspinać. Wkrótce przestałem się orientować, który kamień był tym rzuconym przeze mnie.

— Świeżo zwirowana droga — powiedział nadchodzący drwal.

— Teraz będzie lepiej także dla aut.

Wydawało się, że nie spostrzegł Czarne, które leżało na drodze. Wszedł w to, potem tuż przede mną skręcił w lewo i wspiał się po niskim stoku w górę, do lasu.

Za każdym krokiem potraçał łamliwe gałązki i grudki ziemi, które osuwały się w dół po zboczu. Tuż przede mną wpadały w tę czerń.

Poprzez Czarne trzeba przejść, pomyślałem, podobnie jak drwal i mrówki. Tak jak kamienie i grudki ziemi. Chciałem ruszyć dalej.

Zrobiłem pierwszy krok.

Wtedy Czarne wytrysnęło w górę. Okryło mnie jak ciemną zasłoną. Wprawdzie mnie nie dotknęło, ale przesłoniło widoczność.

Cofnąłem się.

I wtedy Czarne skurczyło się w sobie natychmiast. Legło przede mną z powrotem, jak przedtem.

Co mnie tu zatrzymywało? Jakiś demon? A może jakieś stworzenie z głębi strumienia?

Będąc dzieckiem łowiłem często raki w tym strumieniu. Moja matka powtarzała mi: „Raki wolno chwycić w miesiącach, które mają w swojej nazwie literę «r»». Gotowaliśmy je w dużym aluminiowym garnku. Kiedy woda zaczynała wrzeć, twierdziłem zawsze: „Raki śpiją”.

Ale to, co rozciągało się przede mną na drodze, nie było rakiem. Było czarnym oparem. Pyłem. Tylko ja widziałem ów połyskujący pył. Drwal go nie widział. Była to mgła, która tylko mnie chciała odebrać widoczność. Zatrzymać mnie. Odwieść.

Musiałem ruszyć dalej, czekano na mnie w domu.

A może lepiej zawrócić? Wybrać inną drogę? Nawet znacznie dłuższą? I wrócić do domu o wiele później?

Nie, nie zawrócę. Ale także nie pójdę na wprost, tylko wyminę to. Wejdę na stok trochę dalej. Obejdę ten ciemny strzęp. A potem wrócę na właściwą drogę. I dalej już będę się wspinał po małym zboczu tak jak drwal. Ale Czarne skierowało się znowu w moją stronę. Wpełzło pod moją stopę, przy pomocy której chciałem znaleźć oparcie w niepewnym gruncie zbocza. Ukryte kamienie i korzenie, i nierówności. Przeszkadzały mi już przy pierwszym kroku. Cofnąłem się z powrotem na drogę.

I połyskujące ramię, które wyciągnęło się w moją stronę, schowało się natychmiast w czarnym cielem.

Spróbowałem raz jeszcze. Bardzo szybko. Chciałem być szybszy niż to ramię. Ale zostałem prześcignięty. Ramię zdążyło się wyciągnąć. Uchwyciłem się obiema rękami wystają-

cego korzenia. Usiłowałem unieść się w górę. Wydostać z Czarnego, które znów się rozděło i przykryło mnie. Wyszarpywałem kamienie i ziemię ze zbocza. Straciłem równowagę. Upadłem — co prawda z niezbyt wysoka — z powrotem na drogę. Na ostrym żwirze otarłem skórę na dłoniach do krwi. Podźwignąłem się. Znowu stałem przed Czarnym, które rozciągało się w poprzek drogi.

Oglądałem dłonie. Otarcie skóry na całej wewnętrznej stronie. Bardzo bolesne, ale niegroźne.

Dźwięki dochodzące z lasu. Drwal włączył elektryczną piłę.

W pobliżu nad stawem, na wysokich ostach — trzmiel. Czy pstrągi pożerają pośród rozłożystego, zielonego listowia nad wodą nie tylko małe komary i młode raki, ale także trzmiel? I czy cierpienia trzmiela, miazdzonego w twardym pyszczku pstrąga, byłyby większe od bólu, jaki sprawiają mi teraz moje otarte dłonie? Czy coś małego może doznawać wielkiego bólu?

Albo to coś znajdujące się przede mną.

To żyło, ponieważ myślało. Choćby tylko o mnie. To wiedziało. Wiedziało, że nie może mnie przepuścić.

Lub też przeczuwało. Czuło. Przewąchiwało.

A więc było to zwierzę. Zwierzę pozbawione ciała. Bez skóry. Zwierzę, którego by żaden pstrąg nie połknął, które nie cierpiało. Nie do zranienia. Nie do zabicia, ale które zadawało ból. Taki, jaki teraz odczuwały moje dłonie. Które samo wprawdzie mnie nie zraniło, ale stało się przyczyną moich ran; które być może doprowadzi mnie do śmierci. Naganiacz śmierci. Może nawet sama śmierć. Jej cząstka. Strzępiaste ramię śmierci.

Obciąć śmierci ramię? Czym? Elektryczną piłą drwała? Oстрым pyszczkiem pstrąga? Mackami trzmiela? Kleszczami raka?

W miesiącach, które mają w swojej nazwie literę „r”. Ósmego września, pomyślałem. Wydawało mi się, że jestem obserwowany. Pilnowany przez Czarne. Ja też je obserwowałem. Czym ono obserwowało? Nie miało oczu. Nie mogłem mu spojrzeć w oczy. Spojrzeć w oczy nieszczęściu.

Od czasu do czasu wydawało mi się, że to coś przede mną oddycha. Coś podnosiło się i opadało. Możliwe, że spoglądałem ze zbytnim napięciem. Patrzyłem za długo w jedno i to samo miejsce.

Odwrociłem się.

I oto okazało się, że Czarne znajduje się również poza mną. Jestem schwytany w rozwarciu nożyc szlamu lub nożyc pyłu, których ostrza miały kształt gumowych węży. Nie mogłem już się cofnąć. Nie mogłem dostać się do domu. Nawet obchodząc jak najdalej dokoła.

Co miałem robić? Wołać o pomoc?

Kogo? Drwała. Ale co będzie, jeżeli on powie: „O co panu chodzi, co się takiego dzieje? Niech pan idzie! Tu przecież niczego nie ma. Ja niczego nie widzę!”

Nie, drwała nie wezwę.

Czekać. Czekać, aż ktoś przyjdzie.

Burza, która zwieje czarny pył. Przez drzewa, w kierunku kogoś innego.

Albo deszcz, który to zmyje. Do strumienia. Do pstrągów i raków. Czy też w dół drogi, gdzie się to potem rozpuści w wodzie.

Czekać. Tak, czekać. Głęboki błękit jesiennego nieba. Nie, nie doczekam się deszczu ani burzy.

I Czarne nie dopędzi mnie. Do nikogo też nie popędzi. Czarne zatrzyma mnie tutaj przy sobie.

Będę stał. Stał ciągle. Przez cały dzień. Przez całą noc. Upadnę. Umrę z wyczerpania. „Znaleziono martwego człowieka na samotnej, leśnej ścieżce” — przeczytają w gazetach. A Czarne tymczasem dawno wyniosłoby się z tej drogi. Rozpłynęło w pyle. Rozwiało w koro-

nach drzew albo rozproszyło w jesiennej mgle unoszącej się nad strumieniem.

Bardzo wolno poruszały się owe dwa gumowe węże, które mnie okrążyły. Z namysłem rozprzestrzeniały się po stoku w górę. Dwa czarne węże otaczające wąską ścieżkę. Znaczyły ją. Czyżby mi ją wskazywały?

Posunąłem się o jeden mały krok w kierunku stoku.

Czarne pozostało w miejscu. Nie reagowało na mój ruch.

Czy powinienem iść dalej między ciemnymi ostrzami. Gdzieś muszą się one kończyć. Kiedyś musi się to czarne ciało rozciągnąć do ostatecznych granic. Wyciągnąć z siebie wszystko. I wtedy ostrza nożyc, owe połyskujące węże, nie potrafią się już bardziej wydłużyć. Wypuszczą mnie na wolność. Może niedługo. Może dopiero później. Należy więc posuwać się za Czarnym. Wzdłuż węży.

Uniosłem stopę i postawiłem ją na stoku. Grunt był twardy. Nie wyczuwało się najmniejszego żdźbła, nie obsunęła się nawet mała grudka ziemi. Wspinałem się w górę. Ja, nie-nawykły, robiłem to szybciej i pewniej niż poprzednio drwał. Jego elektryczna piła umilkła. Słyszałem teraz, jak rąbie.

Stanąłem na skraju lasu i spojrzałem za siebie. W dole na drodze wciąż ów bezskóry mięczakowaty stwór, sięgający swoimi nożycami ku mnie w górę i wyprzedzający mnie w kierunku zarośli, wytyczający mi szlak poprzez olchy i leszczynę.

A więc jednak ponaglanie. Popędzanie. Dokądkolwiek. Na skraj przepaści. Albo tylko pod olchy. W ich gałęziach ukrywają się kleszcze, ale są one niebezpieczne wyłącznie wczesnym latem. A może ostrza wijące się przede mną giętą stężeją nagle, staną się sztywne jak paszcza pstrąga, jak kleszcze raków, i w pewnej chwili — kiedy nikt nie będzie mnie słyszał, a drwał wprawi znowu w ruch swą elektryczną piłę — uchwycą, potną na części, zaduszą.

Nie, ani chwili dłużej pomiędzy wężami. Uskoczyłem ze ścieżki na lewą stronę, między buki. Spowity Czarnym, macałem na oślep między pniami, raniłem się uderzając w nie, niskie gałęzie rozdrapywały moją twarz, ale nie poddawałem się, za wszelką cenę chciałem uwolnić się od nieuchwytnego Czarnego, lecz wszystko na próżno, na próżno, ogarnął mnie strach, cofnąłem się w przeciwną stronę, tam gdzie domyślałem się istnienia węzowej ścieżki, i wreszcie mogłem znowu widzieć las i wąską drogę pomiędzy jednym Czarnym a drugim.

Poddałem się. To stworzenie, to nieszczęście czy też ta śmierć — były silniejsze. Tak prędko, jak tylko mogłem, ruszyłem za wężami. Chciałem je dogonić, być od nich szybszy, aby mnie zgubiły, zrezygnowały ze mnie, znalazły sobie kogoś innego. Ale one spieszyły wraz ze mną. Wysforowały się przede mną. Wciąż w tym samym odstępnie. Nie do prześcignięcia. Biegłem szybko. One jeszcze szybciej. Aż do drwała. Siedział okrakiem na ściętym pniu i obcinał siekierą gałęzie. Pozdrowił mnie:

— Co pan tu robi?

Zatrzymałem się. To samo uczyniły węże przede mną.

— Wybrałem się na spacer. Dokąd prowadzi ta droga?

U dołu pnia, tam gdzie był on najszerszy, dostrzegłem wycięte serce, a w nim dwie litery. Były zamazane i nieczytelne.

— Niech pan wraca! W tym lesie można łatwo zabłądzić. Drogi są stare i już prawie całkiem zarośnięte.

— Nie szkodzi, nie szkodzi. — Nie chciałem zawracać. Bałem się owego stworu. Nie puszczał mnie z powrotem. Węże biegły do przodu. Nie do tyłu.

— Nie znajdzie pan stąd wyjścia. A dalej jest rozpadlina. Bardzo niebezpieczna.

— Co to była za historia z tym dwojgiem? — wskazałem na wycięte w drzewie serce.

Drwał wzruszył ramionami.

— Może to tych dwoje, którzy spadli w przepaść. — Kiedyś, przed ośmiu laty, para kochanków runęła w ową rozpadlinę. On zginął na miejscu, ona jest od tego czasu sparaliżowana. Trudni się robotkami ręcznymi, które wykonuje dla ciotki żony drwała. Gdzieś w lesie

poleciała wznieść kamień pamiątkowy.

— A za rozpadliną?

— Za nią droga prowadzi jeszcze przez las aż do „Równiny”. A stamtąd tylko godzina do Passail. Ale w ten sposób jest się cały dzień w drodze i nie wolno zbroczyć, bo wtedy trzeba by w lesie nocować.

Dokąd chcą iść za mną węże?

— Będę uważał — powiedziałem i ruszyłem za nimi.

Usłyszałem, że drwał zabrał się znowu do rąbania. Odgłosy były coraz słabsze. Szedłem szybko. Drogami głębokimi jak koryta wyschniętych rzek, potem czarnymi koleinami, znów w gęstwinę. Długo. Bardzo długo. Ogarniało mnie zmęczenie. Usiadłem. Zobaczyłem, że węże zatrzymują się. Postanowiłem odpocząć. Spojrzałem na zegarek, była już trzecia po południu. Wybrałem się w drogę o dziewiątej. Co powiedzą w domu? Będą się niepokoiли. Oparłem się plecami o drzewo. Zdrzemnąłem się na chwilę, potem ruszyłem dalej. Gdzie znajdowała się rozpadlina, o której mówił drwał? Czy czarne węże prowadziły mnie w kółko? Czy wracałem wciąż w to samo miejsce i nie zdawałem sobie z tego sprawy? Drwała nie słyszałem już od dawna. Piąta godzina. Znowu zatrzymałem się na odpoczynek. Byłem jeszcze bardziej zmęczony. Tylko nie siadać. Wieczory były już chłodne. Iść dalej. Między drzewami. Na jednym z nich przybita gwoździami tablica, pismo zmyła woda. Czy był to ów pomnik ufundowany przez sparaliżowaną? Czy może ostrzeżenie ?

Co? Czyżby węże się zatrzymały? Pozwalały się doścignąć? Czy kończyły wędrówkę? Ruszyłem szybko do przodu.

Stałem na stromo opadającym brzegu skały ponad rozpadliną. Niskie krzewy, kępki trawy na jasnym wapiennym podłożu, głęboko w dole wierzchołki drzew i strumień.

A więc tędy w przepaść. Węże pędzą mnie tam, w dół. Czy mnie zepchną? Wystarczy lekkie, tylko lekkie pchnięcie, i odbijając się od krzewów, trawy i wapiennego gruntu stoczę się na wierzchołki drzew. Runę w żwirowisko nad strumieniem. Albo w wodę. Ginać przestraszę pstrąga. Zmiażdżę raka.

A może Czarne uniesie się w górę? Wysoko. Zastłoni mi widok. Spowoduje jakiś mój nierozważny krok. Nie zepchnie mnie, tylko nakłoni, abym sam wykonał ów śmiertelny ruch. Dobrowolnie.

Obserwowałem tych dwóch czarnych przewodników. U moich stóp spleli się z sobą. Czarne wydęło się w rodzaj ciemnej poduszki, która zatrzymała się płasko nad samą przepaścią. Nie opierała się o żaden kamień. Sterczała do przodu.

Czarne znów przede mną. Czy wiodło mnie ono zawsze, a ja ujrzałem je po raz pierwszy dopiero dziś? Czy każdy z nas ma to swoje Czarne obok siebie? Swoje węże? Swoją tor wytyczony ku przepaści, który powoduje upadek na dno, taki sam jak owej pary kochanków. Jak mój? Czy wszyscy dążymy do upadku? Do śmiertelnego skoku? Czy mkniemy razem jak gromada szczurów, czy też każdy pobiegnie pojedynczo? Czy byłem szczurem?

A może lęki miliardów dyszących szczurów skupiły się w tym Czarnym, które napotkałem? Które mnie zaatakowało? Czy Czarne wdrze się także w moje wnętrze? Uniesie się w górę przede mną? Przez nos, uszy, usta wtłoczy się w mój jasny mózg? Aby go zaciemnić. Uczynić czarnym. Całkowicie czarnym. I uczynić czarnym wszystko, co się z niego wydostaje. Krew. Myśli. A ja skocze w dół. Będę upadał, staczał się, spadał, staczał się, aż wreszcie spadnę i tak pozostanę. I moją ostatnią myślą będzie coś, co pocznie z kolei rozmnażać Czarne, które mnie zabiło. Zagęszczać, umacniać dla mego następcy. Wtedy i ja dodam temu następcy swoją część, tutaj, przed rozpadliną albo gdzie indziej. I ja zdobędę jego mózg. Uraduję się jego kolejnym upadkiem. I wchłonę w siebie tę trochę czarnego obłoku, który wydobędzie się z niego, kiedy on padnie martwy. Kiedy stanie się jednym z nas. Jeden dodatkowy mały mięsień w potężnym ciele nieszczęścia.

W dół. W dół. Wdrzeć się w czarne ciało, ale nie razem z czarnymi węzami. Obok

nich. Stać się Czarnym. Stać się dymem. Jeszcze nie skoczyłem. Czy mam skoczyć na głowę? Jak do basenu pływackiego? Postanowiłem skoczyć wyprostowany. Zrobić tylko krok. Jeden mały krok wystarczy, jeden krok na tę czarną poduszkę przede mną.

Dlaczego nie spadałem? Stałem wciąż. Stałem mocno na leśnym gruncie, mocno na czarnej poduszce. A przede mną już zjawił się nowy. Zwisający nad skałą tak jak ten pierwszy. I zacząłem iść. Krok za krokiem. Czarne schody wiodły w dół, ku rozpadlinie.

Jak silne mogło być Czarne? I jak pomocne? Nieszczęście, które chroniło. Może to nie było w ogóle żadne nieszczęście? Może zgoła anioł? Czarny anioł stróż. Czarny anioł.

Szedłem wzdłuż rozpadliny, węże znów obok mnie. Kładka. Tam, gdzie strumień płynął już spokojnie, a trawa rosła aż do samego brzegu. Pod kładką martwa sarna z otwartymi ślepiami, w jej sierść wczepiony ciemny rak.

Zdziczała sarna? Spadła z góry, zraniła się. Biegła jeszcze kilka kroków, nim zdychając stoczyła się do potoku.

Czy ja także spadłem? Jak ta sarna? Czy i ja umierając posuwałem się brzegiem strumienia? Czy spадanie i umieranie było czymś powolnym? Spokojne schodzenie po czarnych stopniach? Czy podczas umierania ustaje pośpiech? Popłoch szczura i nieśmiałość sarny. Miłość dziewczyny, która teraz robi na drutach dla ciotki żony drwala, i mój strach.

Czy umieranie pozbawia pośpiechu? Nieśmiałości? Miłości? Strachu ?

Czy droga poprzez czarne schody była wyzwoleniem? Wyzwoleniem od wszystkiego?

Las i kamienie kończyły się. Stałem na „Równinie”. Wcześniej niż przypuszczałem, ponieważ przeszedłem rozpadlinę w poprzek i nie musiałem jej obchodzić. Czarne prowadziło mnie dobrze.

Nie kończące się cykanie świerszczy. Księżyc za zasłoną jesiennych chmur. Godzina siódma. Pełnące węże w trawie. I ja za nimi, poprzez skoszone pola i hałdy, wzdłuż drózek, jedne mijając, inne przechodząc w poprzek, z trudem już rozpoznając ciemnych przewodników, wprost do jasnej sieni gospody „Pod Gwiazdą”, na drodze prowadzącej do Passail, aż do wielkiego basenu z pstrągami.

Tutaj węże się zatrzymały. Jakiś czas drgały, potem zaczęły pięć się w górę i owijać wokół mego prawego ramienia, jak gdyby chciały je unieść. Prowadzić. Kierować nim. Uniosłem ramię i poruszałem nim w ślad za węzami, które cieniutkie jak nitki schylały się w głąb basenu, ku pstrągowi.

Zimna woda. Pęcherze między moimi palcami i na przegubie ręki.

— Dzień dobry, doktorze! Proszę sobie samemu wybrać odpowiedniego pstrąga!

Nie mogłem odpowiedzieć na pozdrowienie właściciela gospody „Pod Gwiazdą”. Nękający ból w środkowym palcu. Tak nie gryzie żaden pstrąg. Wyciągnąłem rękę z basenu. Przyczepiony do niej był rak, jego czarne szczypcy obejmowały mocno moje palce. Ogarnął mnie wstręt.

Jakim sposobem mógł się ten rak dostać do basenu? Gospodarz usiłował uwolnić mój palec od kleszczy raka.

— Przynieś nożyce! — polecił kelnerce.

Z wielkim trudem udało się otworzyć nożycami kleszcze raka.

— No tak, panie doktorze, a teraz go ugotujemy. Tak czy owak musiał zginąć. Nie może żyć z przeciętymi kleszczami. Niech pan pozwoli do nas. To nie potrwa długo.

Siedziałem w izbie gościnnej. Gdzie podziały się czarne węże?

Nic czarnego nie było już wokół mnie.

Czego chciało to Czarne?

Wtedy przypomniałem sobie, że kiedyś, przed wieloma laty, rak zranił mego ojca w rękę. „Jestem cały pokaleczony”, powiedział wtedy ojciec.

Na środkowym palcu odkryłem cienką strużkę krwi. Wytarłem ją chusteczką do nosa.

Wkrótce gospodarz przyniósł raka i dwa pstrągi. Zdumiał się, kiedy usłyszał, że przy-

szedłem piechotą.

Późnym wieczorem jeden z gości mieszkających w moim sąsiedztwie zaprowadził mnie do domu.

Niepokojono się już o mnie.

„Tak, tak” — powiedziałem i oświadczyłem, że jadłem już po drodze kolację w gospodzie „Pod Gwiazdą”.

Zdarzenie w St. Wolfgang

Dzień był pochmurny. Jezioro niespokojne. Kapali się w nim tylko nieliczni. Płynęło po nim wiele żaglówek. Trasa wjazdowa do St. Wolfgang zapchana była pojazdami. Jechałem bardzo wolno. Już z daleka widać było mgliste zarysy starego kościoła.

Wydawało się, że przeświecająca biel tynków poszarzała od czasu mojego ostatniego pobytu. Parkingi były przepełnione. Posuwałem się wolno wąskimi uliczkami St. Wolfgang. Przelewały się po nich tłumy pieszych przechodniów. Wielu z nich obrzucało mnie gniewnymi spojrzeniami. Kobiety odsuwały dzieci na bok. Inne przechodziły demonstracyjnie tuż przed maską mego samochodu. Skręciłem w boczną ulicę prowadzącą stromo w górę. Była pusta. Nawierzchnia była zniszczona. Drogę zabezpieczał zmurszały mur, pełen wielkich szpar. Przed jednym z ostrych zakrętów ulica rozszerzała się. Podjechałem bardzo blisko zmurszałej ścianie i zatrzymałem pod nią samochód.

Powoli schodziłem w dół, do miasteczka. Dał ostry wiatr. Potykałem się o rozluźnione kocie łby. Domy przy położonych dalej ulicach zalane były aż po ozdobione kwiatami parapety potokiem pieszych oraz pojazdów.

Wchodziłem po kilku stopniach w górę, w stronę kościoła. Ludzie tłoczyli się wokół automatów, dzięki którym — po wrzuceniu kilku szylingów i przy pomocy założonych na uszy słuchawek — mogli dowiedzieć się o historii kościoła, a także samej miejscowości. Szedłem wzdłuż krużganków otaczających kościół. Przy którymś z kolistych łuków szarego muru zatrzymałem się. Byłem sam. Spoglądałem w dół na jezioro. Ostry podmuch wiatru uderzał we mnie, było bardzo chłodno. Wiatr rozcinał powierzchnię jeziora, krząc ją w liczne fale. Każda z nich miała na grzbiecie mały, brudnobiały grzebień. Fale mąciły lustro wody. Szarość krużganków i brudna biel wieży kościelnej mieszały się z ponurym kolorytem fal. W łamiącym się zwierciadle wody obraz kościoła wydawał się chwiejny i mętny. Chciałem ujrzeć także własne odbicie. Unosiłem w górę ramię, wykonywałem energiczne poruszenia, ale nie mogłem nic zobaczyć.

Była pierwsza po południu, postanowiłem coś zjeść. Zbliżyłem się ku schodom wiodącym w dół miasta. Szarość muru ustępowała miejsca wielobarwności gromady turystów. Przeciskałem się zatłoczonymi ulicami ku gospodzie, w której stale jadałem. Wszystkie stoliki były zajęte. Wyszedłem więc stamtąd.

Dałem się porwać strumieniowi ludzi płynącemu ulicami. Wszystkie gospody były przepełnione. W jednych widziało się tłumy cisnące się do wejść, w innych taki sam tłum wylewał się na zewnątrz. W pokojach restauracyjnych było duszno. Nigdzie nie mogłem znaleźć miejsca. Spocone kelnerki kazały mi wszędzie czekać.

Zaszedłem nad pusty brzeg jeziora. Wiatr kołysał szarymi żaglami odległych łodzi. Przed sobą ujrzałem gospodę. Okna jej wyższych pięter ozdobione były kwiatami, na chodniku leżały rozrzucone odłamki cegieł. Od fasady bramy wejściowej odpadł duży kawał tynku. Obok bramy odkryłem małe drzwi z napisem: „Do jadalni”. Droga prowadziła na ogromną

werandę, gdzie siedziało niewielu gości. Powietrze było złe, ktoś kaszłał. Był to kelner. Przechodząc przysiadł na jednym z krzeseł przy stoliku służbowym i zapalał papierosa. Nie zwracał na mnie uwagi. Pod oknem werandy znajdował się jeszcze jeden wolny stolik. Usiadłem przy nim. Zimny przeciąg owionął mój lewy bark i lewe ramię, okno było uchylone. Zastanawiałem się, czy je zamknąć. Matowobrazowy lakier ram okiennych odpadał w wielu miejscach, spod niego przeglądało porysowane drewno. Słyszałem kaszel kelnera. Wciąż czułem na sobie ów zimny przeciąg, gdyż okno zostawiłem otwarte. W sali i tak panował okropny zaduch. Na ścianie nad niskimi drzwiami wisiały rozłożyste rogi jelenie, ciemne wgłębienia poźółkłej kości kierowały się wprost w moją stronę. Odwróciłem się. Widok na niespokojną powierzchnię wody, jaki rozpościerał się przede mną, zasłaniał mi przechodnie. Jezioro widziałem tylko poprzez ich ramiona i brzuchy. Tu i ówdzie żaglówki, przy brzegu brudny statek parowy. Obrus na stole był poplamiony. Wiatr nagiął gałąź winnej latorośli przez uchylone okno do wnętrza; zimny podmuch powietrza stawał się nie do zniesienia. Chciałem poszukać innego stolika. Właśnie się rozglądałem, kiedy stanął przede mną kelner. Ramiona miał wysoko podniesione, źrenice występowały z orbit, marynarka była brudna. Bez słowa podał mi podniszczoną kartę potraw. Niektóre dania skreślono, inne wypisano w sposób trudny do odczytania. Stał przy moim stoliku i nie spuszczał ze mnie wzroku. Obecność jego była mi bardzo niemiła. Wolałbym przestudiować kartę w spokoju. Zamówiłem pstrąga i czerwone wino. Kelner szybko zabrał kartę ze stołu i odszedł. Usłyszałem znów jego kaszel. Błada dziewczyna przyniosła mi wino, czuć je było pleśnią. Na resztę musiałem długo czekać. Przeciąg nie ustawał. Zaczynałem się obawiać przeziębienia. Kelner wciąż kaszłał. Przytłumionym głosem wydawał polecenia bladej dziewczynie. Ta przyniosła pstrąga i niezręcznie podała go na stół. Kilka kropli roztopionego masła pociekło na brudny obrus. „Wynoś się!” — krzyknął kelner i postawił rybę starannie na stole. Używał tylko lewej ręki. „Smacznego” — wykrztusił z siebie, potem usiadł z powrotem przy stoliku służbowym paląc papierosa. Pstrąg miał bardzo ostry zapach. Wyhodowany w kadzi, pomyślałem. Mięso było szare, o mdłym smaku. Silny podmuch wiatru otworzył nagle szeroko jedną z okiennic. Wstałem i zamknąłem okno. Z trudem powstrzymałem okrzyk bólu. W lewym barku i lewym ramieniu poczułem gwałtowne rwanie. Siedziałem na miejscu bez ruchu mając nadzieję, że ból minie. Ale nie ustawał. Jadłem dalej starając się całą siłą woli panować nad sobą. Ryba stała się tymczasem zupełnie zimna. Kelner siedział w głębi sali, kaszłał i palił papierosa. Przy zamykaniu okna zatrzasnąłem między okiennicami gałąź winogrodu, która zwisała teraz tylko na jednym cienkim włóknie. Usłyszałem, jak kelner wstał ze swego miejsca i zbliżył się do mnie. Bez słowa pochylił się nad moim stolikiem i pchnął okiennice tak, że okno znowu się otwarło. Złamana gałąź upadła na chodnik.

— Niech pan zostawi okno zamknięte. Mam silne bóle od tego przeciągu — powiedziałem. — Kelner popatrzył na mnie z gniewem.

— Świeże powietrze nie szkodzi nikomu — mówił głosem urywanym i bardzo głośno, jak astmatyk. Jego wypukłe oczy poczerwieniały.

Rozmowy przy sąsiednich stolikach umilkły.

Kelner oddychał ciężko. Pieczołowicie zdjął brudną marynarkę i lewą dłoń zawiesił ją na oparciu jednego z pustych krzeseł. Koszula ze sztucznego włókna, którą nosił pod spodem, była mokra, rozchodziła się woń potu. Ogarnął mnie strach. Nie miałem pojęcia, co kelner zamierza uczynić. Gwałtownie szarpnął prawy rękaw koszuli, tak że oderwał się od niego guzik, który potoczył się po ciemnej drewnianej posadzce. A potem wolno odsłonił swoje prawe ramię. Cofnąłem się ze zgrozą.

Jakaś kobieta przy którymś z sąsiednich stolików krzyknęła głośno. Chwyciły ją torsje.

— A więc to pana boli — charczał kelner. — Z tego powodu odczuwa pan bóle! To dopiero początek! Wszyscy będą cierpieć!

Uniósł w górę lewą dłoń obnażone ramię. Było to żywe mięso, nabrzmiące jak nad-

miernie wyrosnięte ciasto. Faliste wybrzuszenia rozsadzały skórę. Ciało miało wygląd gąbczasty. Na spiczastych czubkach opuchnięć i krost widniały małe ciemne otwory. Niektóre z nich zakończone były brudnobiałymi strupami. Przedramię poszarzało jakby pokryte pleśnią.

— To jest to, co pana boli! — wyjęczał znowu kelner. Naciskał szare mięso chorego przedramienia. Gęsta, tłusta ropa wyciekała z ciemnych otworów strupów. Podniecenie kelnera rosło. Z coraz większą wściekłością wyciskał ciecz z prawego ramienia. W zgięciu łokcia wytworzył się mały naciek. Jedna kropla wysączyła się z wolna na dłoń.

Cuchnęło wymiotami.

— Tak wyglądają cierpienia — jęczał kelner i zaczął rwać gnijące mięso przedramienia. Wyszarpował z niego płat za płatem, coraz większe kawały padały na podłogę. Przerażeni goście zrywali się z miejsc. Niektórzy ciskali pieniądze na stół, inni wybiegali bez uiszczenia rachunku, lecz ja nie śmiałem się poruszyć. Kelner stał blisko mnie. Bałem się, że któraś część jego rozkładającego się ramienia może trafić we mnie. Nadbiegła usługująca kelnerka. — Nie tato, nie rób tego! — wołała, mocno obejmując lewe ramię ojca. Policzki miała zaczerwienione. Kelner zatoczył się kilka kroków w tył. — Wynoś się! — krzyknął znowu.

Wykorzystałem ten moment, aby wymknąć się tak szybko, jak tylko mogłem, na otwartą przestrzeń. Na ulicach wciąż jeszcze tłoczyły się tłumy. Czułem dotkliwy ból w ramieniu. Idąc badałem się. Skóra na ramieniu pozostała nie zmieniona. Pospieszyłem co sił do mego wozu. Szybko zatrzasnąłem za sobą drzwiczki. Wsiadając musnąłem lewym ramieniem zmuśrzały mur uliczny. Starąłem się strzepnąć pleśń ze swego rękawa, ale osad, który się do niego przyczepił, był lepki i wkrótce przykleił się również do mojej prawej dłoni. Nie miałem przy sobie żadnej chusteczki, przy pomocy której mógłbym rękę wytrzeć.

Nacisnąłem sprzęgło wozu. Ruszając dotykałem zabrudzoną prawą ręką urządzeń samochodu i w ten sposób pleśń dostała się na kierownicę i do przekładni biegów. Tylko z trudem udawało mi się wymijać i wyprzedzać tłumy na ulicach miasta. Bóle lewego barku i lewego ramienia utrudniały jazdę. Dopiero znacznie później, kiedy byłem już daleko od Sankt Wolfgang, stopniowo ustępowały. Kleista pleśń wysychała i zaczęła małymi strzępkami odpadać ze mnie, a także z kierownicy i z przekładni biegów.

Po przebudzeniu

Rozległo się szczekanie psa. Był to pierwszy odgłos, jaki usłyszałem o świcie. Otworłem oczy. Osłepiły mnie jasne promienie słońca, wdzierające się poprzez szpary między zasłonami okiennymi. W ich świetle unosiły się i opadały migotliwe pyłki kurzu. Pył z książek stojących na półkach obok mego łóżka. Pył uliczny. Pył z ogrodów. Z krzaków bzu. Znów bóle w oczach.

Pies wciąż szczekał.

Tak, istotnie pies. Leżałem już rozbudzony, kiedy usłyszałem to szczekanie. Już rozbudzony. Już wynurzony ze snów, które natychmiast zapomniałem. Ale jeszcze nie przypominałem sobie siebie samego. W ogóle w ostatnich tygodniach przypominałem się sobie tylko niechętnie. Lubię ową ziemię niczyją, rozciągającą się pomiędzy snem a pełną świadomością, między nieobecnością a całkowitym istnieniem. Jedynie w chwilach, kiedy z wolna wślizgiwałem się ze snów z powrotem w rzeczywistość, nie raniła mnie ta rzeczywistość, jedynie wtedy przestawałem być świadom własnej choroby i nie odczuwałem jeszcze cierpień, jakie niosła ona z sobą.

Chwiejne poczucie równowagi, zakłócone po niewielu sekundach czy nawet ułamkach

sekund. Przeważnie przez sąsiada, który w czasie mycia się w łazience bardzo głośno wymiotował. Cierpiał na chorobę żołądka. Niektórzy mówili, że ma raka lub że nabawi się go z pewnością prędzej czy później, gdyż nie przestrzega rygorów diety. Wymiotował dopiero po goleniu, huczenie jego maszynki sprawiało mi ból. Czasami równowagę moją zakłócał hałas startujących regularnie samochodów, które w ciągu nocy parkowały pod moimi oknami. Albo też nieprzyjemnie intensywny zapach kawy, który każdego poranka — kiedy żona sąsiada gotowała śniadanie — wypełniał całą klatkę schodową i docierał aż do mego pokoju. W czasie chłodnych dni deszczowych, kiedy wszystkie okna były pozamykane, ta woń była szczególnie silna.

Oczy paliły mnie tak, jakby ktoś wsypał między powieki a źrenice piasek i sól. Czułem w nosie i w przełyku piekący ból. Pierwsze łyzy. Ach tak, teraz sobie przypominałem. Choroba. Zdawało mi się, jak gdybym ze stanu nieważkości przechodził we własne nabrzmiałe chorobliwie ciało. Co dzień te same myśli. O sąsiedzie, o sobie samym. O jego chorobie żołądka, o jego nowotworze, o kawie sąsiadki. O moich łzawiących i piekących oczach.

I o psie, o Reksie. To był Reks. Byłem zupełnie pewien, że to był Reks. Przypominający owczarka kundel emeryta mieszkającego w domku na górnym końcu ulicy. Nie znałem nawet jego nazwiska. Wiedziałem tylko, jak nazywa się mój sąsiad. Poza tym nie znałem nikogo na naszej ulicy. Nawet z widzenia. Nie potrafiłbym powiedzieć: ten mieszka w sąsiedztwie, a ten znów dwa domy dalej.

Tylko emeryt był mi znajomy. Co rano wychodził na spacer ze swoim psem. „Reks!” — wołał na niego, kiedy pies chciał skoczyć na mnie. Pamiętam również, co mówił zawsze przy tej sposobności: „On panu nic nie robi. Może pan być zupełnie spokojny. On nic nie robi”. Zawsze te same słowa. Spotykaliśmy się z sobą często. Latem czy zimą nosił lśniąca skórzaną kurtkę i czapkę z daszkiem. Zwykle palił papierosa. Nawet kiedy mówił, kiedy zapewniał, że Reks nie jest niebezpieczny, trzymał papierosa między wąskimi wargami. Z kieszeni skórzanego kurtki zwisała pętla smyczy. Zimą nosił wysokie buty, a szyja jego owinięta była szalem.

Myślałem o zimie, o mrozie, o mgle. O dniach, kiedy rankiem jaskrawe promienie wschodzącego słońca nie przedzierają się przez rolety i nie oslepiają moich zaczerwienionych oczu. O dniach, kiedy moje dłonie nie były aż tak spuchnięte, że nie potrafiłem ściągnąć pierścionka z palca. Kiedy w nosie i gardle nie czułem kłucia, a oczy nie łzawiły. Kiedy wyzwolony byłem od owego znużenia, śmiertelnego znużenia sprawiającego, że każdy ruch stawał się wysiłkiem nie do przewyciężenia, że najprostsza czynność, nawet samo wstawanie, była udręką.

To wszystko przypominałem sobie niemal jednocześnie. Wszystkie niemiłe uczucia wdzierały się w moją świadomość bezładnie, chaotycznie, ale tym mocniej uciskając. Tylko ten, kto sam był kiedyś bardzo chory, zna taką serię dręczących dolegliwości, które każdego poranka trzeba wciąż na nowo pokonywać.

Mokra chustka, to następnie przyszło mi do głowy. Co rano niosła ona moim doległościom pierwsze ukojenie. Wstawałem, dreptałem po omacku (gdyż nie chciałem zapalać światła, aby nie drażnić oczu) do łazienki, zanurzałem ręcznik w zimnym strumieniu wody z kranu i wracałem do łóżka, kładąc zamoczoną chustkę na twarz. Pieczenie w oczach ustępowało, łyzy przestawały płynąć, usta i nos także mniej bolały. Wkładałem pod ręcznik również opuchnięte dłonie. Wilgotny chłód przynosił ogromną ulgę.

Zawsze kiedy tak leżałem pod mokrym ręcznikiem, przychodziła mi na myśl dentystka. Od dzieciństwa zapadała każdego lata na te same dolegliwości co ja. „Na to pomaga jedynie mokry okład na głowę” — poradziła mi kilka lat temu. Miała słuszość. Leczone mnie najprzeróżniejszymi medykamentami. Większość z nich wprawiała w stan otępienia. Inne znów, zawierające kofeinę, powodowały, że pod ich wpływem działałem w jakimś nerwowym pośpiechu, wprawiały mnie one w stan przypominający oszołomienie narkotykiem. Wtedy bóle wprawdzie ustępowały, ale jak tylko mijał czas oddziaływania specyfików, odczuwałem kom-

pletne wyczerpanie; gwałtowny kaszel, katar, bóle wracały, tyle że jeszcze bardziej dręczące.

„Antyhistamina zwęża naczynia — powiedział mi zaprzyjaźniony ze mną lekarz — pozwól, że zastosuję w twoim wypadku kortyzon”. Przez długi czas broniłem się przed kortyzonem, wielu ludzi dowodziło, że jest on szkodliwy. Ale pewnego lata, kiedy bóle były już nie do zniesienia, ustąpiłem. Udałem się do gabinetu przyjąć mego przyjaciela lekarza i poprosiłem o zastrzyk. „Zobaczysz, po godzinie będziesz zdrow”. Rzeczywiście objawy choroby zniknęły zadziwiająco szybko. Mogłem nawet stwierdzić, że zapalenie błon śluzowych i ust ustępuje, okazało się nagle, że oczy znoszą bez bólu światło słońca, a pierścionek daje się ściągnąć z palca bez trudu. Również dzisiejszego ranka przypominałem sobie owe radosne momenty wyzwolenia od cierpień. Zastanawiałem się, jak każdego ranka, czyby nie pójść znów do przyjaciela i nie poprosić go o zastrzyk. Ale kiedy uświadomiłem sobie skutki, jakie potem nastąpiły, odrzuciłem tę myśl.

Reks czekał. Czy emeryt znajdował się przed domem?

Skutki. Całe moje ciało spuchło. Nie mogłem już dopiąć kołnierza od koszuli. Rysy twarzy zmieniły się nie do poznania. „Wyglądasz jak księżyc w pełni” — mówili o mnie znajomi. Moje ciśnienie stawało się coraz niższe. Aż do dnia, kiedy — podczas pracy w ogrodzie — usłyszałem nagle z bardzo daleka krakanie wron i świergot ptaków. W owej chwili każdy ruch wydawał mi się niezwykle łatwy do wykonania. Przypominałem sobie ropuchę, która pełzła wtedy powoli przez grządki. Pamiętam, że kiedy schyliłem się nad nią, zrobiło mi się słabo. Przypominałem sobie również, że ogarnęła mnie wcale nie niepokojąca pewność, iż więcej się nie podniosę.

Z całą ostrożnością osuwałem się w trawę. Leżałem tak długo. Nie straciłem przytomności, tylko istnienie moje ograniczyło się wyłącznie do czynności mózgu. Mogłem już tylko myśleć. Ciało leżało obok mnie bezużytecznie, choć również nie przeszkadzając mi w niczym. Rodzaj śmierci, ale zarazem rodzaj życia. Podobny do owych chwil, kiedy każdego ranka po przebudzeniu leżałem wyzwolony od cierpień aż do pierwszych szmerów, które rozbudzały ciało. To moja choroba.

Znowu przyszedł mi na myśl emeryt, jego czapka z daszkiem i pies. Zazdrościłem mu. On nie musiał pracować, a ja musiałem pełnić swoje obowiązki służbowe. Każdego lata, mimo choroby. Jakie przedsiębiorstwo pozwoli pracownikowi przebywać na urlopie chorobowym po kilka miesięcy w roku, i to z powodu kataru siennego? „To tylko histeria” — mówili koledzy, kiedy od czasu do czasu skarżyłem się na swój stan zdrowia. Nie mogłem im tego brać za złe, sama nazwa choroby — katar sienny — wywoływała ironiczne komentarze („jeżeli nie znosisz siana, nie kładź się na nim tak często z przyjaciółką”), a poza tym, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, mieli trochę racji. Tyle tylko, że chodziło nie o histerię w sensie psychicznym, była to raczej histeria ciała. Wystarczyło mi wdychać pyłki określonych kwiatów, a już moje ciało reagowało tak gwałtownie, jakby musiało natychmiast wytworzyć w sobie antytoksyny przeciw groźnej truciznie.

Wiedziałem, że szczególnych cierpień doznaję każdego lata, o określonej porze, a to z powodu pyłków kwiatowych bzu. Czasem, kiedy spacerowałem ulicą pozbawioną drzew czy krzewów, ciępką gorycz, której doświadczałem nagle w nozdrzach i w ustach, zdradzała, że gdzieś, na jakimś pobliskim podwórzu, na tyłach kamienicy musi rosnać krzak bzu. Przyjaciele, w których towarzystwie akurat się znajdowałem, nie mogli uwierzyć w taką chorobliwą wrażliwość i ruszali na poszukiwanie ukrytego rzekomo krzewu. Znikali w bramie najbliższego domu, wracali oznajmiając triumfalnie, że nie widzieli nigdzie bzu, szli do następnej kamienicy, znów niczego nie znajdowali, aż trzy lub cztery kamienice dalej, kiedy ból atakował już moje nerki i zaczynało mi brakować tchu, odkrywali wreszcie białe kiście — źródło moich cierpień. „Powinieneś się zaangażować jako zwiadowca bzu” — żartowali. A ja musiałem natychmiast przetykać pastylkę z kofeiną lub bez niej i czekać na zwężenie się naczyń krwionośnych.

Mokry okład spowodował niejako uśmierzenie pieczenia i klucia. Również obrzęk dłoni trochę ustępował. Mogłem nawet łatwiej oddychać. Wykorzystałem ten krótki moment ulgi, wstałem i poszedłem natychmiast do łazienki. Zimny tusz. Na pomysł, aby swój stan łagodzić przejściowo zimnymi prysznicami, wpadłem sam. Traktowałem to jako rodzaj spotęgowanego mokrego okładu. Istotnie pomagało. Jediną ujemną stroną było, że pod koniec lata — bzy kwitną dłużej niż miesiąc — nabawiałem się najczęściej ostrego przeziębienia. Katar sienny zamieniał się w zwykły. Przeważnie także odzywał się ból nerek. Mimo to, ilekroć mogłem, starałem się korzystać z zimnego tuszu. W ten sposób zaspokajałem tęsknotę do chłodu. Kiedy zimne bicze wody uderzały ciało, przeżywałem złudzenie mrozu, czystych dni zimowych — krzewów, których liście, kwiaty i owoce były przemarznięte.

Po wzięciu tuszu nałożyłem okulary przeciwsłoneczne. Tłumiły one jaskrawe światło dnia i opóźniały nawrót cierpienia. Ubierałem się. Jadłem śniadanie. Jajko na twardo i kawałek ciasta. Żadnego napoju. „Im więcej pijesz, tym bardziej leje się z ciebie” — ostrzegał mnie lekarz. Myślałem z troską o moich nerkach. Tylko zażywając lekarstwa — pastylki z kofeiną — popijałem je wodą.

Wyszedłem przed dom. Zaledwie dziewiąta godzina i już tak gorąco. Może to dobrze, pomyślałem, być może bzy wkrótce zwiędną. Co rok wierzyłem w szczególnie szybkie przekwitanie bzów, co miało skrócić okres moich cierpienia. A znowu, gdy zdarzały się bardziej deszczowe pory letnie, miałem nadzieję, że wpłynie to niekorzystnie na rozwój pąków bzu, które mogą przegnić, i dzięki temu unosić się będzie wtedy w powietrzu tylko drobna część zwykłej ilości kwiatowych pyłków.

Czyżby światło oślepiło mnie mimo okularów? Czy też tak bardzo pochłonęła mnie myśl o możliwościach szczególnie szybkiego zwiędnięcia bzu w prażącym słońcu? Tak czy owak nie zauważyłem zbliżającego się Reksa. Pies tymczasem skoczył ku mnie wysoko, oparł się przednimi łapami o moje uda i patrzył na mnie ze zwisającym z pyska jęzorem.

— Dobry pies, dobry — powiedziałem. — Pies przestraszył mnie.

— On nie robi nic złego. Niech pan będzie zupełnie spokojny. Nic panu nie robi. — Zapewniał emeryt w czapce z daszkiem i z papierosem w ustach.

— Reks, do nogi. Nie, nie, on nie jest groźny.

Zatrzymałem się.

Ucisk psich łap stopniowo ustępował. Wreszcie Reks stanął z powrotem na ziemi i truchtem wrócił do swego pana. Emeryt wyciągnął smycz z kieszeni lśniącej skórzanej kurtki.

— Na wszelki wypadek lepiej będzie, jak wezmę go na smycz. Czy nie pobrudził pana?

— Nie, skądże. Proszę go puścić.

— Czegoś takiego jeszcze nigdy nie zrobił. Jak to się rzucił na pana! Co by to było, gdyby tak padało. Zbrudziłby pana od góry do dołu. Szczęście, że dziś taki piękny dzień. Będzie gorąco. Upał. Miał pan rację nakładając okulary. Słońce rzeczywiście bardzo razi. To straszne, jak dziś przypieka.

Wyjął papierosa z ust. Czapkę miał głęboko nasadzoną na czoło, tak że oczy były w cieniu. Pies położył się na chodniku u stóp swego pana.

Byłem zdumiony. Od lat co rano spotykałem emeryta, ale jeszcze nigdy nie próbował wciągnąć mnie w rozmowę. Chciałem ją zakończyć możliwie jak najszybciej, uśmiechnąłem się grzecznie i powoli skierowałem do swego samochodu. Podczas choroby starałem się, o ile tylko mogłem, unikać przebywania na świeżym powietrzu. Chciałem, aby unoszące się wokół pyłki kwiatów bzu oddziaływały na mnie możliwie jak najkrócej, tyle tylko, ile było nie do uniknięcia.

— Czy pan nosi szkła dioptryczne, czy są to zwykłe okulary przeciwsłoneczne? — Musiałem się znowu zatrzymać.

— To znaczy, czy to jest szkło szlifowane, czy też... jak to się nazywa?

— Szyby okienne.

Emeryt zaczął się śmiać. „Szyby okienne”, powtarzał te słowa kilka razy. Potrząsał głową. Potem powiedział: — Ciemne szyby okienne.

— Powiedziałbym: okrągłe szkło okienne. Nie zwykłe okienne szyby.

— Aha, aha, szkło szlifowane. — Wciągnął dym z papierosa. — Takie okulary muszą być drogie. Trzeba uważać, aby ich nie zgubić. Do nogi!

Pies zerwał się i chciał biec w kierunku przejeżdżającego na rowerze z przyczepką człowieka rozwozącego po domach w całej ulicy — także i mojemu sąsiadowi — teczki z gazetami.

Pies wrócił i ułożył się w poprzedniej pozycji.

Zrobiłem kolejny krok w stronę swego auta.

— Tak, w samochodzie będzie dziś szczególnie gorąco. Niczego sobie upał. Jestem zadowolony, że nie muszę wyjeżdżać autem. To żadna przyjemność. No tak, można otworzyć okna. Żeby był chłodny przeciąg. Jeśli ktoś potrafi go znieść. Większość ludzi może się z tego nabawić reumatyzmu w lewym barku. To choroba kierowców.

— Tak, tak. — Pragnąłem jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. Lekkie podrażnienie nosa dawało mi już znać, że jeżeli natychmiast nie znajdę się w bezpiecznym miejscu, atak choroby jest nieunikniony. Nie było czasu do stracenia; nawet tyle, aby powiedzieć emerytowi, że ze strachu przed kwietnym pyłem nie opuszczam nawet na kilka cali szyb w samochodzie i wolę znosić najbardziej męczący upał.

— Gdyby ludzie wiedzieli, jak bardzo szkodliwa jest jazda samochodem, nie tylko dla tych, którzy muszą chodzić piechotą, na przykład dla mnie. Jak pan myśli, ile kurzu i smoły nabieram w płuca każdego dnia w czasie spaceru. — Znowu zaciągnął się papierosem. — Ale także dla kierowców jest to szkodliwe. Tak, tak, mój Boże! — Pokiwał głową.

— Zło konieczne. — Ten zwrot wydawał mi się odpowiedni na zakończenie naszej rozmowy. Otworzyłem drzwiczki wozu i chciałem odjechać. Ale okazało się, że zatrzymywałem się już zbyt długo. Kichnąłem. Raz. Dwa razy. Trzy razy. Wiedziałem, że taki atak może trwać nawet pół godziny, co uniemożliwiałoby mi jazdę samochodem, gdyż przy każdym kichnięciu musiałem zamykać oczy. Nawet przy największym wysiłku woli nie mogłem mieć ich wtedy otwartych. A więc siedziałem przy zamkniętych oknach we wnętrzu rozżarzonego do gorąca wozu i czekałem, aż atak minie. Emeryt usunął się na bok. Przypuszczał, że zaraz odjadę.

Pies merdając ogonem stał obok niego.

Emeryt czekał jakiś czas. Nie przestawał spoglądać na mnie ze zdziwieniem. W końcu zbliżył się powoli, pochylił się i coś powiedział. Właśnie wtedy kichnąłem. Emeryt skinął kilka razy dłonią, dając mi niejako znak, abym otworzył okno.

Potrząsałem przecząco głową. Chciałem mu dać do zrozumienia, że to niemożliwe. Zdaje się, że emeryt sądził, iż jestem w niebezpieczeństwie. Próbował otworzyć drzwiczki od mojej strony. Szarpał nimi kilkakrotnie. Lecz bez skutku. Zabezpieczyłem je już przedtem.

Kichnąłem znowu. Dwa razy z rzędu.

Emeryt pobiegł na drugą stronę wozu. Pies szczekał głośno i okrażał samochód.

— Co się stało? Czy panu niedobrze?

Zapomniałem zamknąć drzwiczki po drugiej stronie. Emeryt wsunął głowę do wnętrza wozu. Rama drzwiczek zepchnęła mu czapkę z czoła. Wyraz jego twarzy wydał mi się obcy. Znałem go już od lat, choć jeszcze nigdy nie rozmawialiśmy z sobą. Dziś jego spojrzenie wyrażało znacznie większą pewność siebie. Nie było takie puste, takie zagubione jak zwykle. Siedziałem sztywno wyprostowany przy kierownicy, oczy łzawiły mi za okularami. Chętnie powiedziałbym: „Niech pan zaraz zamknie drzwiczki”.

— Proszę wybaczyć — to tylko zdołałem wykrztusić. Dalsze słowa uniemożliwiło mi znowu dłuższe kichanie. Czułem osłabienie w ramionach i nogach, ręce miałem spuchnięte, kofeina podwyższyła moje ciśnienie. Gorączkowe podniecenie i ogromne znużenie ogarnęły

mnie jednocześnie.

Emeryt stał wciąż przede mną opierając jedną dłoń na kierownicy i patrzył mi ciekawie prosto w twarz. Atak skończył się. Siedząc z przymkniętymi oczyma zastanawiałem się, co należałoby teraz powiedzieć. Nie miałem ochoty na wyjaśnianie emerytowi całej historii mojej choroby.

Powiedziałem tylko:

— Proszę zamknąć drzwi — przygotowany na to, że obrazi go moje szorstkie zachowanie.

Uśmiechnął się. Zdjął dłoń z kierownicy i usiadł obok mnie.

— Zostaniesz tam! — rozkazał psu, który chciał również skoczyć do środka. Potem zamknął drzwi.

Tak siedział zwrócony w moją stronę. Jego czapka była wciąż zsunięta w tył, obserwował mnie uważnie.

Co było robić? Nie miałem siły wyprosić go z wozu. A przecież byłoby to takie proste, myślałem, wystarczyło tylko powiedzieć: „Czy pan nie widzi że jest mi słabo, proszę pana, niech mnie pan zostawi samego”. Każdy człowiek, nawet ten siedzący obok mnie, powinien by zauważyć, że ktoś znajdujący się w takim stanie nie znosi towarzystwa. Poza tym czułem, że ów sąsiad, który tak się mnie uczeplił, nie ustąpi, dopóki się wszystkiego nie dowie.

Pies, który jakiś czas leżał spokojnie przy samochodzie machając ogonem, skrobał teraz w drzwiczki.

„Precz!”

Pies ułożył się z powrotem.

Teraz dopiero zauważyłem, że emeryt nie pali. Gdzie podział się jego papieros? Kiedy wyjął go z ust i zgasił? Próbowałem sobie to przypomnieć. Nie, nie palił już otwierając drzwiczki. Czy w końcu w ogóle palił? Początkowo przecież trzymał w ustach papierosa. A może nie? Przecież tamten, którego od lat spotykałem na spacerze, palił zawsze. Czy ten siedzący obok mnie od początku nie palił? Może był to ktoś inny?

A pies? Wszak był to ten sam pies. Dwaj mężczyźni, którzy są do siebie podobni, mogą mieć dwa takie same psy. Ale żeby spacerowali akurat na tej samej ulicy? Ostatecznie, czemu nie?

Nie, to było bezsensowne. To był ten sam, to musiał być ten sam. Skórzana kurtka. Smycz. Zwisła z jego kieszeni. Przecież nie wziął psa na smycz.

Takie myśli zaczęły mnie irytować. Dlaczego człowiek znajdujący się przy mnie interesował mnie tak bardzo? Człowiek mieszkający na górnym końcu ulicy. W małym domku. Człowiek, który być może już od dawna mnie obserwował. I który nie miał nic do roboty. I zajmował się wyłącznie swoim otoczeniem. Wiedział na pewno wszystko o wszystkich mieszkańcach tej ulicy, kiedy przychodzą i kiedy wychodzą. Kiedy wyjeżdżają z domu na niedzielę i kto ich w tym domu odwiedza. Z pewnością i o mnie zebrał już informacje. Od mojego sąsiada chorującego na żołądek, o którym znów na pewno opowiadał innym, że ma raka.

Gorąco w wozie utrudniało oddychanie. Nie mogłem się powstrzymać od kaszlu.

— Pan jest chory. Nawet bardzo chory. — Emeryt stwierdził to ze stanowczością, która mnie zaskoczyła.

Nie wiem już, co mu odpowiedziałem. Wiem tylko, że nagle poczułem jego dłoń na prawym ramieniu i że to dotknięcie było mi w najwyższym stopniu nieprzyjemne.

Z początku próbowałem wysunąć ramię, ale jego uchwyt był tak stanowczy jak spojrzenie. Tak nie patrzy emeryt, tak nie mówi emeryt.

— Powinien pan poddać się kuracji. I to bardzo szybko. Jak najszybciej. Jest pan na fałszywej drodze.

— Jak to?

Uśmiechnął się.

— Czy nie tak?

— Nie wiem. Tak pan uważa?

Milczał.

Rozczarował mnie. Sądziłem, że będzie mnie wypytywał o chorobę, o jej objawy, o to, jak długo na nią cierpię, jakich lekarstw zażywam.

Tymczasem to ja zacząłem pytać.

— Dlaczego uważa pan, że jestem na fałszywej drodze?

— Ponieważ nie zgłasza się pan.

— U kogo?

— U tego, którego pan się lęka.

— Ja się nie lękam.

— Czy tak? — Z błyskawiczną szybkością, tak że nie zdołałem temu przeszkodzić, opuścił w dół szybę w oknie samochodu.

— Proszę to zostawić. — Chciałem zamknąć z powrotem okno. Trzymał mocno moją dłoń i otworzył także pozostałe.

— Niechże pan zamknie okna! — zawołałem. Znowu kłuło mnie w nosie i ustach. Czulem, jak przewiew powoduje, że całe moje ciało zaczyna się pocić.

— Przyjemny chłód, prawda?

— Proszę zamknąć okno! — Więcej nie mogłem powiedzieć. Już znowu kichałem. Ramiona bolały mnie. W płucach słycać było rżenie przy każdym oddechu.

— Pan ma gorączkę. I to wysoką.

Pies skrobał wciąż w drzwiczki samochodu.

Miał słuszność. Czulem, że gorączkuję.

— Tak, wiem.

— I będzie pan dalej gorączkował. Coraz dłużej, a temperatury będą coraz wyższe. Będzie pan coraz bardziej słabnął, aż pewnego dnia nie będzie pan mógł w ogóle wstać. Znam takie przypadki. Także ze strachu można umrzeć.

— Ależ ja się nie boję.

— Oczywiście, że pan się boi. I to jeszcze jak. Boi się pan nawet wiatru. Tego wiatru, który pana teraz tak przyjemnie chłodzi i osusza pański pot. Niechże się pan przyzna.

— Nie boję się wiatru, tylko pyłku kwiatów bzu, który wiatr rozwiewa. Jestem uczulony na kwiaty bzu, jeżeli chce pan już koniecznie wiedzieć.

Roześmiał się:

— Na kwiaty bzu. Pan się boi, boi. To wszystko.

Pies oparł łapy na ramie okienka i zaglądał w głąb wozu.

— Są ludzie uczuleni na sierść psa do tego stopnia, że to ich zabija. U innych taki sam skutek wywołuje bez. Każdy umiera na to, czego się boi.

— Ależ ja się nie boję. Ani sierści psa, ani bzu.

Pies dyszał. Język zwisał mu z pyska. Mój sąsiad nie odpędzał go od okna.

Obawiałem się, że tak duży pies może łapami uszkodzić lakier samochodu. Ale nic nie mówiłem. Człowiek obok mnie potraktowałby to znów jako objaw chorobliwego strachu. Poglaskał psa. Skrobał go za uchem.

— Piękne zwierzę, prawda? — Nie dal mi czasu na odpowiedź. — W to wierzę, wierzę panu na słowo, że nie boi się sierści psa. Ani nawet bzu. Ale pan się boi. Nawet jeżeli nie wie pan dobrze, czego. Prawdopodobnie nikt nie zna źródeł swego strachu. U jednego tkwi on w sierści psa, u pana rozkwita w krzewie bzu.

— Alergia to po prostu niewydolność białka. To wszystko.— Nie miałem ochoty na spieranie się z siedzącym obok mnie. Piekły mnie oczy i usta. Nie było mowy o jeździe. Zdecydowałem się na powrót do mieszkania i na wzięcie zimnego tuszu. Chciałem wysiąść.

— Pan dokąd?

Kiedy otwierałem drzwiczki samochodu, pies obiegł wóz dokoła i rzucił się znów w moją stronę. Łapy położył na miejscu, na którym siedziałem. Nie mogłem wysiąść. Znalazłem się schwytyany między psem a jego panem. Na próżno czekałem, aby emeryt czy też ów ktoś, kto siedział obok mnie, przywołał psa do siebie.

— Pan dokąd? — powtórzył pytanie.

Słyszałem tuż obok siebie sapanie psa.

Mój niepokój i wyczerpanie stawały się nie do zniesienia.

— Z powrotem — odpowiedziałem.

Emeryt skinął głową.

— A więc uciec. Jak zawsze. Wycofywać się, tylko się wycofywać, kiedy nadciąga strach.

— Ależ, czy pan nie widzi? Nie widzi pan, że nie jestem teraz w stanie prowadzić wozu? Każdy oddech, każde spojrzenie na światło sprawia mi ból. Niech pan mnie puści. Chcę wrócić do domu.

Siedział wciąż bez ruchu patrząc na mnie.

Tak jak poprzednio, tak i tym razem czułem dłoń na prawym ramieniu. Jego uchwyt był mocny.

Kim mógł być ów obcy, który przybrał postać emeryta? A może jednak był to emeryt mieszkający na górnym końcu naszej ulicy? Może tylko przez te wszystkie lata wytworzyłem sobie o nim zupełnie mylny obraz: wychudłego człowieka, idącego rano ze swoim psem w dół ulicy?

— Nie może pan teraz prowadzić wozu. Co do tego ma pan słuszność. Coraz rzadziej będzie pan mógł. Od dziś będzie pana w samochodzie opanowywał strach. Zacznie się pan obawiać, że ktoś zechce nagle usiąść obok i otworzyć okno. Albo też, że pyłki kwiatowe mogą dostać się poprzez szczeliny wozu do jego wnętrza. A potem do pańskiego nosa. Tak. Będzie się pan bał samochodu. I zacznie pan coraz bardziej słabnąć. Jeszcze bardziej zamykać się w sobie. W swoim zaciemnionym mieszkaniu. Za oknami, które pan w ciągu całego lata otwiera tylko nocą i tylko na bardzo krótko. Za opuszczonymi storami, których pan nigdy nie podnosi wierząc w to, że nie znosi pan światła słonecznego.

Pies obok mnie położył głowę między łapy. Koniec pyska dotykał moich spodni. Na lewym udzie czułem gorący oddech.

W jakiej niespodziewanej sytuacji się znalazłem? Rozmawiałem o własnej chorobie z człowiekiem, który stawał mi się coraz bardziej obcy, a mimo to zdawał się mnie znać, skoro wiedział, że okna otwieram istotnie tylko w nocy. Nie miałem nawet prawa powiedzieć, że on mnie do tej rozmowy zmusza. Oczywiście, najchętniej wysiadłbym i powrócił do domu. Z radością wszedłbym pod zimny tusz. Ale to nie znaczy, abym czuł się schwytyany przez niego i jego psa. Ludzie spacerowali tam i z powrotem. Nic nie stało na przeszkodzie, aby zawołać kogoś z nich i prosić o ratunek. Rzecz przedstawiała się raczej tak, że po prostu zastanawiałem się długo nad słowami człowieka siedzącego obok mnie. Każde z tych słów wbrew mej woli rozbrzmiewało echem w moim wnętrzu. Żałowałem, że umysł mam już tak wyczerpany, iż tylko z ogromnym wysiłkiem mogę podążać za tokiem myśli wypowiedzianych przez niego. Mówił wciąż o strachu. Nie odczuwałem strachu w sobie.

— Znosi pan światło. Każdy potrafi je znieść.

Otrząsałem się z rozmyślań. Nie wiedziałem, czy spałem, śniłem, czy też byłem już rozbudzony. Słowa obcego otrzeźwiły mnie. Odczuwałem wciąż na lewym udzie gorący oddech psa. Przypomniałem sobie świt. Szczekanie. Sąsiada. Kawę. Niepokój nadal nie zniknął. Przeciwnie, słowa siedzącego obok mnie człowieka spotęgowały go jeszcze. Znów kichnąłem.

— Co pan mi wobec tego radzi?

— Niech się pan przeciwstawi swojemu strachowi.

Czekał, czy będę pytał dalej.

Spojrzenie moje padło na psa. Na jego uszy. Nastroszone uszy. Że też dopiero teraz zauważyłem owe nastroszone uszy zwierzęcia. Przecież pies emeryta miał uszy zwisające. Teraz byłem pewien. Ten, który mnie tak mocno trzymał za ramię więżąc między sobą a swym psem, nie był prawdziwym emerytem, był kimś innym. Ale kim? Nie odrywałem wciąż wzroku od psa.

— Piękne zwierzę, prawda?

Przytaknąłem.

— Przeciwstawić się strachowi. Mojemu strachowi. To łatwo powiedzieć. Przecież ja się wcale nie boję.

Pochylił się ku mnie. Daszek czapki przesłonił tylne lustro.

— Czy i mnie także? Niech się pan przyzna, pan się mnie boi.

Nie odpowiedziałem nic. Stawałem się z każdą chwilą słabszy. Naraz wyprostował się i rzucił psa z mojego miejsca. Zwierzę, ze zwieszającym się z pyska językiem, podreptało na drugą stronę wozu. Potem obcy zwolnił również moje ramię z uścisku.

— Proszę, nie chcę pana zatrzymywać. Niech pan wraca do swego ciemnego mieszkania. Strach pana i tak odnajdzie. Może pan zamknąć wszystkie drzwi. Zasłonić okna. Nie otwierać ich więcej. Nic nie pomoże. Strach jest w panu. Może pan uciec tylko w sen. Proszę brać środki nasenne, aby w snach zapomnieć o strachu. Niech pan śpi. Całymi nocami. Całymi dniami. Ale kiedyś musi się pan zbudzić. Kiedyś pańska ucieczka w sen musi się skończyć. I wtedy strach będzie pana oczekiwał. Będzie panu towarzyszył. Bardziej oddany niż najwierniejszy pies.

Tak jak zwinnie przedtem usiadł obok mnie, tak i teraz wstał i wysiadł z wozu.

Pies oddalił się.

Obcy poszedł za nim.

— Niech pan zaczeka — zawołałem.

Człowiek w skórzanej kurtce odwrócił się.

— Proszę? — Szedłem za nim, zdjąłem okulary przeciwsłoneczne i wytarłem łzy ściekające z oczu. — Nie boję się pana. — Właściwie powinienem był powiedzieć: „Wprawdzie boję się pana, ale pan mnie zaciekawia”.

Zaśmiał się.

Nie miał w ustach papierosa.

Pochylił się ku mnie, przysunął swoją twarz bardzo blisko do mojej. Chciałem włożyć z powrotem okulary. Przeszkodził mi w tym. Ujął mocno moją dłoń i rzeki: „Niech pan spojrzy mi prosto w oczy. Niech pan patrzy strachowi prosto w oczy. Niech pan mu się przeciwstawi. Niech pan stanie naprzeciw mnie”.

Patrzyłem w jasnobrązowe oczy sprawiające w świetle słońca wrażenie żółtych. Przez dłuższy czas trzymał mnie mocno. Znów zacząłem kichać.

Puścił mnie.

— I gdzie pański strach przede mną? — śmiał się.

Nawet teraz nie przyznałem się, że wzbudza we mnie lęk. Ale zdałem sobie sprawę, że onieśmienie, jakie odczuwałem, ustąpiło. Zdawało mi się teraz, jakbym znał go już od wielu lat. Tak długo jak emeryta i Reksa.

— Pan wypędził swój strach ze mnie. Proszę dalej! Niech pan wypędzi go również z kwiatów bzu. Proszę! Niech pan pójdzie ze mną!

— Dokąd?

— Do pańskiego strachu. Niech pan idzie.

Pies biegł już ulicą w górę. Po tylnych łapach wyrzucanych na boki poznałem, że był to pies rasowy. Chwilę się wahałem.

— No i co? — Obcy wyciągnął dłoń.

Poszedłem za nim.

Od czasu do czasu pies oglądał się.

— Dokąd właściwie idziemy?

— Za psem.

Ujrzałem idącą naprzeciw żonę sąsiada. Ukłoniłem się jej.

Patrzyła na mnie ze zdumieniem. Nigdy jeszcze nie widziała, abym chodził po ulicy piechotą. Z torby na zakupy wystawały szyjki butelek od piwa, piwo przeznaczone było dla jej męża. Przechodziliśmy obok domu emeryta. Okna były zamknięte, buda dla psa pusta. W ogrodzie przy innym domu jakiś człowiek przycinał róże. Szliśmy wciąż dalej. Przeszliśmy przez tor kolejowy. Mijaliśmy fabryki i zakłady handlowe, płoty, za którymi kwitły krzaki bzu. Czułem się fatalnie. Kichałem. Kaszlałem. Kilkakrotnie musiałem stawać w miejscu, aby wytrzeć nos i osuszyć oczy. Mój towarzysz czekał na mnie.

Dokąd właściwie szedłem z nieznajomym? I w jakim celu? Czego się spodziewałem? Wbrew zaleceniom lekarza szedłem przez rozległe łąki.

Zbliżaliśmy się do rzeki.

— Ze strachem jest tak samo jak ze śmiercią — przerwał wreszcie milczenie. — One są zawsze obok. Mamy je w sobie. Śmierć zjawia się wcześniej niż choroba, poprzez którą śmierć nas dręczy, aż w końcu zwycięża. I podobnie strach pojawia się wcześniej niż to, przez co go odczuwamy. Niż ja — znów zaczął się śmiać — i niż bez. I tak jak staramy się wygnać śmierć z naszego chorego ciała i zepchnąć ją głęboko do wewnątrz, tak samo musimy uczynić ze symbolami strachu, gdyż doznajemy strachu tylko wtedy, kiedy przeskakuje z nas na jakiegoś człowieka w skórzanej kurtce; na pyłek sypiący się z rozkwitających krzewów; na nasze sny. Strach śniony zastępuje nam strach rzeczywisty. Podobnie jak wysnione szczęście jest często szczęściem zastępczym w stosunku do rzeczywistego.

Pies puścił się biegiem. Zboczył z szerokiej jezdni i pędził teraz wzdłuż ścieżki między łąkami ku drzewom rosnącym nad brzegiem rzeki. Człowiek obok mnie znowu zamilkł. Wreszcie zatrzymał się w miejscu, gdzie ścieżka się rozgałęziała.

— Proszę iść naprzód. Nie zmieścimy się tu obok siebie.

— Dokąd?

— Niech pan idzie za psem. Nie zabłądzi pan. Proszę tylko uważać, żeby pański strach nie wyskoczył na drogę, uniemożliwiając panu w ten sposób jej przejście.

Pies zniknął między krzakami.

Odwrociłem się. Psa nie było.

— Proszę tylko iść dalej. Nie ma innej drogi.

W tej samej chwili usłyszałem szczekanie. Dochodziło to z prawej, to znów z lewej strony. Prawdopodobnie pies biegał tam i z powrotem między krzewami. Tylko dlaczego szczekał?

Przyspieszyłem kroku. Oczy piekły mnie coraz bardziej. Jama ustna, gardło i nos także paliły jak ogień. Przypuszczalnie gdzieś nad brzegiem rzeki rósł krzew bzu.

Zatrzymałem się. Łzy ciekące z oczu nie pozwalały mi dostrzec, wśród których krzaków zniknął pies. Zdawało mi się, że była to grupa wierzb. Kiedy podszedłem dostatecznie blisko, ujrzałem wąską ścieżkę wiodącą w gąszcz bzów.

— Czemu nie idzie pan dalej? — Mój przewodnik stanął tuż za mną odcinając mi drogę powrotną. Gdybym chciał uciekać, musiałbym biec na przelaj, przez gęste trawy, na szeroką szosę. Przez ułamek sekundy zastanawiałem się nawet nad tą możliwością, ale czułem się na to zbyt słaby.

— Czy nie widzi pan? — wskazałem na bujnie rozkwitającą gęstwinę.

— Proszę iść, proszę iść.

Kichając postawiłem ostatni krok. I już stałem przed krzakiem. Droga wijąc się licznymi zakrętami wiodła wśród krzewów w dół, ku rzece. Ujrzałem psa. Podskakiwał w górę, na

pnie. Że też krzewy bzów mogą mieć tak szerokie pnie? Przed niektórymi pies zatrzymywał się, opierał na nich z całych sił przednie łapy i szczekał. Z wahaniem szedłem w gęstwinę. Chciałem jak najszybciej dostać się do rzeki; zanurzyć spuchnięte dłonie w wodzie. Obmyć twarz. Zamoczyć chusteczkę i położyć ją sobie na twarzy.

— Nie tak prędko. Dlaczego nagle zaczyna pan biec?

— Chcę dojść do rzeki.

— Nie mamy czego szukać nad wodą. Pański strach ma źródło w kwiatach.

Przeraziłem się. Znowu poczułem jego dłoń na ramieniu; tym razem uścisk był jeszcze mocniejszy. Niemal bolesny.

— Niech mnie pan puści!

Ale człowiek stojący za mną nie ustąpił. Przeciwnie. Objął mnie wolnym ramieniem i odciągał z drogi w środek gęstwiny. Próbowałem się bronić. Czułem jednak, że nie będę w stanie oprzeć się sile przeciwnika.

— Niech mnie pan w tej chwili puści. Bo zacznę krzyczeć.

— Tu nikt pana nie usłyszy. Rzadko kto tutaj przychodzi.

Kim był ten człowiek? Nie znałem nawet jego nazwiska. Nie przedstawił mi się. Jak mogłem mu zaufać? Nie wiedziałem nawet jak się nazywa. Koniec końców musiał to być przestępca, który miał zamiar obrabować i zamordować mnie. Aby potem wrócić do mego wozu i odjechać nim; albo nawet włamać się do mego mieszkania i splądrować je. Sąsiadce nie wyda się to na pewno podejrzanę; przecież widziała mnie z nim na ulicy. Musiało to ją upewnić, że jesteśmy znajomymi. Niewykluczone, że dawno już ułożył sobie ten plan i obserwował mnie w tym celu tygodniami. Wiedział, że okna otwieram tylko nocą. A może jednak był emerytem? Emerytem będącym w rzeczywistości wyrafinowanym zbrodniarzem, który maskował się jako niewinny spacerowicz, aby łatwiej nawiązywać kontakty ze swymi przyszłymi ofiarami. I który dla realizacji zamierzeń posługiwał się psem należącym do kogoś innego. Jestem sam sobie winien, pomyślałem. Nie należy ufać nikomu obcemu.

Trzymał mnie wciąż w mocnym uścisku. Odsuwał mnie, to znów lekko unosił w górę, wciągając coraz głębiej w gąszcz. Od czasu do czasu z pewnej odległości słychać było psa.

— Niechże mnie pan puści, potrafię iść sam.

Puścił.

— Proszę zaczekać, pójdę przodem. — Zręcznie przemknął obok krzaku, którego pień rozwidłał się już u korzenia. Potem podał mi dłoń. Wiódł mnie coraz dalej w głąb nieprzebytej gęstwiny. W gałęziach coś szumiało i zawodziło, jak gdyby podnosił się nagle wiatr. Ale powietrze było nieruchome. Możliwe, że gęste zarośla powstrzymywały podmuch owego wiatru. Szliśmy już dłuższy czas. Znowu uległem ostremu atakowi kaszlu. Przed zażawionymi oczyma rozmazywało mi się wszystko w mgliste kontury. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś naszkicował gęste krzaki bzu na bibule, albo jakby, jadąc lasem podczas ulewnego deszczu, oglądało się drzewa przez szybę samochodu nie przetartą wycieraczką. Nie potrafiłem się zorientować, dokąd mnie prowadził.

— Nie mogę iść dalej. — Moje opuchnięte nogi. Buty boleśnie je uciskały.

— Jeszcze tylko parę kroków. — Jego głos brzmiał spokojnie. Prawie uspokajająco. Żaden zbrodniarz nie mówi tak do swej ofiary.

Uchwyt dłoni obcego stawał się pewniejszy, ale nie był już tak bolesny jak przedtem.

Tu i ówdzie pnie, obok których się przeciskaliśmy, zdawały się niezwykle szerokie. Jak pnie dębów lub buków. Nie widziałem jeszcze nigdy krzewów bzu o tak wielkich pniach. Niewykluczone, że obolałe oczy wprowadzały mnie w błąd. Albo znajdowaliśmy się wśród drzew innego rodzaju. Ale kiedy patrzyłem na niskie korony krzewów, wydawało mi się jednak, że dostrzegam blade płatki kwitnącego bzu.

— Tu możemy się zatrzymać. — Człowiek przede mną stanął, spojrzał w górę na pnie i skinął głową.

— Co dalej?

Pies, który — nie wiadomo kiedy — znalazł się przy nas, wspiął się jednym susem na mnie, opierając znowu mocno przednie łapy na moich nogach. Zatrzymałem się.

Ten pies trzymał coś zwisającego w pysku. Co to było? Coś podłużnego, łamliwego, wyschniętego. Czy zasuszony wąż? Albo spróchniały kij?

Człowiek, który znajdował się przede mną, zauważył także ową brudną taśmę między zębami psa. Szybko wyrwał mu ją z pyska, uniósł w górę i wyrzucił. Powiedział coś, czego nie rozumiałem. Był rozgniewany.

— Jak się pan czuje? — zapytał znienacka.

— Tak źle, jak jeszcze nigdy. Boję się, że padnę ze zmęczenia. Mam wrażenie, jakby całe moje ciało było opuchnięte.

— Nie ma strachu. Nie upadnie pan. Nie, nie, tu nikt nie pada. — Z kieszeni skórzanej kurtki wyjął smycz.

Dlaczego właśnie tu chciał wziąć psa na smycz? Czy obawiał się, że może znowu przywlec jakąś padlinę, czy inne podobne świństwo?

Uniósł wysoko smycz. Była to długa, ciemnobrazowa, skórzana linka, spleciona jak warkocz z kilku pasków. Powoli przeciągnął dłonią od błyszczącej sprzączki aż do węzła uchwytu.

Co to miało znaczyć? Wyczerpywało mnie to ustawiczne oscylowanie między zaufaniem do nieznanego a śmiertelną trwogą przed nim. Jakie były jego zamiary? Znowu zaszedł mnie od tyłu. Zręcznie prześliznął się między mną a krzewami. Zostałem znów zamknięty między nim a psem. Czyżby zwierzę było specjalnie tresowane do pilnowania ofiar bez zadawania im ran? Nie mogłem się już wymknąć, nawet gdybym tego chciał. Stał za mną w milczeniu i bez ruchu, przede mną pies. Z prawej i z lewej strony grube pnie.

— Co robimy tutaj?

Milczał.

Pies dyszał. Obserwował mnie z uwagą.

Nagle zaczął głośno szczekać.

W tej samej chwili obcy wykręcił mi ramiona do tyłu tak szybko i tak mocno, że nie miałem czasu nawet pomyśleć o oporze. Związał mi ręce na plecach jakimś rzemieniem, prawdopodobnie ową smyczą.

— Niech się pan odwróci w lewo — rozkazał. Pies odbiegł ode mnie i znów kręcił się szczekając naokoło krzewów.

Odwróciłem się w lewą stronę. Zastanowił mnie raz jeszcze przyjazny spokój, z jakim obcy zwracał się do mnie, co stanowiło zupełne przeciwieństwo jego zachowania.

— Boli pana? — zapytał.

— Trochę. — Dlaczego byłem tak opanowany? Dlaczego się nie broniłem? Dlaczego godziłem się, aby stać w ten sposób w nieprzebytej gęstwinie, przywiązany smyczą do krzaku bzu?

Obcy rozluźnił linkę.

— Czy teraz lepiej?

— Tak.

Wyczuwałem spękaną powierzchnię kory bzu na swoich dłoniach.

— Czuje pan, jak sucho?

Nie rozumiałem, co miał na myśli.

— Niech mnie pan odwiąże, chcę stąd odejść.

Zachowywał się tak, jakby nie słyszał moich słów. Stał przede mną i mierzył mnie wzrokiem, potrząsnął lekko moimi ramionami, pochylił się do przodu, szukał czegoś na ziemi, potem oddalił się i wkrótce znowu wrócił, trzymając w dłoni zmurszały sznur, przywleczony poprzednio przez psa. Jeszcze jedna smycz, ale zniszczona, wyschnięta i popękana.

Okręcił ją dokoła moich pleców i przywiązał również do pnia krzaku.

— To po to, aby mógł pan sobie wypocząć.

— Ale ja nie chcę tutaj wypoczywać — zawołałem tak głośno, jak mi na to pozwalały zaognione drogi oddechowe. Jak tylko wrócę do domu, złożę przeciw niemu doniesienie. On igrał z moim życiem. Czy zdawał sobie sprawę, że grozi mi śmierć na atak astmy, który w tym otoczeniu mógł niedługo nastąpić? Ale on zlekceważył wszystko, co wykrzyczałem z największym wysiłkiem. Z kamiennym wyrazem twarzy ujął mnie za ramiona i począł nimi mocno potrząsać.

Pies nadbiegi znowu i obskakiwał nas szczekając. Tysiące małych płatków bzu osypywało nas ciemnobiałym pyłem.

— Nie! — byłem zrozpaczony. — Niech pan posłucha. — Próbowałem kurczowymi ruchami wyswobodzić się z uchwytu. Lecz im bardziej się broniłem, tym mocniej czułem się przytwierdzony do drzewa i tym więcej sypało się małych gwiazdzistych płatków. Pokrywały skórę psa, widziałem je na czapce człowieka, który wciąż nie zdejmował dłoni z moich pleców, wyczuwałem także na mojej głowie, na karku ów delikatny, spływający z krzewów pył i wdzierający się również głęboko do wewnątrz. Starłem się brutalnie odepchnąć dłonie obcego od mego ciała. Z determinacją szarpałem smycz. Obok rozlegał się chrzęst liści. Przy jednym z bardziej gwałtownych ruchów głowy obluzowały mi się okulary przeciwsłoneczne. Natychmiast przechyliłem głowę wstecz do tego stopnia, że tyłem czaszki uderzyłem o pień. Na próżno. Okulary upadły na ziemię. Już prawie nic nie widziałem. Szarpałem dalej linkę, już z zamkniętymi oczyma.

— Niech pan szarpie! Niech Pan ciągnie! Proszę to szarpać! Proszę to zerwać ze siebie, tak aby strach, który w panu rośnie, odpadł na ziemię i usechł. Jak płatki bzu. — Nie słyszałem już szczekania psa. Ponieważ miałem oczy zamknięte, nie wiedziałem, czy znajdował się tu jeszcze, czy znowu pobiegł dalej.

Ale obcy wciąż tu był. Wiedziałem o tym. Nawet jeżeli w tej chwili milczał. Słyszałem jego oddech gdzieś u moich stóp, widocznie się pochylił. Czego szukał? Ostrożnie próbowałem otworzyć oczy. Były zaklejone łzami. Pieczenie w powiekach sprawiało ból. Byłem niemal ślepy. Walka z obcym wyczerpała mnie. Przechyliłem głowę do tyłu, tym razem z całą ostrożnością, aby nie uderzyć raz jeszcze o szorstki pień. Chciałem trochę odpocząć. Zebrać siły. Przemyśleć wszystko. Co miałem robić? Ten u moich stóp dyszał ze zmęczenia. Po jakimś czasie zorientowałem się, że się podnosi. Gryzący zapach bzu kłuł mnie w nos. Piekący ból wdierał się głęboko do wnętrza płuc.

Starłem się złapać oddech. Prostowałem się i miotałem coraz bardziej w więzach. Obcy uchwycił mnie za kark i podsuwał mi kwiaty bzu pod sam nos. Otwierałem usta i łapałem powietrze. W tej samej chwili obcy wepchnął mi bukiet zwiędłych kwiatów bzu w jamę ustną. Zacząłem wypluwać, wydmuchiwać, wydychać, broniłem się, jak mogłem.

— Niech pan wdycha, niech pan połyka, niech się pan nie broni. Niech pan wciągnie głęboko w siebie swój strach. Jak najgłębiej, na sam spód, tam, gdzie kryje się śmierć.

Mówi o śmierci — pomyślałem. To szalenciec, który chce mnie udusić. Sadysta, który postanowił dręczyć mnie tak długo, aż mnie zabije. Jego próba duszenia za pośrednictwem kwiatów bzu wyzwoliła ostatek moich sił. Rozmyślałem gorączkowo. Nie było wątpliwości, stałem się ofiarą szaleńca. I wszystkie próby obrony nie miały sensu. Może nawet desperacki opór podniecał go tym bardziej do wymyślania coraz to nowych tortur. Kto wie, czy nie byłoby lepiej robić, co on zechce. Być może złagodziłoby to jego żądzę agresji. A może powinienem udać omdlenie. Albo też czynić jedno i drugie?

Przede wszystkim zachowałem się tak, jakbym się zdecydował na połykanie. Usta miałem puste. Wyplułem już wszystkie kwiaty bzu, ale jeszcze udawałem, że przeżuвам i połykam.

— Mocno przełykać — powtarzałem.

— Oddychać głęboko. Głęboko wdychać. Wciągać. — W jego głosie słychać było zadowolenie. Oddychałem głęboko. Jeden oddech więcej, jeden mniej, to nie miało znaczenia. Mój stan nie mógł się już pogorszyć.

— Głęboko oddychać. — Kaszlałem. Kaszleć wciąż, pomyślałem. Kaszleć nieustannie, postępować tak, jakbym miał się zakaszleć na śmierć. Może ogarnie go lęk. Da mi spokój. Odejdzie. Tylko pozbyć się go. Jego i psa.

— Oddychać głęboko — słyszałem głos. — Oddychać głęboko, pięknie przełykać. Tylko pięknie przełykać.

Ale ja kaszlałem. Udawałem groźny atak astmy. Rozpaczliwie starałem się wdychać powietrze. Mimo bólu rozwarłem szeroko oczy, przewracałem nimi, wstrzymywałem oddech tak długo, aż czułem, że wychodzą mi z orbit, wyciągnąłem język, głośno rzeziłem, stwierdziłem z zadowoleniem, że łzy ciekną mi po policzkach, oblewał mnie pot, zebrałem w ustach ślinę i pozwoliłem jej ściekać po wargach i podbródku. Potem udałem omdlenie. Przypomniałem sobie dolegliwości, jakie wystąpiły u mnie kiedyś w ogrodzie na widok ropuchy, owo niepokojące uczucie osłabienia, świadomość, że nogi stają się nagle miękkie, kolana ugięły mi się do przykłąku, zdecydowałem się na upadek w przód, pomiędzy krępujące mnie linki, nie zwracając uwagi na to, że mogę sobie zwichnąć ręce albo złamać obojczyk.

Nie złamałem sobie niczego ani niczego nie zwichnąłem. Obie linki trzymały mnie przy pniu, dając jednak tyle luzu, że mogłem nawet pozycję, w której zawisłem, określić jako wygodną. Nie ośmieliłem się poruszyć. Pełen napięcia nadśluchiwałem. Jak postąpi teraz mój przeciwnik?

Pies pojawił się znowu. Obwąchiwał moje nogi. Czułem jego gorący oddech. Od czasu do czasu trzaskała gałąź, na którą następował mój prześladowca. Był wciąż obok mnie. Czego chciał teraz ode mnie? Czyż nie widział, że jestem u kresu sił? Nie musiałem już udawać wyczerpania. W istocie szelest krzewów, na który zwróciłem uwagę już poprzednio, dochodził do mnie coraz słabiej, trzask gałązek pod butami obcego dobiegał z coraz większej odległości, tak że nie wiedziałem, czy to ja oddalam się wciąż i zapadam w głębokie omdlenie, czy on odchodzi ode mnie coraz dalej w gęstwinię. Po jakimś czasie nastąpiła całkowita cisza.

Nie czułem już także oddechu psa.

Czyżbym był nieprzytomny? Nie, nie, gdyby tak się stało, nie byłbym zdolny do postawienia sobie takiego pytania. A może człowiek w skórzanej kurtce znajdował się tu jeszcze? Stał przede mną? Nie poruszając się. Nie następując już na gałęzi, nie powodując więcej trzasków zdradzających jego obecność. Wymyślał jakieś nowe udręki. Czekał tylko, abym trochę odpoczął. Nie dawało mu widocznie dostatecznego zadowolenia znęcanie się nad zemdlonym. Lub nad umierającym. Nadśluchiwałem. Było wciąż cicho. Zupełnie cicho.

Czy odszedł?

A może ogłuchłem? Ze strachu? Lub może niczego nie słyszałem, nie widziałem ani nie czułem, tak samo jak w owych króciutkich chwilach po przebudzeniu. Może spałem i oto teraz obudziłem się. Śniłem. Wszystko było tylko snem. Sąsiad zacznie zaraz wymiotować. I wkrótce pocznę woń kawy, którą on pije potem na śniadanie. Ale nie, przecież czułem, jak pieką mnie oczy. Czułem klucie w płucach. Czułem przyspieszone tętno pulsu w tych miejscach, w których smycze wpijały mi się w ciało. To nie był sen. Moje nieszczęście było nieszczęściem rzeczywistym. Tęskniłem do owych bezbolesnych sekund po przebudzeniu. Nie słyszałem i nie widziałem niczego. Być może także reszta moich zmysłów przestanie wkrótce doznawać wrażeń i cierpienia ustana. Ustanie ból, ustanie strach. Nadzieja była płonna. Strach i cierpienia nie opuściły mnie. Wciąż jeszcze nie potrafiłem się zdecydować na najmniejsze poruszenie! Wisiałem na swoich smyczach. Jak chętnie zmieniłbym położenie. Choć trochę. Przesunąć ciężar ciała. Przechylić się do tyłu i wypocząć, oparty o pień, w który przedtem uderzyłem tyłem głowy.

Znów usłyszałem szelest gałęzi. Ten szelest rozlegał się, chociaż nie było wiatru. Naj-

lżejszy powiew nie muskał moich policzków mokrych od łez. Skąd dolatywał ów szelest? Czy był to oddech psa? A może tylko pulsowanie szumiącej krwi w uszach? Koncentrowałem uwagę na ziemi wokół siebie. Czy znowu rozległ się trzask? Nie. Wciąż tylko ów szelest.

W końcu będzie się musiał poruszyć i stanąć przede mną. Kiedyś zdecyduje się uczynić krok w moją stronę, aby na mnie spojrzeć. Aby zobaczyć, czy jeszcze żyję. Czy znów przyszedłem do siebie. W końcu pies będzie musiał znowu zaszczekać. Skądś, z zarośli. Przynieść w pysku jeszcze jedną starą smycz, przy pomocy której obcy zechce mi może skrępować szyję?

Nic. Słyszałem tylko szelest krzewów. Poza tym nic. Byłem pewien, że on chce uspić moją czujność. Pragnie mnie sprowokować do jakiegoś poruszenia, aby wtedy od nowa rzucić się na mnie. Nie ruszać się. Tylko się nie ruszać. Linki krępowwały mi ręce i dłonie tamując obieg krwi. Spazmatyczne bóle przeplatały się z absolutnym brakiem wrażliwości. Jak długo już znajdowałem się w pozycji półprzysiadu? Nie można zbyt długo przerywać naturalnego krwioobiegu. Ręce mogłyby stać się bezwładne. Nie potrafiłbym już nigdy ruszać dłońmi. Trzeba by je amputować. Nie myśleć o tym więcej. Jeżeli chcę wytrwać w tym stanie bezczucia, nie wolno mi się nad niczym zastanawiać. Myśli niepokoiły mnie. A niepokój myśli gotów nieopatrznie przedzierzgnąć się w nieprzemyślany ruch ciała. Jakaś gwałtowna myśl, i już mógłbym stracić panowanie nad sobą. Wyprostować się. Znów szarpać linki. Nie, tylko nie myśleć, nie odczuwać. Powinno się ów przyjemny stań, kiedy już się nie śpi, ale jeszcze nie cierpi, starać osiągnąć nie tylko przez pograżanie się w bezbolesnym śnie, ale także w odwrotnym kierunku. Zanurzając się w cierpieniach, których doświadczałem. Bóle w łopatkach i w nadgarstkach. Skurcze i tępe rwanie w dłoniach. Kłucie w płucach, w nosie i w oczach. Nie patrzeć. Nie słuchać. Zamknąć uszy i oczy. Wyeliminować ze słyszenia ów ciągły szelest, podobnie jak z pola widzenia udało mi się wyłączyć jaskrawe światło. Zachować wolność. Wolność od wszystkiego, co mnie uciskało. Wyswobodzić się na oczach mego strażnika. Wnieść się — w więzach — ku ukwieconym wierzchołkom krzewów, a nawet jeszcze wyżej, w górę, ponad nie. Oddalić się. Ku różom, które widziałem rozkwitające tego ranka.

Szelest nie ustawał. Ani bóle. Przeciwnie. Szelest kołyszących się krzaków stawał się wyraźniejszy. Gdzie było źródło wichury?

Wichury, która wprawiała krzaki w ruch? A może ten szum był szumem rzeki? Latem owa rzeka zawierała niewiele wody. Szumiała tylko podczas powodzi. Tym razem szum zbliżał się coraz bardziej. Był już nade mną. Tak głośny, że — gdyby źródłem jego była wichura — pień drzewa, do którego byłem przywiązany, musiałby się ugiąć.

Ale on stał nieporuszony.

Uniosłem głowę. Wyprostowałem się na tyle, na ile to było możliwe, i otworzyłem rozbitość oczu. Zobaczyłem nad sobą nieruchomy wierzchołek krzewu.

Uczyliłem ruch. W ten sposób się zdradziłem. Obcy. Pies. Miejsce, gdzie spodziewałem się go teraz ujrzeć, było puste. Stratowana trawa. Moje okulary słoneczne.

Słońce stało prostopadle nad krzakami. Jego promienie tylko w niewielu miejscach przedzierały się przez gęstwinę i pstrzyły czarne cienie liści jasnymi plamami i smugami.

Rozglądałem się za psem. Zniknął podobnie jak jego pan.

Ale co to? Na prawo ode mnie, przy pniu, na którym właśnie leżała plama światła, znajdował się ktoś. Nie był to ten, który mnie tu przywiódł. Raczej ktoś taki jak ja. Czy i on był przywiązany? Mogłem widzieć tylko z największym trudem. Od chwili ponownego uniesienia powiek oczy łzawiły mi jeszcze silniej. Plama świetlna na owej postaci prawie mnie oślepiła, ale ujrzałem ją dokładnie: związany; bardzo dokładnie. Widziałem ciemną linkę okręconą wokół jego dłoni i wokół pnia, a także wokół jego pleców. Stał oparty o pień. Bez ruchu.

— Hej! Panie!

Powoli odwrócił głowę. Ujrzałem jego twarz. Pomarszczona, wyschnięta jak maska

mumii. Spojrzenie było puste. Nie odpowiadał.

— Panie! Jak długo pan się tu znajduje?

Znów żadnej odpowiedzi.

Zwrócony w moją stronę, stał nieruchomo. Milczał. Nie reagował na żadne z moich pytań.

Czy to również ofiara szaleńca? Czemu nic nie mówił? Czemu nie próbował się wyswobodzić?

— Czy pan mnie w ogóle słyszy?

Poruszył głowę. Tak jakby chciał mi na coś zwrócić uwagę. Na coś, co znajdowało się w jego bliskości, co otaczało nas obu, a jemu być może przeszkadzało w mówieniu.

Z napięciem wpatrywałem się w gąszcz.

Tu, tu. I tu. Raz, dwa, trzy, w którą stronę tylko spojrzałem, wszędzie, prawie przy wszystkich pniach widziałem ludzkie postacie. Skrępowane i unieruchomione. Teraz rozumiałem, dlaczego pnie krzaków wydawały się tak szerokie. Nie były one szersze niż u innych krzewów bzu, ale wydawały się takie, bo przywiązani do nich byli ludzie. Powoli martwiały tu wcześniejsze ofiary mojego niesamowitego przewodnika, których nie zauważyłem dotąd na skutek łzawienia oczu.

Jak to się stało, że widziałem ich teraz? Jednego. Dwóch. Trzech. Czterech. Pięciu. O każdy niemal pień opierał się jeden człowiek. Spoglądał obojętnie w próżnię. Ale skoro ich wszystkich zobaczyłem, oznaczało to, że widzę lepiej niż poprzednio.

Analizowałem stan swoich dolegliwości. Wciąż jeszcze ciężko oddychałem, ale nie łapałem już tak kurczowo powietrza. Nie słychać było już rżenia w płucach, również kaszel uspokajał się. Od dłuższego czasu nie kichałem. Co prawda linki, którymi byłem przywiązany, sprawiały mi jeszcze ból. Ale nie był on w żadnym wypadku nie do zniesienia. Nie byłem głodny ani nie odczuwałem pragnienia. Opanowała mnie wyniosła obojętność. Ani śladu poprzedniego niepokoju, ani śladu dawnego wyczerpania. To samo zobojętnienie zdawało się również ogarniać wszystko, co znajdowało się dokoła. Od czasu do czasu któraś z owych postaci spoglądała przelotnie na mnie, ale zaraz odwracała głowę. Większość stała wyprostowana jak na posterunku. Dobrowolnym; na którym stałyby one bez ruchu, nawet gdyby nie były skrępowane.

Te twarze. Zasuszone, bez wyrazu. Pozbawione radości i smutku. Śladów szczęścia czy też nieszczęścia doznawanego pośród tych krzaków.

Jak oni spali? Nie można spać na stojąco. Nie mogli przecież spać, aby nie musieć się budzić. Drzemali. Nigdy nie śnili. Nigdy nie myśleli. Być może ich spokój przypominał mój stan krótkotrwałego ukojenia po przebudzeniu. Ukojenia, którego nie zakłócał ani żaden chory sąsiad, ani woń świeżo zaparzonej kawy na śniadanie.

Lub może przywykli już do swoich cierpień. Podobnych do moich. Poddawali się im. Nie bronili się, stawali się coraz słabsi, aż usychali w swoich więzach, które z czasem opadały z nich przegniłe i osuwały się na ziemię. Stamtąd podnosił je pies zanosząc swemu panu. Milczeli. Nie mieli nic do powiedzenia. Cóż mogło się tak beznadziejnie cierpiącym wydać godnym przekazu?

Ale ja chciałem mówić.

— Gdzie jestem?—zawołałem w gęstwinę.

Znów to samo. Niektórzy spojrzeli w moją stronę. Inni nie poruszyli się. Nikt się nie odezwał. Słyszałem tylko poszum. Czy moje słowa rozplynęły się w nim? Stały się przez to niezrozumiałe? Czy obcy wytwarzał sztucznie ów poszum za pomocą jakiejś ogromnej maszyny wiatrów, którą gdzieś w pobliżu ustawił, lub za pomocą głośnika? Czy w ten sposób chciał przeszkodzić wzajemnemu porozumiewaniu się swych ofiar? Czy chciał, aby każde słowo, wszystkie osobiste skargi i życzenia zagłuszane były przez ów poszum?

Oddychało mi się lżej. Widziałem z całą ostrością. Nawet postacie przywiązane do

najbardziej odległych pni. Ta nagła poprawa mojego stanu zaniepokoiła mnie. Zacząłem się obawiać, aby mój zamiar wydobywania się z tego miejsca nie uległ osłabieniu. Co będzie, jeśli objawy choroby znikną zupełnie? Jeżeli podrażnienie błony śluzowej nosa i ust ustąpi, a opuchlizna dłoni skłębnie? Krótko mówiąc — jeżeli wyzdrowieję? Czy wówczas, w końcu, nie zapragnę tu pozostać? Przyjąć postawy wyprostowanej? Nie odzywać się więcej? Czy tak miało wyglądać zdrowie i czy ci obok mnie byli ozdrowieńcami? Zapytywałem siebie, czy w gruncie rzeczy zależy mi jeszcze na wydostaniu się z tej gęstwiny. Tak, pragnąłem tego. Ale zdawałem sobie sprawę, że to pragnienie może trwać niedługo. Czułem, że ów powszechny stan beztróskiego zadowolenia może wkrótce opanować także i mnie.

Musiałem się stąd wyrwać. Szarpałem linki tak mocno, jak tylko mogłem. Ale im silniej je rwałem, tym głębiej wrzynały mi się w plecy i nadgarstki, tym szczelniej zadzierzgiwały się ich supły. Nie, tak dalej być nie mogło. Oddychałem głęboko. Ale nie sprawiało mi to bólu; Górna część linki była przetarta. Widocznie odpadła od ciała kogoś z poprzednio związanych. Stał on teraz nie skrępowany obok swojego pnia lub przewrócił się, całkowicie wyschnięty. Może zresztą oddalił się stąd. Tak długo szarpał smycz, aż ją rozerwał. Tak jak ja chciałem uczynić. Ta moja zwietrzała smycz na pewno dałaby się rozerwać. Przycisnąłem się do pnia krzaka tak szczelnie jak tylko to było możliwe. Aż wreszcie poczułem, że słaba linka staje się luźniejsza. Ostrożnie, za pomocą ruchów ciała w górę i w dół wzdłuż pnia, próbowałem się z niej wysunąć. Miałem nadzieję, że szorstka kora przetnie w końcu linkę. Chciałem uwolnić się za wszelką cenę, choćby to miało trwać cały dzień i całą noc. Dlaczego żaden z nich nie naśladował mnie?

Niektórzy patrzyli na mnie. Obserwowali. Po czym odwracali wzrok.

Czy nikt nie chce się stąd wydostać?

Tylko szum.

Jasne plamy wśród szachownicy cieni stawały się coraz dłuższe. Słońce zaczynało się chyba obniżać. I wtedy górne sploty linki pękły. Teraz ruchy stały się łatwiejsze. Mogłem się obracać. Tak długo, aż wreszcie dłonie przestały dotykać krzaka bzu. Jeszcze tylko druga linka, krępująca dłonie. Ją także pocierałem o korę pniaka. Niezbyt gwałtownie, raczej wolno. Od czasu do czasu musiałem odpoczywać, ale byłem już pewien, że moje wysiłki zostaną uwieńczone powodzeniem.

Wreszcie rozerwałem i tę linkę.

Słońce stało już bardzo nisko, świecąc jasno poprzez gąszcz związanych postaci.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie powinienem zaczekać do nadejścia ciemności, aby się potem wymknąć. Co będzie, jeżeli związani zaczną krzyczeć? Tak głośno, że zwrócą uwagę człowieka w skórzanej kurtce? Albo jego psa? Nie chciałem czekać tak długo. Moja radość z powodu oswobodzenia się była zastanawiająco nikła. A do wieczora mogła ustąpić całkowicie. Ucieczka z gęstwiny mogłaby mi wtedy wydać się zbędna. Oglądałem dłonie. Opuchlizna zniknęła. Tylko czerwone znaki w tych miejscach, w które wpijała się smycz. Bezwład i bóle cofały się. Mogłem znowu poruszać dłońmi. Podniosłem okulary przeciwsłoneczne i odszedłem od pnia. Dokąd iść? Czy w dół ku rzece? Posuwać się wzdłuż brzegu do miejsca, w którym kończą się krzewy bzu? Obawiałem się, że tymczasem mogą zapaść ciemności i w jakimś wąskim miejscu wpadnę w wodę.

Nie, nie w stronę rzeki. Kto wie, jak daleko ciągnie się gęstwina. I jak długo musiałbym iść, nim wyszedłbym na jakąś ulicę i spotkał kogoś, kto by mi wskazał najkrótszą drogę ku miastu.

Jakiś czas przeciskałem się między krzewami w głąb gęstwiny. W tę stronę, z której przyszedłem. Starąłem się nie dotknąć żadnego ze związanych. Nikt z nich nie zwracał na mnie uwagi. Gałęzie, które odchylałem na bok, odskakując z błyskawiczną szybkością, były mi twarz jak biczem. Przeceniałem moje dobre samopoczucie. Męcząca droga przez krzaki wyczerpała mnie. Należało rozważniej gospodarować siłami. Nie chciałem ani jednego kroku

zrobić za dużo. Powinienem być zapytać związanych, obok których przemykałem się z takim trudem. Oni musieli wiedzieć, z której strony zjawiają się zawsze pan i pies. I w której stronie potem obaj znikali. Gdzie była wąska ścieżka, którą przyszedłem?

Słońce zachodziło.

Zwróciłem się do jednego obok mnie. Podszedłem doń bardzo blisko. Widziałem jego twarz, pomarszczoną skórę; spękaną i wysuszoną jak powierzchnia pnia bzu. Widziałem cieniutkie ucho. Nieomal dotykałem go mówiąc: „Proszę wybaczyć, gdzie jest wyjście z tego lasu? Chciałbym dostać się na wąską drogę, która prowadzi przez wielką łąkę na ulicę. Nie zna pan tej drogi?”

Ten związany obok mnie musiał to słyszeć. Ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Postać patrzyła bez słowa w dół, ku rzece. Stąd poprzez gałęzie widać było łagodnie pofalowaną, wolno płynącą wodę.

Zostawiłem go; potykając się postąpiłem kilka kroków dalej. Zbliżyłem się do następnego. Przeprosiłem go. Znów zapytałem o drogę. Ale i tym razem bez skutku.

Kolejno wypytywałem innych. Wciąż bez odpowiedzi.

Przy jednym zatrzymałem się dłużej. Spróbowałem przed postawieniem pytania wdać się z nim w rozmowę: „Czy chorował pan także na alergię? Czy pański stan poprawił się tutaj?” — Na próżno. Gęstwina, w której błądziłem, wydawała mi się coraz bardziej obca. Co chwila wynurzały się przede mną grupki krzewów, których nie mogłem rozpoznać. Obok których nigdy nie przechodziłem.

Czy był to bez? Nałożyłem z powrotem okulary przeciwsłoneczne. Ale potem je zdjąłem. Było już ciemno. Uważnie oglądałem kiście. Bez wątplenia był to bez. Czy ci przy nim również, tak jak ja, cierpieli z jego powodu?

Czy też każdy z tych, obok których przechodziłem, przywiązany był do pniaka innego rodzaju? Do innego rodzaju strachu, który tylko mnie objawiał się jako bez? Może innym wydawało się, że obskoczyły ich wściekłe psy, obrosły trujące kwiaty, może wydawało im się, że znęcają się nad nimi ludzie, których się boją. I nie rozumieli mojego pytania o drogę. Nie widzieli żadnej gęstwiny. Widzieli tylko tych, których osaczały psy; którzy wdychali zapach trujących kwiatów; których dręczyli wrogowie.

Jakaś gałąź uderzyła mnie w plecy.

Zmęczenie rośnie. Powoli stawało się coraz ciemniej. Zastanawiałem się, czy nie położyć się pod jednym z nielicznych krzaków, do którego nikt nie był jeszcze przywiązany, i czy nie ułożyć się do snu.

Nie, tylko nie zasypiać. Z pewnością każdy chciał kiedyś wydostać się stąd. Tak jak ja. Lecz ogarnęło ich, jak i mnie, zmęczenie. Położyli się w ten sposób, jak ja teraz chciałem uczynić. I wtedy odnalazł ich pies. I człowiek w skórzanej kurtce. Uwiązał ich znowu i ze mną gotów raz jeszcze uczynić tak samo.

Musiałem ruszyć dalej. W gęstwinie noc zapadała szybciej. Łamałem gałęzie, aby sobie utorować drogę, wpadałem na przywiązanych, usprawiedliwiałem się gorączkowo.

Nareszcie. Czy nie była to owa wąska ścieżka, prowadząca licznymi serpentynami w dół, ku rzece? Schodziłem nią spieszenie.

W czamozielonych zaroślach błękitny wykrój. Bezchmurne niebo wieczorne nad wysoką trawą łąki.

Zatrzymałem się. Odetchnąłem głęboko.

Kichnąłem z całej siły. Kilkakrotnie.

Tylko szybko oddalić się od bzów, pomyślałem. Atak, który nastąpił, nie był zbyt mocny. Dolegliwości ustępowały zawsze pod wieczór. Wkrótce znajdę się na szosie. Rozpознаwałem zarysy fabryk.

Choć poza obrębem gęstwiny było jeszcze jasno, samochody ciężarowe wracające do baz włączyły już reflektory. Doszedłem do przystanku i czekałem na autobus. Zapalały się

światła latarni ulicznych. Jak zawsze oślepił mnie jaskrawy blask neonowych lamp. Nałożyłem okulary. W autobusie zacząłem znowu odczuwać ukłucia w nosie i w ustach. Również dłonie zaczęły puchnąć. Wsiadłem na górnym końcu mojej ulicy, obok domu emeryta. W mieszkaniu obłożyłem twarz i ręce mokrym ręcznikiem.

Następnego ranka obudził mnie znowu sąsiad. Przypomniałem sobie swoją chorobę. I nieznajomego. Rozchodził się nieprzyjemny zapach kawy.

Wziąłem zimny tusz; pomyślałem o nadchodzących dniach zimy; o moich nerkach; o rzece w gęstwinie.

Nałożyłem okulary przeciwsłoneczne. Połknąłem pigułki. Jedną z kofeiną. Czułem się marnie jak każdego ranka. Pomyślałem o kortyzonie, o ropuchach i o swoim ciśnieniu.

Kiedy wyszedłem na ulicę, oślepiło mnie słońce. Pospieszyłem do samochodu. Chciałem otworzyć drzwiczki i wtedy zauważyłem, że poprzedniego dnia zapomniałem je zamknąć.

Dopiero po kilku dniach, gdy pewnego razu emeryt z Reksem schodził w dół ulicy, przypomniałem sobie, że pies obcego skrobał pazurami w drzwiczki mego samochodu. Szukałem śladów zadrapań. Ale lakier był nie uszkodzony. Od tego czasu nie myślałem więcej o obcym.

Tylko raz w zimie. Pewnego wieczoru udałem się do naszej Łoży. Wtedy usłyszałem ujadanie psa. W wysokiej klatce schodowej starej willi rozlegało się echo.

— Szybko, jesteście ostatni! — powiedział jeden z braci.

Przystąpiliśmy wkrótce do dzieła. Obchodzono uroczystości żałobne.

Właśnie główny mistrz oraz obaj ochmistrzowie złożyli róże na czole, na sercu i u stóp nieboszczyka. Jeszcze stali nad otwartą trumną.

Wówczas usłyszałem dzwonienie. Gwałtowne. Nie były to zwykłe znaki sygnalizujące zbyt późno nadchodzących braci.

Dzwonki wzbudziły czujność strażnika świątyni. Podniósł się z miejsca, ujął swoją łaskę i wyszedł.

Nasze zebranie trwało nadal.

Ale ja nie potrafiłem się skupić. Czekałem na powrót strażnika świątyni. Może jednak ukaże się wraz z jednym ze spóźnionych braci, który spiesząc się dzwonił zbyt gwałtownie. Dopiero po dłuższym czasie ujrzałem zażywną sylwetkę strażnika, wyłaniającą się spośród ciężkich aksamitnych kotar zawieszonych u wejścia do świątyni. Był sam. Nie wszedł do środka, lecz pozostał na progu. Rozglądał się niespokojnie. Zdawało się, że szuka kogoś wśród obecnych. Wreszcie mnie spostrzegł. Wpił we mnie spojrzenie wypukłych źrenic, po czym kilkakrotnie znacząco skinął głową.

Zrozumiałem. Przywoływał mnie. Sekretarz odczytywał właśnie monotonnym głosem nie kończące się okólniki Wielkiej Łoży.

Wstałem i minąwszy trumnę wyszedłem.

— Wybacz — rzekł strażnik — czy numer twojego samochodu zaczyna się od cyfry 7 i czy kolor wozu jest żółty?

— Tak, a o co chodzi?

— Musisz go zaraz odstawić. Zaparkowałeś w miejscu wyjazdu.

— W miejscu wyjazdu? Takiego tam przecież nie ma? Zaparkowałem samochód na skraju małego parku, między willą a brzegiem rzeki. Przed dwoma drzewami, które stały przy wąskiej drodze.

— Nic nie mogę poradzić — obstawał strażnik przy swoim.— Właścicielka domu czeka na zewnątrz. Musisz odjechać.

Odłożyłem fartuch oraz łańcuch, zdjąłem białe rękawiczki, z kieszeni płaszcza wyjąłem kluczyki od samochodu i wybiegłem. Na klatce schodowej stanąłem przed gospodynią. Trzymała krótko na smyczy psa, który szczekając wyrywał się, chcąc się na mnie rzucić.

— Bardzo mi przykro, że przeszkadzam, ale tam jest ktoś, kto z powodu pańskiego samochodu nie może się przedostać. Powinien pan być zabrać płaszcz, dziś jest na dworze bardzo zimno. Można się łatwo zaziębić — mówiła otwierając szklaną bramę domu, ubezpieczoną ciemną żelazną kratą. — Niech pan spojrzy na mnie. — Miała na sobie płaszcz skórzany podbity futrem.

Istotnie noc była wyjątkowo mroźna, czyste niebo usiane gwiazdami. Pies wyrwał się i wielkimi susami pędził w stronę ogromnego samochodu, który stał na wąskiej drodze parkowej za moim wozem. Reflektory były włączone.

Zjechałem trochę w bok.

Ogromny wóz zniknął między dwoma wysokimi drzewami.

Pies właścicielki willi biegł za nim szczekając.

Tymczasem obrzęd w świątyni już się skończył.

— Wszystko w porządku ? — zapytał strażnik.

Skinąłem głową.

Tego wieczoru brałem bardzo mały udział w naradach braci. Nie przestawałem myśleć o ogromnym samochodzie. Wciąż widziałem go, jak zniknął między drzewami. Jak wjeżdżał po wąskiej drodze do parku.

Kiedy zaczęto się rozchodzić, odczekałem, aż wszyscy odjadą. Ogród był opustoszały. Na piętrze zajmowanym przez właścicielkę płonęło jeszcze światło. Psa nie było już słychać. Ruszyłem do swego wozu, ale nie wsiadłem, tylko wszedłem na ową wąską drogę, którą odjechał obcy wóz. Za dwoma drzewami ścieżka stawała się coraz węższa.

Oczy zaczęły przywykać do ciemności. Na ogołoconych gałęziach drzew i krzaków widać było szron.

Na ścieżce prowadzącej w licznych serpentynach ku rzece leżały przemarznięte liście, spośród których przeziara! błyszczący żwir. W bezksiężycowej nocy rzeka była niewidoczna.

Słyszałem tylko jej szum. Poza tym nic więcej. Gdyż nocą na uliczkach przedmieść panuje jeszcze spokój.

Przesłanie z innego wymiaru

Jestem pewien, że przy końcu tego sprawozdania wiele osób, po cichu lub głośno, zapyta mnie, jakiemu celowi służy to moje niezwykle przesłanie. W czym leży jego sens. Jaka prawda kryje się za dziwacznymi wydarzeniami, o których będzie tu mowa.

Wyznaję, że ostatnio niepokoją mnie tego rodzaju pytania. Do tego stopnia, że coraz trudniej przychodzi mi decydować się na opisanie niepojętych zjawisk, których byłem świadkiem, i czas między przeżyciem a relacją o nim ustawicznie się wydłuża.

O tym, co zdarzyło się pewnego mglistego styczniowego wieczoru, piszę dopiero dzisiaj, w maju. Przez okno uszczelnione grubym wałeczkiem z ciepłego materiału słyszę kukułkę. Piszę trzymając w lewej dłoni banknot. Powiadają, że kiedy kukułka kuka, należy mieć w ręce pieniądze. Wtedy nigdy ich nie zabraknie. Na wąskiej ścieżce prowadzącej od domu do starej stajni, która pełni rolę drewni, kwitnie bujnie mlecz. Palenie w piecu stało się zbędne. Kosz na drwa, który wtedy niosłem, jak również naftowa lampa stoją nie zauważone w przedsionku pod dużym stołem, gdzie moja gospodyni umieściła dwie wąskie drewniane skrzynki, wypełnione mocno pachnącymi hiacyntami.

Nic już nie przypomina zimy.

Tylko ja.

Myślę o tej mgle. Nie wychodzę z niej. Jestem w niej uwięziony. Bez sensu i bez celu. Przenika mnie maj, lecz nie mogę obudzić się z tamtej zimowej nocy. Żyję w dwóch różnych wymiarach. Słyszę kukanie kukułki, ściskam w lewej dłoni pieniądze, widzę hiacynty i mlecze, a zarazem kroczę wciąż jeszcze oblodzoną ścieżką w kierunku starej stajni, służącej teraz za drewnię i magazyn. Wciąż stawiam lampę naftową na ziemi. Zawsze w tym samym miejscu.

I nieustannie, za każdym razem na nowo, szukam sensu tego, co przeżywam. Szukam prawdy, kryjącej się za przekazywanym mi wciąż przesłaniem.

Ale nie mogę jej odkryć.

Mam jednakże nadzieję, że dopiero ktoś, komu w ręce wpadnie niniejsze sprawozdanie, potrafi mi wyjaśnić sens moich straszliwych spotkań w stajni i zdoła mnie wreszcie wyprowadzić z lepkiej zimowej mgły.

I właśnie ta nadzieja skłania mnie do pisania. Nadzieja, że ktoś powie: „Tak, ja także znam tego, o którym tu piszesz. On był również u mnie. Albo ktoś podobny. Ktoś, kto tak samo przemawiał pewnego ciemnego zimowego wieczoru. Ktoś, kto tak a tak wyglądał. I to a to powiedział”.

Może zgłosi się wielu. Wielu, u których on był. Którym coś powiedział. Pozwoli to sporządzić listy. Listy obcych ludzi. Pozwoli ustalić przesłania, które oni otrzymali. Porównać je. Być może da to w rezultacie jakieś ogólne przesłanie, dzięki któremu uda się pojąć niepojęte, a z nieprawdopodobnego wydobyć głęboką nową prawdę.

A może nie ma żadnej prawdy? I jestem z nim sam na sam? Wciąż jednakowo obcy i daleki.

Może on i ja jesteśmy dwiema nitkami w wielkiej tkaninie, której deseń obmyślił ktoś jeszcze inny, jeszcze bardziej od nas obcy?

Nie wiem.

Być może wzór owego ornamentu ujawni się podczas tego pisania. Każde słowo, które piszę, jest pytaniem. Może któreś z nich — małe, marginesowe, nieoczekiwane — da odpowiedź. Ta nadzieja gna mnie od słowa do słowa, od zdania do zdania.

Sprawozdanie rozpocznie się od pewnej niedokładności. Choć pamiętam bardzo szczegółowo wszystko, co mi się zdarzyło owej zimowej nocy, jednak nie wiem, czy była to sobota czwartego stycznia, czy też niedziela piątego.

Wiem tylko, że zalegała wtedy gęsta mgła. I niechętnie wychodziło się z domu. Któregoś z owych dni o zmierzchu zabrakło mi drewna. W piecu, w którym paliło się dniem i nocą, pozostało jeszcze tylko trochę żaru. Niewiele to pomagało, musiałem wciągnąć buty i wdziać grubą marynarkę, aby udać się do stajni, gdzie znajdował się zapas drewna.

Wahałem się. Czy powinienem wziąć ze sobą naftową latarnię? Nie lubię jej. Przy zapalaniu brudzę sobie zawsze palce. Poza tym latarnia kopci. Górny brzeg szkiełka jest po paru minutach zupełnie czarny. Wtedy światło latarni staje się mroczne; niewystarczające. A swąd od nafty jest bardzo nieprzyjemny. Zresztą drogę do stajni znam dobrze. Znajdę bez trudu klucz schowany w bramie między dwoma kamieniami. Znam również doskonale skrzypienie starych drewnianych drzwi. Namacam łatwo w ciemności sęgi drzewa, które porąbałem i ułożyłem w stos. Wiem, gdzie i jak postawić kosz, aby nawet w ciemnościach napełnić go łatwo polanami.

Gdybym wziął ze sobą latarnię, myślałem owego wieczoru, nie mógłbym załadować kosza do pełna. Do trzymania latarni potrzeba co najmniej dwóch palców, więc pozostałyby mi tylko najwyżej trzy, co nie wystarczyłoby na uchwycenie kosza tak pewnie, jak wszystkimi pięcioma.

Nie wiem dziś dobrze, dlaczego jednak wziąłem wtedy latarnię z sobą. Być może obawiałem się, że we mgle potknę się o jakąś nieznaną przeszkodę lub pośliznę się na pokrytej lodem wąskiej drodze.

Ale nie, chcę być zupełnie szczery. Był jeszcze jeden powód. Boję się ciemności, ciemnych pomieszczeń. Tak, to po prostu strach. Ulegam mu od dzieciństwa. Jeszcze dziś, kiedy wchodzę do ciemnego pokoju, boję się, że włamywacz — lub ktoś inny, ukryty już od wielu dni pod łóżkiem czy za komodą — czyha na odpowiednią chwilę, aby rzucić się na mnie od tyłu, wpić głęboko paznokcie w moją szyję i rozedrzeć ciało.

To jest jeden rodzaj strachu.

A drugi polega na tym, że otwierając w ciemnościach drzwi na zewnątrz — mam zawsze uczucie, jakby o wewnętrzną ich stronę oparty był trup, który przy otwarciu drzwi osuwa się i kładzie z wolna i miękko na mnie.

Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że owe lęki są nieuzasadnione. Ale ta świadomość nie likwiduje ich. Daje mi tylko siłę do ich łatwiejszego zniesienia. Nie na tyle, co prawda, abym owego mglistego styczniowego wieczoru zdecydował się ruszyć po drzewo do stajni bez latarni.

A więc wziąłem ją z sobą. Jak było do przewidzenia, zaczęła kopcić, jeszcze zanim wyszedłem z domu. Jasności dawała niewiele; mały, drgający krążek świetlny we mgle wypełniającej całą dolinę aż hen, ku halom. Przed drzwiami stajni już tylko to światło. Ani jednej gwiazdy, ani jednego okna. Klucz na zwykłym miejscu. Oparłem kosz o drzwi i postawiłem lampę na ziemi. Płynące z niej światło padało na wąską, uprzątniętą ze śniegu ścieżkę. Około Bożego Narodzenia musiała być odwilż, pomyślałem, kiedy drzwi odskoczyły skrzypiąc i stojący przede mną kosz przewrócił się w głąb ciemnej stajni. Nim go podniosłem, postawiłem lampę na oblodzonym progu, odwracając jej szkiełko mniej zakopconą stroną do wnętrza stajni. Nie miałem odwagi wziąć jej z sobą do wnętrza.

Co będzie, jeżeli ją upuszczę? Nafta się wyleje, knot się zapali, drewno zajmie się łącznie ze wszystkim, co nagromadziło się przez lata w nie zagospodarowanym pomieszczeniu.

Wchodząc do stajni miałem światło lampy za sobą, tak że mój własny cień zaciemniał całą przestrzeń przede mną. Wahałem się przed wejściem w mrok. Zastanawiałem się, czy nie odwrócić się i nie pójść po drewno tyłem. Ale to nie byłoby żadnym rozwiązaniem. Mój cień pozostałby taki sam. Idąc tyłem szedłbym w ciemność. Tylko oczy miałyby przed sobą światło. To, co zobaczyłbym, nie zabezpieczałoby mnie przed rozmaitymi przeszkodami. Mógłbym rozciąć sobie szyję na wiszącej na ścianie kosie. Mógłbym nastąpić na jakiegoś śpiącego włóczęgę, który przypadkiem znalazł tutaj na jedną noc schronienie, mógłbym wystraszyć zbiegłego więźnia i w ten sposób sprowokować go do nowej zbrodni.

Po jakimś czasie wzrok mój zaczął przywykać do ciemności. Rozpoznawałem znajomy dobrze nieład. Kosę na ścianie. Kanapę w starym niemieckim stylu z podartym obiciem. Pustą klatkę dla królików. Mokre deski na podłodze. Wiązki siana, które zsunęły się ze stryszku. Połamany zegar z kukułką o odwróconej tarczy, zawieszony na gwoździu w ścianie. Kukułka zwisa bezsilnie obok otwartych drzwiczek swego domku. A dalej drzwi do następnego pomieszczenia, sprzęt ogrodowy, ruszt na węgiel drzewny, cegły do naprawy dachu, stare lustro komody, rozmaite bezładnie rozrzucone rupiecie. I drewno. Małe szczapy. A z tyłu pod ścianą większe polana.

Postawiłem kosz na zwykłym miejscu, między jednym a drugim stosem drewna. Z pierwszego wziąłem kilka suchych szczap. Te, które leżały na ziemi, pozostawiłem. Były mokre i nie nadawały się na opał.

Coś zatrzeszczało.

Z początku sądziłem, że to pękają sploty kosza zanadto wyładowanego drewnem. Ale trzask rozlegał się zbyt często. Zanadto uporczywie. Z czasem przestawało to być zwykłym szelestem. Było rosnącym nieustannie trzeszczeniem. Jakby coś z trzaskiem płonęło. Odwróciłem się i spojrzałem w stronę latarni, ale znajdowała się na swoim miejscu, świecąc słabo pomiędzy stajnią a mgłą na zewnątrz.

Czy to były szczury? Przestałem układać drewno w koszu i wyprostowałem się nadślu-

chując. Skąd pochodziło to trzaskanie i zgrzytanie? Ale jak tylko przestawałem pracować chcąc stwierdzić, z której strony dochodziły owe odgłosy — natychmiast robiło się znowu cicho.

Wypadki takie już nieraz zaobserwowałem. Chodzi o to, że niektóre zjawiska sprawiające nam przykrość tym samym dowodzą swojej niewątpliwej realności, lecz starają się chytrze umknąć przed ich zbadaniem. Tak jak się pojawiły, tak też szybko znikają. Albo przeobrażają się.

Podobnie dzieje się przy tym sprawozdaniu. Im bliżej i ostrożniej staram się, pisząc, podejść do tego, co mnie omotało z taką siłą od paru miesięcy, tym bardziej wątpię, aby wszystko, tak jak to teraz opisuję, odbyło się naprawdę. Tym mocniej jestem przekonany, że będę jeszcze musiał stoczyć walkę z treścią swojego opowiadania. Że ten, o którym mam teraz pisać, zrobi wszystko, aby mi w tym przeszkodzić.

Dochodzące zewsząd wołanie kukułki powoduje, że wciąż ściskam w dłoni banknot. Kury gdaczą. Sąsiad, który już dawniej tyle razy wdawał się ze mną w natrętne rozmowy na temat zainstalowania słupa telegraficznego na jego gruncie. Tępy ból w lewym ramieniu wskutek palenia papierosów. Te wszystkie drobiazgi powinny mnie odciągnąć od pisania, odebrać do niego ochotę.

A więc zostawić wszystko! Wstanę i wyjdę jak zwykle na świeże powietrze.

Lecz wiem, że każdy krok po łące, na której widnieją ślady kół taczek, będzie znów tylko krokiem przez zimową mgłę w kierunku stajni. A ostry wiatr, który się pojawił, zamieni się znów w ten sam podmuch gorącego powietrza, który wówczas w styczniu nagle odczułem.

Będę zatem pisał dalej.

Tak, wtedy nagle poczułem gorący podmuch, który wionął od góry na moją czaszkę. Podmuchi? Przecież nie było wiatru. Mgła poza zasięgiem światła lampy stała nieruchomo. Podmuchi nie bywa zresztą gorący. Czyżby coś się paliło? Cofnąłem się o krok. Spojrzałem raz jeszcze na latarnię. Obserwowałem sufit. Czyżby zapaliła się słoma na stryszku?

Nagle ogarnął mnie lęk. Podmuchi prześladował mnie. Dał wciąż w to samo miejsce na głowie. To niesłychane. Pobiegłem ku drzwiom. Podmuchi za mną. Zawróciłem w kierunku stosu drewna. On także w tamtą stronę. Dotknąłem miejsca czaszki, na którym koncentrował się podmuchi. Wąski, gorący strumień powietrza. Jakby pochodził od niewidzialnej dyszy, która unosiła się nade mną. Jakby ktoś kierował ją w moją stronę.

Czy ktoś żartował ze mnie? Przecież nikogo tu nie było. Czy powinienem pobiec z powrotem do domu? Wezwać pomocy? Co miałbym do powiedzenia? Że słyszałem zgrzyty i trzaski, a potem odczułem na głowie strumień gorącego powietrza?

Wyśmiano by mnie.

Pozostałem więc na miejscu. Stałem tak chwilę pod owym gorącym podmuchem na czaszce. Tylko spokojnie, pomyślałem, tylko spokojnie. Jakies wyjaśnienie musi się znaleźć. Podmuchi trwał. Po chwili usłyszałem nad sobą rodzaj syku. Jak gdyby ulatniał się gaz. Czyżby ktoś zostawił w stajni butlę z gazem, która teraz — może wskutek panującej wilgoci — stała się nieszczelna? Bzdura. W takim wypadku podmuchi wiałby tylko z tego samego kierunku i nie mógłby posuwać się za mną.

Ktoś tu musiał być. Mój prześladowca. Może za stosem drewna lub w klatce dla królików? Albo nad zegarem z kukułką. A może na staromodnej kanapie czy wreszcie na górze, na stryszku.

Nagle zrozumiałem, że nie jestem w stajni sam. Znajdowało się tu jeszcze coś, co żyło, myślało, odczuwało. Coś, co w tym wypadku występowało przeciwko mnie, czyje myśli mi zagrażały.

„Jest tu ktoś?”

Cisza jak przedtem. Tylko syczący podmuchi powietrza.

Zacząłem z uwagą przeszukiwać stajnię. Nie znalazłem nic obcego, nic, czego by nie

było tu dotychczas. Oczy przyzwyczajały się do ciemności. Od czasu do czasu wzrok mój padał na ciemne szczeliny w drewnianej ścianie oddzielającej pierwsze pomieszczenie stajenne od następnych. Z niezwykłą starannością obserwowałem wszystkie słoje i sęki w deskach ściany. Wydawało mi się, jakby występy i gładkie powierzchnie razem tworzyły ciemny i szeroki wzór, który ciągnął się ku drzwiom prowadzącym do sąsiedniego pomieszczenia. Że też nigdy jeszcze nie zwróciłem na to uwagi. Splot tworzący niezwykłą literę delta, której pochodzenia nie znałem. W mroku zdarza się nam często widywać najdziwniejsze kształty.

Wciąż ten sam gorący podmuch na mojej czaszce.

„Kto tam?”

Tym razem otrzymałem odpowiedź. Nie mogłem wprawdzie zrozumieć, co ów ktoś, kto się tam znajdował, powiedział, ale byłem przekonany, że powiedział coś. Coś niezrozumiałego. Głos brzmiał obrzydliwie. Trzeszczał; był przytłumiony; jak głos papugi. Tak jak on szybki i bezosobowy.

„Gdzie pan jest? Proszę tu podejść”.

Tym razem usłyszałem tylko trzask. Taki sam jak na początku. Potem skrzypiący jęk. Coś niby chrzęst przesuwanego zardzewiałego metalu. Szmery pochodziły z sąsiedniego pomieszczenia.

Czułem się tak, jakby osaczała mnie jakaś nieznana istota. Ścigany przez gorący strumień, podszedłem do drzwi wejściowych stajni po latarnię.

W jej świetle odkryłem na podłodze taki sam wzór, jaki przedtem zauważyłem na drewnianej ścianie. Jasny a zarazem ciemny. Szorstkość i gładkość mieszały się tu, zresztą podobnie jak na oblodzonej ścieżce między domem a stajnią. Czyżby to był lód przyklejony do desek? Jednak nie. Widziałem poprzednio dobrze. Rysy i sęki biegnące ku przymkniętym drzwiom do sąsiedniego pomieszczenia.

Czyżby wskazywały mi drogę?

Stałem przed tymi drzwiami. Pchnąłem je nogą. Otworzyły się. Zatrzymałem się. Podniosłem w górę cuchnącą latarnię i oświetliłem przestrzeń.

Zwykły stos rupieci.

„Ktoś tu jest?”

Teraz coś się poruszyło. Jakiś drąg. Opierał się, tak jak i inne, o beładnie porozrzucane przedmioty. Drąg wydawał mi się z początku jedną z wielu żerdzi służących w lecie po sianokosach do suszenia na nich trawy. Może skutek otwarcia drzwi obsunął się.

Zawołałem ponownie.

Jeszcze jeden drąg leżący w poprzek poruszył się.

Podszedłem ostrożnie w tamtą stronę.

Nie były to rogate żerdzie do siana. Te leżały gdzie indziej.

Ujrzałem okrągłe drągi. Ciemnobrązowe i błyszczące, z zakończeniami w kształcie kuli. Tak jakby rzeźbił je dyletant chcący nadać im formę pięści. Nie mogłem się zdobyć na dotknięcie tych błyszczących drągów. Było ich razem siedem, wspierały się na meblach ogrodowych i starych beczkach na smołę, tarasując wąskie przejście między różnymi rupieciami. Siedem połyskujących pięści z drewna, które może nagle otworzą się, aby sięgnąć po wszystko, co tu rdzewiało i wietrzało.

Stałem wciąż jeszcze przed pierwszym drągiem. Oświetlałem go dokładnie. Od pięści aż do dołu. Błyszczące drewno. Zupełnie świeżo polerowane. Nie mogło więc stać w tym miejscu długo. Ani śladu kurzu czy nalotu wilgotnej mgły.

Pochyliłem się. Chciałem zbadać dolną część wypolerowanego drąga.

Odkoczyłem w tył.

Okazało się, że i ona stanowi rodzaj pięści z drewna. Ale z nią szczepiona była druga, od której wychodził następny błyszczący drąg, znacznie dłuższy niż pierwszy. Siedem takich podwójnych drągów. Jak niezgrabne, olbrzymie nogi drewnianego pająka.

Gdzie było ciało? Głowa? Usta? Czy to właśnie usta dmuchały w moją czaszkę owym gorącym oddechem?

Wiatr zamienił się w burzę. Barometr opadł bardzo nisko. Musiałem przerwać na chwilę sprawozdanie. Wyczuwam, że obcy stara się za wszelką cenę przeszkodzić mi w pisaniu. Jest mi niedobrze. Mam silne bóle głowy. Podejmuję pracę nie bez obaw. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby nagle przez okno, które już dawno zamknąłem, albo przez drzwi czy nawet przez ścianę wynurzyła się skierowana przeciw mnie gniewna ciemna pięść z drewna, próbując mnie zmiążyć. Chociaż nie poczuwałem się do żadnej winy. Nigdy nie obiecywałem, że jego przesłanie zachowam dla siebie. Niczego takiego zresztą ode mnie nie żądał. Tyle tylko, że nie wydaje się bezpieczna próba opisu czegoś nieopisanego, próba wtargnięcia w rejony zaludnione zmieniającymi się postaciami i zorganizowane wedle tak tajemnych praw, iż nie dają się bez oporu wtłoczyć w płaską jednoznaczność ustnego przekazu.

Ale ten, który zgłosił się teraz trzeszcząc i zgrzytając — był widoczny. Jednoznaczny. Można było policzyć ilość jego nóg. Czemu nie mam o nim opowiedzieć?

Cofnąłem się. Latarniaomal nie wysunęła mi się z dłoni. Postawiłem ją na starej skrzyni. W którą stronę biegły te wszystkie błyszczące dragi? Skąd wychodził brązowy znak delty?

Znow usłyszałem zgrzyt i jęk metalu owej sprężyny. Czy ktoś znajdował się na kanapie? Nie, szmer słyhać było w tym pomieszczeniu, nie tam, gdzie mieściło się drewno i kanapa. Jęk powtarzał się w coraz krótszych odstępach. Aż w końcu trwał bez przerwy. Stawał się coraz mocniejszy i gwałtowniejszy. Było to coś takiego, jakby schwytyany ptak całą siłą bił skrzydłami o pręty klatki. Równocześnie drgało także owych siedem drewnianych nóg.

— Gdzie pan jest? — zawołałem.

Tym razem otrzymałem bardzo wyraźną odpowiedź. „Tu” — powiedział ktoś.

„Powiedział” to może niewłaściwe określenie. To krótkie słowo nie posiadało tej artykulacji, jaką mają słowa wydobywające się z ludzkiego gardła. Dźwięk był nienaturalny. Przypominał poprzednio słyszane niezrozumiałe dźwięki, podobne do krzyku papugi. Albo do drewnianych piszczałek myśliwych, którzy naśladują krzyki tokującego ptactwa w okresie godów.

Któż to wabił mnie w ten sposób dźwiękami mozolnie naśladowanego ludzkiego głosu? Spojrzałem w stronę, skąd dobiegła odpowiedź. Dochodziła z daleka, z głębi ciemności. Z miejsca, gdzie stały stary azbestowy okap pieca i lustro od komody. Stamtąd znowu rozległ się jęk. Przypomniałem sobie. Od wielu lat znajdowała się tam, gdzieś zupełnie z tyłu, przyczepa motocykla. Byłem pewien, że ktoś w niej teraz siedzi. Huśtał się, poruszając zardzewiałe metalowe sprężyny, które jękliwie zgrzytały.

„Czy siedzi pan w przyczepie?”

Odpowiedzią był wielokrotny trzask wszystkich drewnianych przegubów i drganie wszystkich siedmiu nóg. Zdawało się, jakby wiele sztucznych gardeł starało się równocześnie i bezskutecznie odpowiedzieć: „tak”.

„Proszę zaczekać. Podejdę.”

Nagle zatrzymałem się zdumiony. Nie dostałem wprawdzie żadnej odpowiedzi, ale wiążący w kierunku mej czaszki podmuch nagle ustał. Słyhać było jeszcze tylko syk. Po chwili — kiedy zdjąłem ze skrzyni latarnię z zamiarem przecięcia się z nią w stronę przyczepy — doszła mnie jakaś nierealna skarga.

Ostry zgrzyt. Skomlące skrzypienie. Aby dotrzeć do przyczepy, musiałem odsunąć na bok jakieś krzesła, oprzeć o ścianę taczki, uprzątnąć z drogi rozmaite przedmioty, i to wszystko jedną ręką, gdyż w drugiej trzymałem latarnię.

Wreszcie tylko okap pieca dzielił mnie od celu. Słyszałem za nim wyraźny syk gorącego prądu powietrza.

Lękałem się odsunąć ów okap. To gwałtowne sapanie mogło uderzyć we mnie, osmalić

albo przewrócić. Latarnia, którą trzymałem kurczowo, mogłaby upaść na ziemię. Wszystko zajęłoby się wtedy ogniem. Stare rupiecie palą się jak huba. Nie zdołałbym się uratować.

Trudno mi przychodzi opisanie stanu, w jakim się wtedy znalazłem. Częścią świadomości zapragnąłem uciec jak najdalej od własnego mózgu opanowanego krańcowym przerażeniem. Chciałem oddalić się od samego siebie. Od swojego strachu. Być może serce biło tak szybko jak przedtem, moje kolana drżały jak poprzednio, tylko że nie ja byłem już tym kimś drżącym za okapem, tym ogarniętym paniką przed czymś nieznanym. Albo byłem to nie tylko ja. Do mnie doszedł jeszcze ktoś inny, moje drugie ja. Ten ktoś uwolnił przerażonego od strachu, pozwolił mu działać, poprowadził jego dłoń w kierunku okapu i tą dłonią odsunął ów okap sprzed pieca.

Spokojnie uniosłem w górę latarnię i oświetliłem przyczepę. Nie bałem się już tego, którego ujrzałem.

Czy to był właściwie jakiś On? Trudno powiedzieć. To co sztywno i prosto siedziało, stało czy też opierało się w przyczepie — było grubym i długim, także na ostatni połysk wypolerowanym kłosem. Nie ciemniejszym niż siedem długich nóg, które rozchodziły się od niego w formie gwiazdy. Na szczycie owego kłosa znajdowała się czarna jak węgiel kula, na której odkryłem niezliczone małe nacięcia. Przypominam sobie dokładnie uczucie, jakiego doznałem na widok tej postaci. Nie był to ani strach, ani zdziwienie. Raczej coś w rodzaju wyzwalającej pewności. Głębokie porozumienie z obcym.

Wciąż używam słowa „obcy”. Ale on nie był mi obcy. Może jego wygląd. Lecz nie on sam. Nagle zdałem sobie sprawę, że znałem go już dawno. Ze w gruncie rzeczy zawsze czekałem na spotkanie z nim. Dziwna rzecz, ja, który po przewróceniu okapu wyzbyłem się strachu, czułem się głęboko związany z owym Drewnianym, którego ujrzałem przed sobą. Czułem się prawie, jakbym był nim. Niemal pochylałem się razem z nim w przyczepie, cierpiałem jak on, choć nie wiedziałem, jakiego rodzaju są te cierpienia. Znałem go i wiedziałem, że on zna mnie także. Że jego przybycie do mnie kosztowało go wiele wysiłku. Ta świadomość, którą wymienialiśmy teraz między sobą nawzajem, pozbawiona była konkretnej treści. To nas łączyło.

Po jakimś czasie zapytałem: „Czy było trudno?” Wprawdzie nie wiedziałem, co miało być dla niego trudne, ale rozumiałem, że coś takiego istnieć musiało. Coś i kiedyś.

„Tak” — doszedł skądś głos. Nie wydobywał się on z kłosa w przyczepie, lecz z któregoś przegubu jego nogi. Trzeszczący. Nierealny. Ale zrozumiałe, jednoznaczny.

Milczałem. Wiedziałem, że powie coś jeszcze. Przeczynałem, że osmolona czarna kula o wielu nacięciach dobiera z wysiłkiem słów. Próbuje znaleźć język, którego dawno już zapomniała.

Czekałem. Postawiłem naftową latarnię na mokrej ziemi, w niewielkim oddaleniu od przyczepy. Jej światło padało na długie drewniane nogi. Wtedy zobaczyłem, że ziemia pod tymi brązowo połyskującymi drągami jest zupełnie sucha. Wysuszona i spękana bardziej nawet, niż zdarza się to w pełni lata, kiedy długo nie było deszczu. Czyżby jego nogi były gorące? Czyżby nie były z drewna?

A może to rury wypełnione wrzącym płynem? Czy ów gorący strumień powietrza przepływał przez całe jego sztywne ciało?

— Od wtedy — usłyszałem głos.

— Od kiedy?

— Od czasu, gdy było ciężko.

Zrezygnowałem z pytań na ten temat. Wiedziałem, że zjawił się po to, aby mi opowiedzieć. Być może moje najsekretniejsze życzenie dowiedzenia się wszystkiego niepokoiło go już od wielu lat.

Od owej styczniowej nocy słyszę naszą rozmowę. Wciąż te same zdania. Wciąż to samo przesłanie, które jest dla mnie w momencie jego ujawnienia jasne, zrozumiałe, ważne. Ale

które — jak tylko zaczynam się nad nim zastanawiać — wydaje się obce, zamknięte w sobie, bezsensowne; tak, bezsensowne. I pragnienie poznania, tęsknota do owych krótkich szczęśliwych chwil zrozumienia — to właśnie pcha mnie z powrotem ku tamtej zimie, odpycha od obecnej wiosny i poprzez mgłę kieruje w ciemność stajni po to, abym mógł go znowu zobaczyć i znowu usłyszeć jego przesłanie, które nazwał „przesłaniem z innego wymiaru”. Tak „przesłanie z innego wymiaru” to były następne słowa, jakie trzeszcząco wydobyły się z któregoś z jego przegubów.

„Co?” — zapytałem. Nie znałem tego określenia. Nie wiedziałem także, czy dobrze je usłyszałem.

Drewniany nie powtórzył go. Drgnął tylko. Czy moje pytanie usposobiło go niezyczliwie? Żadnych więcej pytań, postanowiłem. Rozumiałem go bez tego. Byłem nawet przekonany, że wiem już z góry wszystko, co ma mi do powiedzenia. Kto wie, czy obaj, którzyśmy tak długo na siebie czekali, nie stanęliśmy teraz naprzeciw siebie tylko po to, aby nareszcie upewnić się co do tego wspólnego, wzajemnego zrozumienia, aby się upewnić, że jesteśmy równymi sobie współtowarzyszami w cierpieniu.

— Gdzieś koło Salzburga — usłyszałem jego słowa. — Zapomniałem miejscowości. Miejscowość. Mała miejscowość.

— Nieważne.

— Tak, nieważne.

Znowu zamilkł. Zdawało się, jakby koncentryczne karby wokół lejka na jego głowie wolno się poruszały. Ale może się myliłem.

— To było w kościele.

Ledwo wypowiedział to zdanie, gdy syczący szelest, rozlegający się wokół nas, urósł do gwałtownego jęku. Skargi sztywnego ciała wypełniły znowu stajnię, drewniane nogi zadrgały mocno, coś się przewróciło. Spojrzałem z niepokojem w stronę latami, ale ta stała na swoim miejscu. Kłoc zdawał się odczuwać ból. Zakołysał się niespokojnie w przyczepie. Znowu rozległ się jęk sprężyn.

W kościele, pomyślałem. Wraz z tą myślą pojawiła się świadomość nieszczęścia tak wielkiego, że jego ciężar zdawał się przytłaczać, wpijać się w ciało i mózg. Nikt, na kogo zwał się ciężar takiego cierpienia, nie mógł się od niego uwolnić. Dręczyło długo, aż wreszcie zabijało.

„Ono nie zabija — nawiązał do moich rozmyślań. — Umiera wraz z nami. Ono nas potrzebuje. Utrzymuje przy życiu.”

Nie wiedziałem, jaki rodzaj nieszczęścia był jego udziałem, wiedziałem tylko, że pozwalało mu ono żyć bolesnym, gorącym i drewnianym życiem, że on i jego nieszczęścia skute są jednym wspólnym łańcuchem. Kto dręczył kogo? Czy nieszczęście dręczyło drewniany szkielet? Czy może na odwrót? A może nieszczęście nie jest w stanie oddziaływać na drewnianego pająka.

Ten który znajdował się przede mną, zaprzeczył:

— Czułem wszystko. Wszystko. Od tamtego czasu.

— Od czasu kościoła? — starałem się mu pomóc.

— Tak, tak jest, od czasu kościoła. Boczny ołtarz. Boczny ołtarz z wysokimi złoconymi ramami obrazu. Ramy. Tylko ramy.

— Puste ramy ? — byłem pewien, że ramy były puste.

— Tak, same ramy. Brudna przestrzeń pomiędzy złotem.

Hałas w ciemnościach drewnutni, który trochę przycichnął, teraz stawał się głośniejszy. Znowu pojawiły się niemiłe szmery.

On milczał. Zdawał się wyczekiwać.

W tym miejscu musiałem ponownie przerwać pisanie. Burza rozluźniła okiennice i uderzała nimi o szyby. Hałas jak również światło i ciemność na zmianę wprawiły mnie w zdene-

rwowanie. Wstałem, aby z powrotem umocnić okiennice. Ledwie uchyliłem okno, kiedy gwałtowny podmuch wiatru wtargnął do pokoju, zmiotł na ziemię zapisane kartki papieru i banknot przeznaczony dla milczącej już od dawna kukułki pognał to wszystko w stronę wiązki drewna, przygotowanej na chłodne dni, w czasie których tutaj w górach często trzeba palić w piecu nawet w lecie. Po umocnieniu z powrotem zasuwę okiennicy musiałem długo męczyć się nad uporządkowaniem rozrzuconych kartek.

Teraz nieuniknione było pobieżne przynajmniej przejrzenie tego, co dotąd napisałem. Oczywiście wszystko odpowiada faktom. W moim sprawozdaniu niczego nie przeoczyłem, nie przeceniłem ani nie zaniedbałem. To, co napisałem o początku dialogu z obcym, wiernie oddaje staccato myśli i kadencję głosu. Ale nie oddaje ich istoty. Nic nie pozostało z bogactwa słów, którymi przemawialiśmy do siebie. Nic ze zrozumienia, które przeniknęło nas obu, kiedyśmy mówili i słuchali, które od tego czasu przenika nas na nowo, skoro tylko znajdziemy się znowu razem we wspomnieniu przerastającym stopniowo wszystkie moje doznania. Owej styczniowej nocy zaatakował mnie tak samo, jak jego wtedy w kościele zaatakowało nieszczęście. Tak jak wówczas, kiedy zaczął mówić, ciągły syk wzmagał się do odgłosu burzy, jakby nieszczęście, jego niewidzialny kompan, chciało mu przeszkodzić w wydaniu tajemnicy komu innemu — tak samo dzisiaj on z kolei chce mnie odwieść od tego sprawozdania. Ale ja muszę mówić, tak jak wtedy on musiał.

Mam nadzieję, że moje sprawozdanie o „przesłaniu z innego wymiaru” nie stanie się niebezpieczne dla kogoś, kto je usłyszy lub przeczyta. Słowo łagodzi potęgę nieszczęścia, które jeszcze odczuwałem. Ten, kto nie widział owego nieustannie dyszącego drewnianego ciała z osmoloną głową, kto nie słyszał jego bolesnych krzyków ani nie zetknął się z desperacką determinacją, z jaką ciało to wydobywało z siebie krótkie zdania; ten wreszcie, kto przez jakiś czas nie odczuł na sobie gorącego podmuchu — pozostanie spokojny i nie przejmie się zbyt, czytając niniejsze sprawozdanie o „przesłaniu z innego wymiaru”. Kto wie jednak, czy mój niepokój nie udzieli się czytelnikom i słuchaczom. Wówczas nieszczęście, które miało początek w owym kościele gdzieś opodal Salzburga, mogłoby się powiększać. Możliwości takiego zaraźliwego niemal rozrastania się nie da się, oczywiście, całkowicie wyłączyć. Inaczej nie próbowałyby ono w styczniu przeszkodzić obcemu mówić i porozumiewać się ze mną. I nie starano by się dzisiaj uniemożliwić mi za wszelką cenę dalszego przekazania owego przesłania. Wydaje się niemal, że zarówno nieszczęście, które jego zaatakowało, jak i on, który zaatakował mnie — odczuwały strach nawzajem przed sobą.

Lub może strach o siebie. Boją się, że rozbiorę ich obwieszczając przesłanie. Gdyż każde nieszczęście wymaga tajemnicy. Istotną częścią składową cierpienia jest jego osamotnienie. Ból i strach nie znoszą towarzystwa. Chcą pozostać nieznane, nie oznaczone i nie nazwane. I w ten sposób każde napisane przeze mnie słowo stanowi przelanie najgłębszej obawy z mojego wnętrza na papier. Stamtąd nie może ono już do mnie wrócić. Nieszczęście i strach uwięzione w słowach nie są już w stanie oddziaływać. Ich czar został zniweczony.

Nic dziwnego, że przeciwstawiają się temu uwięzieniu. Nic dziwnego, że ów jęk w stajni nie chciał się wtedy w styczniu uciszyć. Że ów połyskujący drewniany stwór potrafił głosić swoje przesłanie tylko z największym wysiłkiem; z takim samym, z jakim teraz, po kilku miesiącach, przychodzi mi uspokoić mój umysł wytracony z równowagi tym sprawozdaniem.

Jak długo musiał cierpieć, zanim z jego osmolonego, wyschniętego ciała zdołały się wydostać skrzypiące słowa. Jak długo musiał czekać, nim znalazł mnie, któremu uwierzył, że zdołam zrozumieć jego przesłanie i w przyszłości dźwigać razem z nim jego los.

— Od czterdziestu wigilii — usłyszałem.

Czy była to odpowiedź na pytanie, które zadałem w myślach?

— Od czterdziestu wigilii — powtórzyłem.

— Tak, od czterdziestu wigilii.

Co miał na myśli? Czy wigilia była tu jednostką czasu? Jakaś niepojętą zmysłami miarą cierpienia? Nieszczęścia? Opętania?

— To nastąpi później — powiedział.

Wiedziałem, że moje przypuszczenia są słuszne. Że nie potrafiłem jeszcze mierzyć egzystencji pojęciem „wigilii”. Ale zdawałem sobie sprawę, że istnieją rozmaite jakości czasu. Dobre i złe, dręczące i uszczęśliwiające, i jeszcze wiele innych. Takie, w których czas i to, co przynosi on z sobą, zagęszczają się, stając się rodzajem materii. Że czas mierzony wigiliami nie jest pustką, w której nie może się zdarzyć nic przyjemnego albo tragicznego. Miarą wigilii jest być może ciemność lub światło, w które się zanurzamy. Wymiar, w którego gęstość i głębię zostajemy schwytni.

— A poza ramami obrazu, gołymi ramami, wysokie okno.

Teraz słowa jego były bardziej zrozumiałe. Widocznie zaczął się przyzwyczajać do tej formy wypowiedzi, która — w ciągu czterdziestu wigilii spędzonych w milczeniu — była mu obca. Opanował poruszenia stawów któreś ze swoich nóg. Słowa trzeszczały wyraźnie i wybijały się ponad jęk.

— Za oknem dwa posągi. Jeden z nich podtrzymuje ciało. Jak przy zdjęciu z krzyża. A za tym wiele kościołów. Wiele kościołów — powtarzał.

Nie zastanawiałem się już nad jego słowami. Poddawałem się tylko obrazom przez nie wywołanym. I wydawało mi się, że sam znajduję się w owym kościele. Przypomniałem sobie boczny ołtarz, tak jakbym sam go widział. Ujrzałem także posągi. Szare i w fałdzistych szatach. Dwie postacie z grupy świętych. Postacie z jakiegoś nieznanego misterium. Nie przypominały żadnego ze znanych świętych. Coś leżało na ołtarzu. Na białym obrusie.

„Księga. Widzisz księgę.”

Wąska czarna księga. Pamiętam dokładnie. Trzymałem już kiedyś taką czarną księgę w dłoni. W takim samym kościele, na takim samym ołtarzu.

„Nie otwierać! Nie otwierać!”

Ja także czułem, że księga musi pozostać zamknięta. Że czytanie z niej było niebezpieczne. Wiedziałem również, że w kościele znajdowali się jeszcze inni ludzie. Widziałem ławy. Nie zwykłe kłęczniki. Były to dziwne rusztowania, w których miejsca siedzące umieszczono na różnych poziomach. Niektórzy ludzie siedzieli bardzo wysoko, inni nieco niżej. Parę miejsc było wolnych.

„Czytałem z niej. Na pierwszej stronie wydrukowane są słowa «Przesłanie z innego wymiaru». Pismo jest cienkie, jasnoczarne.”

Tak, miał słuszność. Znałem to pismo. Iluminowane gotyckie litery. Czerń tuszu zblakła w ciągu lat. A pod tytułem wypisana mała uwaga.

„Ostrzeżenie — powiedział — Ostrzeżenie. Wszystko po łacinie. Nie rozumiem już słów. Ostrożnie, nie wolno czytać bez zezwolenia. Ponieważ księgę pisał obcy.”

Wydawał się podniecony. Mówił szybko. Rozumiałem go dobrze, chociaż zawrodoenie prądu powietrznego, który go przenikał, stawało się coraz silniejsze.

„Czytałem. Strona za stroną. Wielkie «Przesłanie z innego wymiaru». Czytanie jest szczęściem. Wielkim szczęściem. Odczytuje się radość. Odczytuje się szczęście.”

I zacząłem czytać razem z nim. Wiedziałem, że ongiś i ja czytałem w tej księdze. Wiedziałem przed sobą poźółkłe stronicie. Na każdej z nich tylko dwie lub trzy ręcznie wypisane linijki po łacinie. Staroświeckie pismo. Cienkie i małe. Każde słowo zakończone krętym zawijasem biegnącym w poprzek przez całą stronicę. I wraz z Drewnianym odczuwałem gorączkowe drżenie ze szczęścia. Wraz z nim ujrzałem obce piękno, zawarte w poszczególnych słowach.

I naraz — tak, widzę to wciąż dokładnie — zobaczyłem kogoś siedzącego na rusztowaniu. Czarno odziany, twarz obrzękła, blond włosy całe w lokach. Wskazuje na mnie.

„On czyta — wołał — On czyta!” Wówczas inni zeskakują z rusztowania i klękają.

Wszyscy wołają: „On czyta!”

Moje wzburzenie rośnie wraz z wyciem prądu powietrza, który osiągnął siłę wichru. W migocącym świetle naftowej latarni widzę, jak stare cepy, grabie, uprząże, łańcuchy, rzemień, które od wieków wisiały na wbitych w ścianę gwoździach, teraz porwane gwałtowną zawieruchą trzepocą się niespokojnie, kołysząc tam i z powrotem. Niektóre z brzękiem i łoskotem spadają na ziemię.

Odskokczyłem o krok w tył. Burza ogarnęła również i mnie. Czułem, jak paliła moje czoło, skronie i uszy.

Muszę odsunąć się od Drewnianego — pomyślałem. — Muszę wyjść ze stajni. Niechby nawet wygasł ogień. Jutro przy dziennym świetle pójdę po drewno. Albo poproszę chłopca z sąsiedztwa, aby mi trochę przyniósł.

A jednak nie potrafię się z nim rozstać. Gorący wichur nieomal zapiera mi oddech. Ale muszę zostać przy nim. Przeczuję, że tego co istotne, tego co ważne, dopiero się dowiem. To wielkie coś, to straszliwe, które — podobnie jak on — przeżyłem kiedyś, ale o którym dawno zapomniałem, stanie się wkrótce dla mnie za pośrednictwem drewnianego ciała pająka znów teraźniejszością. Jeszcze tylko kilka chwil. Nie poddawać się. Niedługo zaczniesz znowu mówić.

Istotnie znów go usłyszałem.

Zapewne, hałas, gorący wichur, moje wzburzenie winne są temu, że nie pamiętam już brzmienia dalszej części „przesłania z innego wymiaru”. Ale nie potrafię od tego czasu zapomnieć grozy obrazów, które wywołały we mnie jego słowa.

One są we mnie, towarzyszą mi wciąż. Płoną we mnie i oślepiają. Nieczęste były — w ciągu ostatnich czterech miesięcy — chwile, kiedy mogłem się od tych obrazów wyzwolić. Ale nawet w takich krótkich chwilach nie miałem spokoju. Przeciwnie, kiedy jestem od nich wolny, opanowuje mnie wtedy dziwny niepokój. Dochodzę do wniosku, że coś jest nie w porządku. Zaczynam się zastanawiać. Zapytuję siebie, czy nie dźwigam w sobie jakiegoś ciężaru, który wkrótce mógłby zdławić we mnie te ulotne niepokojące chwile wyzwolenia, swobodnego oddechu, czy przestały już istnieć cień i mgła, gotowe do zduszenia mojej krótkotrwałej wolności.

Tak, bez strachu czuję się samotny. A jeden z obrazów stoi bezpośrednio przede mną, jaśniejszy i wyraźniejszy niż otaczające przedmioty i ludzie. Tak jak nie dający się przeoczyć drogowskaz, który po pełnych poczucia winy momentach beztrioski wiedzie z powrotem w znajomy dręczący świat mego drewnianego towarzysza.

Przeważnie tym, który sprowadza mnie z powrotem, jest ów obrzękły blondyn. Skacze na jakieś miejsce na rusztowaniu i natychmiast, gdy się tam znajdzie, ukryta maszyna — poruszana nie znanym mi systemem — powoduje, że puste miejsca podnoszą się w górę, aby po chwili opaść z powrotem w dół. Ale miejsce, na którym stoi czarno odziany blondyn — dźwiga się w górę nieustannie. Coraz wyżej. Aż hen, wysoko, pod kopułę kościelną. Stamtąd blondyn wyciąga dłoń i wskakuje na mnie.

„I to był koniec” — powiedział Drewniany. Przypominam sobie to zdanie. Potem widzę pod kopułą blondyna, wskazującego drugą dłoń małą skrzynię. Była z drewna, ozdobiona wielobarwnymi ornamentami. Jak stara chłopska skrzynia.

Odczułem teraz — jak wówczas w stajni albo wtedy w małym kościele opodal Salzburga — że ciało moje staje się bezwładne. Chciałem uciekać, ale nie mogłem. Stałem pochylony do przodu, jakbym wciąż jeszcze czytał w czarnej księdze, która przecież już dawno została zamknięta. Spoglądałem na barwną skrzynię. Nie trwało to długo. Po chwili — po tym, jak wskazał mi ją blondyn — odskokczyły ukryte w niej drzwiczki. Ze środka wystrzeliła ciemna postać. Wysunęła się gniewnie, zatrzymała, a następnie znikła w skrzyni, znów się pojawiła, znów zatrzymała i ponownie znikła. Jej ruchy przypominały kukułkę z wiejskiego zegara, wyskakującą co godzina ze swego domku.

Ale to, co wysuwa się ze skrzyni, nie jest żadną kukułką z zegara. To pół człowiek, pół automat. Mały błyszczący człowieczek, wypolerowany jak ów ze stajni, posuwający się tam i nazad na dwóch kółkach, z którymi jest zrośnięty. Przy każdym poruszeniu dwie dysze przy kółkach wydmuchują w moją stronę smugę gorącego powietrza. Coraz gęstsza. Coraz gorętsza. W coraz krótszych odstępach czasu.

Zrywam biały obrus z bocznego ołtarza, aby się uchronić przed palącym wiatrem. Stoję jak związany. Niezdolny do ucieczki. I znowu słyszę głos Drewnianego: „Tylko jedno słowo z księgi. Tylko jedno słowo. Całkiem wyraźnie. Zapomniałem wszystko. Nie wiedziałem, o czym czytałem. Nareszcie. Nareszcie jedno słowo «Satasfacias». Zawołałem je głośno. I wtedy zacząłem uciekać — powiedział. — Wybiegłem. Daleko, na wolną przestrzeń. Gęsta mgła. Drobny deszcz. We włosach straszliwa gwiazda. A pode mną suchość. Wyschnięta ziemia”.

Ostatniej części jego przesłania słuchałem zdrętwiały. Widziałem go, widziałem siebie wypadającego z kościelnej bramy na otwartą przestrzeń. Czułem ścigające mnie gorące tchnienie, wydobywające się z dysz drgającej istoty. Palące moją czaszkę. Czułem, jak uderzało w nią pionowo i rozdmuchiwało włosy w kształt gwiazdy. Czułem żar płonącej gwiazdy na głowie. I ujrzałem, jak wilgotny grunt wysycha pod moimi stopami za każdym krokiem. Gdzie tylko stąpałem, powstawał w mokrej ziemi suchy ślad. Prąd powietrza wysuszał mnie, a poprzez mnie wszystko, co znajdowało się pode mną. Chciałem uciec. Ale wiedziałem, że jak długo obcy znajdować się będzie obok, tak długo nie potrafię się poruszyć.

— Czy to było owo „przesłanie z innego wymiaru” ? — zapytałem. Gorący wichur nieomal uniemożliwił mówienie.

— To było to przesłanie.

— W takim razie odejdz.

— Mnie już dawno nie ma — usłyszałem jego głos.

Zrozumiałem, że czas naszego porozumienia się minął. Był dla mnie obcym tak jak na początku. Znowu ogarnął mnie strach. Czym było owo „przesłanie z innego wymiaru”? Czymś zawikłanym i mętnym. Koniec końców Drewniany musiał być tylko majakiem chorego mózgu. Strachem zaklętym w ułudną, pozorną rzeczywistość. Ale nie. Widziałem go przed sobą. Siedział nieporuszony w przyczepie. Jęk cichnął z wolna. Gorący prąd powietrza był jeszcze wyczuwalny. Muszę wyjść, pomyślałem. Oderwać się od niego za wszelką cenę. Ale wciąż jeszcze stałem jak wryty. Niezdolny do najmniejszego ruchu. Rozmyślałem gorączkowo. Usiłowałem sobie przypomnieć „przesłanie z innego wymiaru”.

„Satasfacias” — krzyknąłem z całych sił. Odwróciłem się od niego. Chwyciłem latarnię i wybiegłem ze stajni z powrotem do domu.

Odtąd słyszę go wciąż wołającego „Satasfacias”. Nie potrafię wyjaśnić tego słowa. Czy oznacza ono „satis facias” czyli „powinieneś zadość uczynić”? Czy też „Satan facias”, a więc „powinieneś uczynić szatana”? Nie wiem tego.

Często myślę również o wigiliach. Wiem, muszę przeżyć jedną wigilię po drugiej. Sam jak mój drewniany współtowarzysz. Jak wszyscy. Nawet jeżeli nie zdają sobie z tego sprawy, usadowieni jak podróżni nocnego pociągu pędzącego poprzez mroczne okolice ku nieznanemu celowi. Znajdują się w małym oświetlonym przedziale. Mało kto wygląda przez okno w ciemność. Większość wie, że robi to za nich ktoś inny. Ktoś na przodzie, kto zna trasę. Być może ktoś wyschnięty, cierpiący, wystrugany z drewna.

Posłowie

Peter Daniel Wolfkind urodził się w 1937 roku w Grazu. Wszechstronność jego zainteresowań jest ogromna. Studiował germanistykę, filologię klasyczną, pasjonował się średniowiecznymi naukami mistycznymi i magicznymi, a przede wszystkim poświęcił się muzyce. Po ukończeniu w konserwatorium wydziału kompozycji i gry na fortepianie — czynny jest zarówno jako twórca, jak i jako teoretyk, wreszcie jako organizator życia muzycznego w swoim rodzinnym mieście i w Austrii. Komponuje utwory kameralne i koncerty fortepianowe, stworzył również muzykę do *Much* Sartre'a oraz do *Fausta I* Goethego, wystawionych na scenie. Obecnie pracuje w charakterze sprawozdawcy muzycznego w prasie.

W 1972 roku debiutował jako pisarz tomem opowiadań *Mondnacht*. Książka ta oraz dwie następne: *Der grüne Zuzumbest* i *Die Boten des Frühlings*, zwróciły na siebie uwagę krytyki. W młodej prozie austriackiej, w której nie brak zjawisk (np. Peter Handtke, również pochodzący z Grazu) interesujących i ważnych dla rozwoju współczesnej literatury światowej, propozycje pisarskie Wolfkinda wnoszą własny, odrębny i dość niezwykły ton. Z jednej strony jest to do pewnego stopnia kontynuacja tej mrocznej, demonicznej — można by powiedzieć: grimmowskiej — linii niemieckiego obszaru językowego, której przedstawicielami byli na przykład E. T. A. Hoffmann, Gustaw Meyrink czy Franz Kafka. Z drugiej strony mamy tu, po trochu, nawiązywanie do równie niesamowitej, ale bardziej laickiej, racjonalistycznej i satyrycznej linii romantycznej literatury francuskiej: Prospera Mérimée, Villiersa de l'Isle-Adam, Barbey d'Aurevilly. Ale to wszystko nie byłoby samo w sobie jeszcze niczym szczególnym. Dziedzictwo takiego typu literatury fantastycznej, a raczej — parafantastycznej — jest olbrzymie. Najważniejsze, że — niezależnie od podobnego rodzaju inspiracji i powinowactwa — Wolfkind potrafił w tym tak już, zdawałoby się, „ogranym” temacie stworzyć własną specyfikę, rozegrać na tych motywach — jak na muzyka i kompozytora przystało — własne wariacje.

Tę oryginalność można stwierdzić na podstawie zamieszczonych w niniejszej książce przekładów opowiadań wybranych z dwóch tomów: *Mondnacht* (Noc księżycowa) i *Die Bolen des Frühlings* (Posłańcy wiosny). Zapewne i tutaj nietrudno byłoby wskazać na wyraźnie istniejące wpływy i zależności. Na przykład drewniany stwór z *Przesłania z innego wymiaru* ma pewne wspólne cechy z *Golemem* Meyrinka, a erotyczna sytuacja z *Nocy księżycowej* wydaje się poniekąd odległą reminiscencją *Czerwonej zasłony* Barbey d'Aurevilly'ego. Ale w swej zasadniczej warstwie propozycja Wolfkinda jest samodzielna, a wyobraźnia autora i jego stosunek do świata stwarza w literaturze tego gatunku nową, niezależną jakość.

Można wymienić kilka zasadniczych elementów tej odrębności młodego austriackiego pisarza.

Przede wszystkim, jak gdyby połączenie i wymieszanie wspomnianych dwóch przeciwstawnych, zdawałoby się, nurtów: linii — nazwijmy ją umownie — „niemieckiej” z linią „francuską”. System narracji większości opowiadań odznacza się w zasadzie rzeczowością, lakonicznością, precyzją i ścisłością obrazowania, a także ledwo dostrzegalnym dyskretnym dowcipem, przypominając przy tym styl opowiadań Prospera Mérimée (*Lokis* czy inne). Charakterystyczne pod tym względem są np. *Odwiedziny u Aldy*. Lecz owa „francuska” skrótowość, racjonalizacja toku narracji, jej zwięzłość, a nawet niekiedy oschłość prowadzi w konsekwencji do specyficznego *z a g ę s z c z e n i a*, które wywołuje duszną, ciemną, nocną, obsesyjną atmosferę, typową dla linii „niemieckiej”. Taki splot dwóch różnorodnych poetyk daje w rezultacie efekt zaskoczenia, efekt wyobcowania i stanowi o autentyczności propozycji literackiej Wolfkinda.

Inna, ważna specyfika tej prozy jest bardziej podstawowa, gdyż dotyczy jej warstw filozoficznych. Autor próbuje w tych opowiadaniach stworzyć coś w rodzaju własnego zamkniętego świata, ba, nawet własnej mitologii. Realność bowiem tego świata kształtowana jest przy pomocy znaków, które tworzą system niemal zodiakalny. Znamienna jest rola, jaką w tych opowiadaniach odgrywają zwierzęta. Byk, ropucha, bażant, słoń, pies, węże, pszczoły — to siły, które wpływają na losy ludzkie, pełnią funkcję nieomal kultową, są — jak w dawnych religiach — wyrazicielami świętości, ale zarazem stanowią zagrożenie zorganizowanego porządku. Z drugiej strony znaki służyć mogą również do zaklinalnia i odczyniania zła, podobnie jak totemy ludów pierwotnych. Charakter totemiczny zdają

się mieć tutaj na przykład rogi byka (*Burza*) lub pojawiające się niekiedy, na pozór zupełnie migawkowo i marginesowo, rogi jelenie na ścianach. Ten swoisty zwierzynek staje się jak gdyby obrazem kosmosu; pod tymi znakami zodiaku egzystencja człowieka jest zdeterminowana i skazana.

Skazanie, uwięzienie człowieka wydaje się w świecie Wolfkinda ostateczne. Jest to bowiem najbardziej egzystencjalne uwięzienie we własnym ciele, we własnej skórze. Najstraszniejsze zagrożenie — obok znaków zodiaku — niesie własne ciało. Jeden z podstawowych motywów większości opowiadań zebranych w niniejszym tomie stanowi choroba. Uszkodzony kręgosłup (*Noc księżycowa*), gnijące i ropiejące ramię (*Zdarzenie w St. Wolfgang*), choroba Basedowa (*Pan przy sąsiednim stoliku*), alergia (*Po przebudzeniu*) itp. — oto zjawiska fizyczne, które fascynują, niemal hipnotyzują wyobraźnię autora. Wokół nich obraca się większość zdarzeń fabularnych, jak ziemia obraca się wokół słońca. Ciało jest źródłem niepokoju, dziwności i tajemnicy, niesamowitych, najczęściej obrzydliwych przemian.

W ten sposób w opowiadaniach Wolfkinda następuje niejako redukcja przedstawianego świata do ostatniego biologicznego punktu oporu, jakim jest własne ciało. Poza nim rozciąga się już tylko milczenie księżycowej nocy. W konsekwencji równa się to całkowitej samotności jednostki. W wielu opowiadaniach niniejszego zbioru bohater Wolfkinda (prezentowany przeważnie w pierwszej osobie) wędruje sam poprzez bardzo dokładnie i konkretnie wymieniane okolice. Ścisłej mówiąc, niezupełnie sam. Znajduje się bowiem zwykle w towarzystwie (jak się okaże, nie bez powodu personifikuje ów wehikuł) swojego samochodu, którym odbywa te podróże. Lecz samochód nie wydaje się tu bynajmniej zwykłym pojazdem mechanicznym. Odnosi się po trochu wrażenie, jakby miał on swój system nerwowy, zwoje mózgowy, coś, co można by nazwać duszą. (Zwróćmy uwagę na zachowanie się auta bez kierowcy w opowiadaniu *Objazd przez Lemberg*). Bohater jest cały czas jakby organicznie związany ze swoim wozem, który stanowi niemal część jego ciała. Kiedy na skutek żywiołowego kataklizmu (*Burza*) zostaje od niego oderwany — ginie. A kiedy zdarzy się w opowiadaniu *Między stokiem a strumieniem*, że występuje bez samochodu — wtedy jest bezradny i zdany na łaskę i niełaskę.

I oto okazuje się, że w świecie, w którym zagłada grozi ze strony przyrody : zwierząt i roślinności (krzewy bzu w opowiadaniu *Po przebudzeniu*) — przedmiot mechaniczny przejmuje niejako funkcje biologiczne, staje się czymś w rodzaju partnera człowieka. Dotyczy to zresztą nie tylko samochodu, lecz również innych mechanizmów (telewizor w *Panu przy sąsiednim stoliku*). Nie oznacza to, oczywiście, likwidacji osamotnienia. Może nawet przeciwnie, powoduje jego zognomnienie, zdemoniowanie. Świat staje się jeszcze bardziej obcy, groźny i wyiębły. Dokonujące się w nim działania mają charakter zautomatyzowany, powielany. Owszem, w tle tej rzeczywistości, w której krąży — jak w pustce kosmicznej — samotny człowiek z samochodem, widzimy również gromady ludzkie. Ale często pojawiają się one jakby seryjnie, zwielokrotnione niby w lustrzanych odbiciach, na przykład unoszące się w powietrznym locie postacie z *Objazdu przez Lemberg* lub przywiązani do krzaków bzu osobnicy z opowiadania *Po przebudzeniu*. Są to tym samym raczej zjawy, podobne do tych, które niejednokrotnie w nocnych koszmarach dręczą nas swą zwielokrotnioną, monotonię powtarzającą się regularnością.

Zebrane w niniejszym tomiku opowiadania nie są jednolite. Obok tych, w których przeważa owa przytłaczająca nocna atmosfera snu, są opowiadania o zasadniczo żartobliwej, a nawet kpiąco-satyrycznej tonacji (*Słonie Fausty*). Wśród opowiadań o charakterze epickim spotykamy jedno (*Stary*), oparte wyłącznie na dialogu. Jest tu wielość struktur — od krótkich obrazków, starających się uchwycić jedną podstawową sytuację, do dłuższych prób narracyjnych, bardziej rozwiniętych, choć nie pozbawionych — zapewne celowo — powtórzeń. Są wreszcie opowiadania (na przykład *W ogrodzie doktora Terenischwili*), które mogą zaskoczyć czytelnika, przyzwyczajonego do bardziej konwencjonalnych schematów literatury fantastycznej, nie znajdzie on bowiem w tych opowiadaniach zwartej, logicznej struktury fabularnej czy też jasno pointą kompozycyjną wyłożonego sensu. Ale opowiadania owe zawierają inną logikę oraz inny sens. Jest to logika snu, w którym dziejące się wydarzenia zdają się nie powiązane, niezborne i bezsensowne, a jednak posiadają swoje własne tajemne znaczenia, urodę niejasności marzenia sennego. Być może w tych wszystkich — i innych — nieskładnościach wypowiada się po trochu osobowość młodego austriackiego pisarza, szukającego właściwych środków do wyrażenia niepokoju i lęku wobec otaczającego go świata.

Henryk Vogler

SPIS TREŚCI

Odwiedziny u Aldy	02
W ogrodzie doktora Terenischwili	07
Objazd przez Lemberg	09
Noc księżycowa	14
Święto ropuch	17
Burza	22
Pan przy sąsiednim stoliku	26
Stary	29
Słonie Fausty	33
Między stokiem a strumieniem	40
Zdarzenie w St. Wolfgang	46
Po przebudzeniu	48
Przesłanie z innego wymiaru	67
Posłowie	79